

**BOLESŁAW  
PRUS**

LALKA, TOM  
DRUGI

**Bolesław Prus**  
**Lalka, tom drugi**

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=23548626](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23548626)*

*Lalka, tom drugi:*

**Аннотация**

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

# Содержание

Tom II	4
I. Pamiętnik starego subiekta	4
II. Szare dni i krwawe godziny	46
III. Widziadło	101
IV. Człowiek szczęśliwy w miłości	147
V. Wiejskie rozrywki	164
Конец ознакомительного фрагмента.	188

# Bolesław Prus

## Lalka, tom drugi

### Tom II

#### I. Pamiętnik starego subiekta

Sytuacja polityczna jest tak niepewna, że wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby około grudnia wybuchła wojna.

Ludziom ciągle się zdaje, że wojna może być tylko na wiosnę; widać zapomnieli, że wojny: pruska i francuska, rozpoczynały się w lecie<sup>1</sup>. Nie rozumiem zaś, skąd wyrósł przesąd przeciw kampaniom zimowym?... W zimie stodoły są pełne, a droga jak mur; tymczasem na wiosnę u chłopa jest przednówek, a drogi jak ciasto; przejedzie bateria i możesz się w tym miejscu kąpać.

Lecz z drugiej strony – zimowe noce, które ciągną się po kilkanaście godzin, potrzeba ciepłej odzieży i mieszkań dla wojska, tyfus... Doprawdy, nieraz dziękuję Bogu, że mnie nie stworzył Moltkem<sup>2</sup>; on musi kręcić głową, nieborak!...

---

<sup>1</sup> wojny: pruska i francuska, rozpoczynały się w lecie – wojna prusko-austriacka rozpoczęła się w czerwcu 1866 r., wojna francusko-niemiecka w lipcu 1870 r. [przypis redakcyjny]

<sup>2</sup> Moltke Helmut (1800–1891) – pruski feldmarszałek i szef sztabu, opracował plany

Austriacy, a raczej Węgrzy już na dobre wleźli do Bośni i Hercegowiny, gdzie ich bardzo niegościnnie przyjmują. Znalazł się nawet jakiś Hadzi Loja<sup>3</sup>, podobno znakomity partyzant, który im napędza dużo zgryzot. Szkoda mi węgierskiej piechoty, ale też i dzisiejsi Węgrzy diabła warci. Kiedy ich w 49 roku dusił szwarcgelber<sup>4</sup>, krzyczeli: każdy naród ma prawo bronić swojej wolności!... A dziś co?... Sami pchają się do Bośni, gdzie ich nie wołano, a broniących się Bośniaków nazywają złodziejami i rozbójnikami.

Dalibóg coraz mniej rozumiem politykę! I kto wie, czy Stach Wokulski nie ma racji, że przestał się nią zajmować (jeżeli przestał?...).

Ale co ja rozprawiam o polityce, skoro w moim własnym życiu zaszła ogromna zmiana. Kto by uwierzył, że już od tygodnia nie zajmuję się sklepem; tymczasowo, rozumie się, bo inaczej chyba oszalałbym z nudów.

Rzecz jest taka. Pisze do mnie Stach z Paryża (prosił mnie o to samo przed wyjazdem), ażebym się zaopiekował kamienicą, którą kupił od Łęckich. „Nie miała baba kłopotu!...”, myślę, ale cóż robić?... Zdałem sklep Lisieckiemu i Szlangbaumowi, a sam – jazda w Aleje Jerozolimskie na zwiady.

---

zwycięskich wojen z Danią, Austrią i Francją. [przypis redakcyjny]

<sup>3</sup> Hadzi Loja – dowódca powstańców bośniackich walczących z austriackimi okupantami, proklamował „świętą wojnę” muzułmanów przeciw Austrii. [przypis redakcyjny]

<sup>4</sup> *szwarcgelber* (z niem.) – „czarno-żółty”, Austriak (od dawnych barw państwowych Austrii). [przypis redakcyjny]

Przed wyjściem pytam Klejną, który mieszka w Stachowej kamienicy, aby mi powiedział, jak tam idzie. Zamiast odpowiedzieć, wziął się za głowę.

– Jest tam jaki rządca?

– Jest – mówi Klejną krzywiąc się. – Mieszka na trzecim piętrze od frontu.

– Dosyć!... – mówię – dosyć, panie Klejną!... – (Nie lubię bowiem słuchać cudzych opinii pierwej, nim zobaczę na własne oczy. Zresztą Klejną, chłopak młody, łatwo mógłby wpaść w zarozumiałość pomiarkowawszy, że starsi zapytują go o informacje.)

Ha! trudno... Posyłam tedy do odprasowania mój kapelusz, płacę dwa złote, na wszelki wypadek biorę do kieszeni króci<sup>5</sup> i maszeruję gdzieś aż za kościół Aleksandra<sup>6</sup>.

Patrzę: dom żółty o trzech piętrach, numer ten sam, ba!... nawet już na tabliczce znajduję nazwisko Stanisława Wokulskiego... (Widocznie kazał ją przybić stary Szlangbaum.)

Wchodzę na podwórko... oj! niedobrze... Pachnie bestia jak apteka. Śmietnik naładowany do wysokości pierwszego piętra, wszystkimi zaś rynsztokami płyną mydliny. Dopiero teraz

---

<sup>5</sup> *króci*ca – ręczna broń palna nazywana króci<sup>5</sup>ca, ponieważ miała krótką lufę. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> *kościół Aleksandra* – kościół na placu Trzech Krzyży, zniszczony zupełnie w czasie powstania warszawskiego, odbudowany został w takim kształcie, jaki miał w czasie akcji *Lalki* a nie w takim, jaki miał tuż przed zburzeniem (tj. po przebudowie w latach 1886–1894). Rzecki idzie „aż za kościół Aleksandra”, prawdopodobnie na ul. Kruczą. [przypis redakcyjny]

sposzregłem, że na parterze w dziedzińcu znajduje się „Pralnia paryska”, z dziewczuchami jak dwugarbne wielbłądy. To dodało mi otuchy.

Wołam tedy: „Stróż!...” Przez chwilę nie widać nikogo, nareszcie pokazuje się baba tłusta i tak zasmolona, że nie mogę pojąć, jakim sposobem podobna ilość brudu mieści się w sąsiedztwie pralni, i do tego paryskiej.

– Gdzie stróż? – pytam dotykając ręką kapelusza.

– A czego to?... – odwarknęła baba.

– Przychodzę w imieniu właściciela domu.

– Stróż siedzi w kozie – mówi baba.

– Za cóż to?

– O!... ciekawy pan!... – wrzasnęła. – Za to, że mu gospodarz pensji nie płaci.

Ładnych rzeczy dowiaduję się na wstępie!

Naturalnie poszedłem od stróża do rządcy, na trzecie piętro. Już na drugim piętrze słyszę krzyk dzieci, jakieś trzaskanie i głos kobiety wołającej:

– A gałgany!... a nicponie!... a masz!... a masz!...

Drzwi otwarte, we drzwiach jakaś jejmość w nieco białym kaftaniku wali troje dzieci rzemieniem aż świszcze.

– Przepraszam – mówię – czy nie przeszkadzam?...

Na mój widok dzieci rozpierzchły się w głąb mieszkania, a jejmość w kaftaniku chowając za siebie rzemień zapytała zmieszana:

– Czy nie pan gospodarz?...

– Nie gospodarz, ale... przychodzę w jego imieniu do szanownego małżonka pani... Jestem Rzecki...

Jejmość chwilę przypatrywała mi się z niedowierzaniem, nareszcie rzekła:

– Wicek, biegnij do składu po ojca... A pan może pozwoli do saloniku...

Między mną i drzwiami wyrwał się obdarty chłopak i dopadłszy do schodów począł zjeżdżać na poręczy na dół. Ja zaś, zażenowany, wszedłem do saloniku, którego główną ozdobę stanowiła kanapa z wyłazającym na środku włosieniem.

– Oto los rządcy – odezwała się pani wskazując mi nie mniej obdarte krzesło. – Mój mąż służy niby to bogatym panom, a gdyby nie chodził do składu węgla i nie przepisywał u adwokatów, nie mielibyśmy co włożyć w usta. – Oto nasze mieszkanie, niech pan spojrzy – mówiła – za trzy ciupy dopłacamy sto osiemdziesiąt rubli rocznie...

Nagle od strony kuchni doleciało nas niepokojące syczenie. Jejmość w kaftaniku wybiegła szepcząc po drodze:

– Kaziu! idź do sali i uważaj na tego pana...

Istotnie, weszła do pokoju dziewczynka bardzo mizerna, w brązowej sukience i brudnych pończoszkach. Usiadła na krześle przy drzwiach i wpatrywała się we mnie wzrokiem o tyle podejrzliwym, o ile smutnym. Nigdy bym doprawdy nie sądził, że na stare lata wezmą mnie za złodzieja...

Siedzieliśmy tak z pięć minut milcząc i obserwując się wzajemnie, gdy nagle rozległ się krzyk i łoskot na schodach i w

tej chwili wbiegł z sieni ów obdarty chłopak, zwany Wickiem, za którym ktoś gniewnie wołał:

– A szelmo!... dam ja ci...

Odgadłem, że Wicek musi mieć żywy temperament i że ten, kto mu wymyśla, jest jego ojcem. Jakoż istotnie, ukazał się sam pan rządcą w poplamionym surducie i spodniach u dołu oberwanych. Miał przy tym gęsty, szpakowaty zarost i czerwone oczy.

Wszedł, grzecznie uklonił mi się i zapytał:

– Wszak mam honor z panem Wokulskim?

– Nie, panie, jestem tylko przyjacielem i dysponentem pana Wokulskiego...

– A tak!... – przerwał mi wyciągając do uścisku rękę. – Miałem przyjemność zauważyć pana w sklepie... Piękny sklep! – westchnął. – Z takich sklepów rodzą się kamienice, a... a z majątków ziemskich – takie oto mieszkania...

– Pan dobrodziej miał majątek? – spytałem.

– Ba!... Ale co tam... Zapewne chce pan poznać bilans tej kamienicy? – odparł rządcą. – Otóż powiem krótko. Mamy dwa rodzaje lokatorów: jedni już od pół roku nie płacą nikomu, inni płacą magistratowi kary lub zaległe podatki za gospodarza. Przy tym stróż nie odbiera pensji, dach zacieka, cyrkuł ekscytuje nas, ażebyśmy wywieźli śmiecie, jeden lokator wytoczył nam proces o piwnicę, a dwu lokatorów procesuje się o obelgi z powodu strychu... Co się zaś tyczy – dodał po chwili, nieco zmieszany – co się zaś tyczy dziewięćdziesięciu rubli, które ja będę winien

szanownemu panu Wokulskiemu...

– Nie niepokój się pan – przerwałem mu. – Stach, to jest pan Wokulski, zapewne umorzy pański dług do października, a następnie zawrze z panem nowy układ.

Ubogi eks-właściciel majątku ziemskiego serdecznie uściskał mi obie ręce.

Taki rządca, który miał kiedyś własne dobra, wydawał mi się bardzo ciekawą osobistością; ale jeszcze ciekawszym wydał mi się dom, który nie przynosi żadnych dochodów. Z natury jestem nieśmiały: wstydzę się rozmawiać z nieznanymi ludźmi, a prawie boję się wchodzić do cudzych mieszkań... (Boże miłosierny! jak ja już dawno nie byłem w cudzym mieszkaniu...) Tym razem jednak wstąpił we mnie jakiś diabeł i koniecznie zapragnąłem poznać lokatorów tej dziwnej kamienicy.

W roku 1849 bywało goręcej, a przecie szedł człowiek naprzód!...

– Panie – odezwałem się do rządcy – czy byłbyś łaskaw... przedstawić mnie niektórym lokatorom?... Stach... to jest pan Wokulski... prosił mnie o zajęcie się jego interesami, dopóki nie wróci z Paryża...

– Paryż!... – westchnął rządca. – Znam Paryż jeszcze z roku 1859. Pamiętam, jak przyjmowali cesarza<sup>7</sup>, kiedy wracał z kampanii włoskiej<sup>8</sup>...

---

<sup>7</sup> cesarz – Napoleon III. [przypis redakcyjny]

<sup>8</sup> kampania włoska – wojna Francji i Królestwa Sardynii z Austrią w r. 1859. [przypis redakcyjny]

– Pan – zawołałem – pan widziałeś triumfalny powrót Napoleona do Paryża?...

Wyciągnął do mnie rękę i odparł:

– Widziałem lepszą rzecz, panie... Podczas kampanii byłem we Włoszech i widziałem, jak Włosi przyjmowali Francuzów w wigilię bitwy pod Magentą<sup>9</sup>...

– Pod Magentą?... W roku 1859?... – spytałem.

– Pod Magentą, panie...

Popatrzyliśmy sobie w oczy z tym eks-obywatelem<sup>10</sup>, który nie mógł zdobyć się na wywabienie plam ze swego surduta. Popatrzyliśmy sobie – mówię – w oczy. Magenta... Rok 1859... Eh! Boże miłosierny...

– Powiedz pan – rzekłem – jak to was przyjmowali Włosi w wigilię bitwy pod Magentą?

Ubogi eks-obywatel siadł na wytartym fotelu i mówił:

– W roku 1859, panie Rzecki... Zdaje mi się, że mam honor...

– Tak, panie, jestem Rzecki, porucznik, panie, węgierskiej piechoty, panie...

Znowu popatrzyliśmy sobie w oczy. Eh! Boże miłosierny...

– Mów pan dalej, panie szlachcicu – rzekłem ściskając go za rękę.

– W roku 1859 – prawil eks-obywatel – byłem o

---

<sup>9</sup> Magenta – miejscowość w północnych Włoszech, gdzie 4 czerwca 1859 r. wojska francuskie i włoskie odniosły zwycięstwo nad armią austriacką. [przypis redakcyjny]

<sup>10</sup> *eks-obywatel* – tu w znaczeniu: były właściciel ziemski. [przypis redakcyjny]

dziewiętnaście lat młodszy niż dziś i miałem z dziesięć tysięcy rubli rocznie... Na owe czasy! panie Rzecki... Co prawda, brało się nie tylko procent, ale i coś z kapitału. Więc, jak przyszło uwłaszczenie<sup>11</sup>...

– No – rzekłem – chłopci są także ludźmi, panie...

– Wirski – wtrącił rządca.

– Panie Wirski – rzekłem – chłopci...

– Wszystko mi jedno – przerwał – czym są chłopci. Dość że w roku 1859 miałem z dziesięć tysięcy rubli dochodu (łącznie z pożyczkami) i byłem we Włoszech. Ciekawy byłem, jak wygląda kraj, z którego wypędzają Szwaba... A żem nie miał żony i dzieci, nie miałem dla kogo oszczędzać życia, więc przez amatorstwo jechałem z przednią strażą francuską... Szliśmy pod Magentę, panie Rzecki, choć nie wiedzieliśmy jeszcze, ani dokąd idziemy, ani kto z nas jutro zobaczy zachodzące słońce... Pan zna to uczucie, kiedy człowiek niepewny jutra znajdzie się w kompanii ludzi również niepewnych jutra?...

– Czy ja znam!... – Jedź pan dalej, panie Wirski...

– Niech mnie kaczkę zdepczą – mówił ubogi eks-obywatel – że to są najpiękniejsze chwile w życiu. Jesteś młody, wesół, zdrowy, nie masz na karku żony i dzieci, pijesz i śpiewasz, i co chwilę spoglądasz na jakąś ciemną ścianę, za którą ukrywa się

---

<sup>11</sup> *uwłaszczenie* – uwłaszczenie chłopów w zaborze rosyjskim, przeprowadzone przez rząd carski dekretem z 2 marca 1864 r. Z chwilą uwłaszczenia chłopci otrzymywali na bezwzględna własność uprawianą przez siebie ziemię, a ich dotychczasowe „powinności” wobec szlachty (pańszczyzna, czynsze) zostały zniesione. Podstawowe grunty folwarczne pozostały jednak w posiadaniu obszarników. [przypis redakcyjny]

nasze jutro... Hej! – wołasz – lejcie mi wina bo nie wiem, co jest za tą ciemną ścianą... Hej!... wina. Nawet pocałunków... panie Rzecki – szepnął nachylając się rządcą.

– Więc tedy, jakeście szli z przednią strażą pod Magentę?...  
– przerwałem mu.

– Szliśmy z kirasjerami<sup>12</sup> – mówił rządcą. – Pan znasz kirasjerów, panie Rzecki?... Na niebie świeci jedno słońce, ale w szwadronie kirasjerów jest sto słońc...

– Ciężka to jazda – wtrąciłem. – Piechota gryzie ją jak stalowy dziadek orzechy...

– Zbliżamy się tedy, panie Rzecki, do jakiejś włoskiej miejsciny, aż chłopci tamtejsi dają znać, że niedaleko stoi korpus austriacki. Szlemy<sup>13</sup> ich tedy do miasteczka z rozkazem, a właściwie z prośbą, ażeby mieszkańcy, gdy nas zobaczą, nie wydawali żadnych okrzyków...

– Rozumie się – rzekłem. – Kiedy nieprzyjaciel w sąsiedztwie...

– W pół godziny – ciągnął rządcą – jesteśmy w mieście. Ulica wąska, po obu stronach naród, ledwie można przejechać czwórkami, a w oknach i na balkonach kobiety... Jakie kobiety, panie Rzecki!... Każda ma w ręku bukiet z róż. Ci, którzy stoją na ulicy, ani pary z ust... bo Austriacy blisko... Ale tamte, co na balkonach, skubią, panie, swoje bukiety i spoconych, pyłem

---

<sup>12</sup> *kirasjerzy* – żołnierze ciężkiej jazdy noszący kirys, czyli zbroję, która osłania tylko tułów. [przypis redakcyjny]

<sup>13</sup> *szlemy* – ślemy. [przypis edytorski]

okrytych kirasjerów zasypują listkami z róż jak śniegiem... Ach, panie Rzecki, gdybyś widział ten śnieg: amarantowy, różowy, biały, i te ręce, i te Włoszki...

Pułkownik tylko dotykał ust i na prawo, i na lewo słał pocałunki. A tymczasem śnieg różanych listków zasypywał złote kirysy<sup>14</sup>, hełmy i parskające konie... Na domiar jakiś stary Włoch, z krzywym kijem i siwymi włosami do kołnierza, zastąpił drogę pułkownikowi. Schwycił za szyję jego konia, pocałował go i krzyknąwszy: *Eviva Italia!*<sup>15</sup>, padł trupem na miejscu... – Taka była nasza wigilia przed Magenta!

To mówił eks-obywatel, a z oczu spływały mu łzy na poplamiony surdut.

– Niech mnie diabli wezmą, panie Wirski! – zawołałem – jeżeli Stach nie odda panu darmo tego mieszkania.

– Sto osiemdziesiąt rubli dopłacam! – szlochał rządca.

Obtarliśmy oczy.

– Panie – mówię – Magenta Magentą, a interes interesem. Może przedstawiś mnie pan kilku lokatorom.

– Chodź pan – odpowiedział rządca zrywając się z obdartego fotelu. – Chodź pan, pokażę panu najosobliwszych...

Wybiegł z saloniku i wtykając głowę do drzwi, zdaje mi się do kuchennych zawołał:

– Maniu! ja wychodzę... A z tobą, Wicek, obrachujemy się wieczorem...

---

<sup>14</sup> kirysy – zbroja na piersi. [przypis redakcyjny]

<sup>15</sup> *Eviva Italia!* (właście *evviva...* wł.) – Niech żyją Włochy! [przypis redakcyjny]

– Ja nie gospodarz, żeby się tatko ze mną rachował – odpowiedział mu dziecięcy głos.

– Daruj mu pan – szepnąłem do rządcy.

– Akurat!... – odparł. – Nie zasnąłby, gdyby nie dostał wałów. Dobry chłopak – mówił – sprytny chłopak, ale szelma!...

Wyszliśmy z mieszkania i zatrzymaliśmy się przede drzwiami obok schodów. Rządca ostrożnie zapukał, a mnie wszystka krew uciekła z głowy do serca, a z serca do nóg. Może nawet z nóg uciekłyby do butów i gdzieś het! po schodach aż do bramy, gdyby nie odpowiedziano z wnętrza:

– Proszę!...

Wchodzimy.

Trzy łóżka. Na jednym z książką w rękę i nogami opartymi o poręcz leży jakiś młody człowiek z czarnym zarostem i w studenckim mundurku; na dwu zaś innych łóżkach pościel wyglądała tak, jakby przez ten pokój przeleciał huragan i wszystko do góry nogami przewrócił. Widzę też kufer, pustą walizkę tudzież mnóstwo książek leżących na półkach, na kufrze i na podłodze. Jest nareszcie kilka krzeseł giętych i zwyczajnych i niepoliturowany stół, na którym przyjrzawszy się uważniej spostrzegłem wymalowaną szachownicę i poprzewracane szachy.

W tej chwili mdło mi się zrobiło; obok szachów bowiem spostrzegłem dwie trupie główki: w jednej był tytuń, a w drugiej... cukier!...

– Czego to? – zapytał młody człowiek z czarnym zarostem nie

podnosząc się z łóżka.

– Pan Rzecki, plenipotent<sup>16</sup> gospodarza... – odezwał się rządcą wskazując na mnie.

Młody człowiek oparł się na łokciu i bystro patrząc na mnie rzekł:

– Gospodarza?... W tej chwili ja tu jestem gospodarzem i wcale sobie nie przypominam, ażebym mianował plenipotentem tego pana...

Odpowiedź była tak uderzająco prosta, że obaj z Wirskim osłupieliśmy. Młody człowiek tymczasem ociężale podniósł się z łóżka i bez zbytniego pośpiechu począł zapinać spodnie i kamizelkę. Pomimo całej systematyczności, z jaką oddawał się temu zajęciu, jestem pewny, że przynajmniej połowa guzików jego garderoby pozostała nie zapiętą.

– Aaa!... – ziewnął.

– Niech panowie siadają – rzekł manewrując ręką w taki sposób, że nie wiedziałem, czy każe nam umieścić się w walizie czy na podłodze.

– Gorąco, panie Wirski – dodał – prawda?... Aaa!...

– Właśnie sąsiad z przeciwka skarży się na panów dobrodziejów!... – odparł z uśmiechem rządcą.

– O cóż to?

– Że panowie chodzą nago po pokoju...

Młody człowiek oburzył się.

---

<sup>16</sup> *plenipotent* – pełnomocnik, osoba upoważniona do działania w czyjms imieniu.  
[przypis edytorski]

– Zwariował stary czy co?... On może chce, żebyśmy się ubierali w futra na taką spiekotę?... Bezczelność! słowo honoru daję...

– No – mówił rządca – niech panowie raczą uwzględnić, że on ma dorosłą córkę.

– A cóż mnie do tego?... Ja nie jestem jej ojcem. Stary błazen! słowo honoru, i przy tym łże, bo nago nie chodzimy.

– Sam widziałem... – wtrącił rządca.

– Słowo honoru, kłamstwo! – zawołał młody człowiek rumieniąc się z gniewu. – Prawda, że Maleski chodzi bez koszuli, ale w majtkach, a Patkiewicz chodzi bez majtek, lecz za to w koszuli. Panna Leokadia więc widzi cały garnitur...

– Tak, i musi zasłaniać wszystkie okna – odparł rządca.

– To stary zasłania, nie ona – odparł student machając ręką.

– Ona wygląda przez szpary między firanką a oknem. Zresztą, proszę pana: jeżeli pannie Leokadii wolno drzeć się na całe podwórko, to znowu Maleski i Patkiewicz mają prawo chodzić po swoim pokoju, jak im się podoba.

Mówiąc to młody człowiek spacerował wielkimi krokami. Ile razy zaś stanął do nas tyłem, rządca mrugał na mnie i robił miny oznaczające wielką desperację. Po chwili milczenia odezwał się:

– Panowie dobrodzieje winni nam są za cztery miesiące...

– O, znowu swoje!... – wykrzyknął młody człowiek wsadzając ręce w kieszenie. – Ileż razy jeszcze będę musiał powtarzać panu, ażeby pan o tych głupstwach nie gadał ze mną, tylko albo z Patkiewiczem, albo z Maleskim?... To przecież

tak łatwo pamiętać: Maleski płaci za miesiące parzyste, luty, kwiecień, czerwiec, a Patkiewicz za nieparzyste: marzec, maj, lipiec...

– Ależ nikt z panów nigdy nie płaci! – zawołał zniecierpliwiony rządca.

– A któż winien, że pan nie przychodzi we właściwej porze?! ... – wrzasnął młody człowiek wytrząsając rękoma. – Sto razy słyszałeś pan, że do Maleskiego należą miesiące parzyste, a do Patkiewicza nieparzyste...

– A do pana dobrodzieja?...

– A do mnie, łaskawy panie, żadne – wołał młody człowiek grożąc nam pod nosami – bo ja z zasady nie płacę za komorne. Komu mam płacić?... Za co?... Cha! cha! dobrzy sobie...

Począł chodzić jeszcze prędzej po pokoju śmiejąc się i gniewając. Nareszcie zaczął świstać i wyglądać przez okno, hardo odwróciwszy się tyłem do nas...

Mnie już zabrakło cierpliwości.

– Pozwoli pan zrobić uwagę – odezwałem się – że takie nieszanowanie umowy jest dość oryginalne... Ktoś daje panu mieszkanie, a pan uważa za stosowne nie płacić mu...

– Kto mi daje mieszkanie?!... – wrzasnął młody człowiek siadając na oknie i huśtając się w tył, jakby miał zamiar rzucić się z trzeciego piętra. – Ja sam zająłem to mieszkanie i będę w nim dopóty, dopóki mnie nie wyrzucą. Umowy!... paradni są z tymi umowami... Jeżeli społeczeństwo chce, ażebym mu płacił za mieszkanie, to niechaj samo płaci mi tyle za korepetycje,

żeby z nich wystarczyło na komorne... Paradni są!... Ja za trzy godziny lekcyj co dzień mam piętnaście rubli na miesiąc, za jedzenie biorą ode mnie dziewięć rubli, za pranie i usługę trzy... A mundur, a wpis?... I jeszcze chcą, żebym za mieszkanie płacił. Wyrzucicie mnie na ulicę – mówił zirytowany – niech mnie złapie hycel i da pałą w łeb... Do tego macie prawo, ale nie do uwag i wymówek...

– Nie rozumiem pańskiego uniesienia – rzekłem spokojnie.

– Mam się czego unosić! – odparł młody człowiek huśtając się coraz mocniej w stronę podwórka. – Społeczeństwo, jeżeli nie zabiło mnie przy urodzeniu, jeżeli każe mi się uczyć i zdawać kilkanaście egzaminów, zobowiązało się tym samym, że mi da pracę ubezpieczającą mój byt... Tymczasem albo nie daje mi pracy, albo oszukuje mnie na wynagrodzeniu... Jeżeli więc społeczność względem mnie nie dotrzymuje umowy, z jakiej racji żąda, abym ja jej dotrzymywał względem niego. Zresztą co tu gadać, z zasady nie płacę komornego, i basta. Tym bardziej że obecny właściciel domu nie budował tego domu; nie wypalał cegieł, nie rozrabiał wapna, nie murował, nie narażał się na skręcenie karku. Przyszedł z pieniędzmi, może ukradzionymi, zapłacił innemu, który może także okradł kogo, i na tej zasadzie chce mnie zrobić swoim niewolnikiem. Kpiny ze zdrowego rozsądku!

– Pan Wokulski – rzekłem powstając z krzesła – nie okradł nikogo... Dorobił się majątku pracą i oszczędnością...

– Daj pan spokój! – przerwał młody człowiek. – Mój ojciec

był zdolnym lekarzem, pracował dniem i nocą, miał niby to dobre zarobki i oszczędził... raptem trzysta rubli na rok! A że wasza kamienica kosztuje dziewięćdziesiąt tysięcy rubli, więc na kupienie jej za cenę uczciwej pracy mój ojciec musiałby żyć i zapisywać recepty przez trzysta lat... Nie uwierzę zaś, ażeby ten nowy właściciel pracował od trzystu lat...

W głowie zaczęło mi krążyć od tych wywodów; młody człowiek zaś mówił dalej:

– Możecie nas wypędzić, owszem!... Wtedy dopiero przekonacie się, coście stracili. Wszystkie praczki, wszystkie kucharki z tej kamienicy stracą humor, a pani Krzeszowska już bez przeszkody zacznie śledzić swoich sąsiadów, rachować każdego gościa, który przychodzi do nich z wizytą, i każde ziarno kaszy, które sypią do garnka... Owszem, wypędźcie nas!... Wtedy dopiero panna Leokadia zacznie wyśpiewywać swoje gamy i wokalizy<sup>17</sup> z rana sopranem, a po południu kontraltem... I diabli wezmą dom, w którym my jedni jako tako utrzymujemy porządek!

Zabraliśmy się do odejścia.

- Więc pan stanowczo nie zapłaci komornego? – spytałem.
- Ani myślę.
- Może choć od paździenika zacznie pan płacić?
- Nie, panie. Niedługo już będę żył, więc pragnę przeprowadzić choćby jedną zasadę: jeżeli społeczność chce,

---

<sup>17</sup> wokalizy – ćwiczenia w śpiewie bez słów, polegające na śpiewaniu jednej samogłoski. [przypis redakcyjny]

ażeby jednostki szanowały umowę względem niej, niechaj sama wykonywa ją względem jednostek. Jeżeli ja mam komuś płacić za komorne, niech inni tyle płacą mi za lekcje, żeby mi na komorne wystarczyło. Rozumie pan?...

– Nie wszystko, panie – odparłem.

– Nic dziwnego – rzekł młody człowiek. – Na starość mózg wiednie i nie jest zdolny przyjmować nowych prawd...

Ukloniliśmy się sobie nawzajem i wyszliśmy obaj z rządcą. Młody człowiek zamknął za nami drzwi, lecz za chwilę wybiegł na schody i zawołał:

– A niechaj komornik przyprowadzi ze sobą dwu stójkowych<sup>18</sup>, bo mnie będą musieli wynosić z mieszkania...

– Owszem, panie! – odpowiedziałem mu z grzecznym ukłonem, myśląc w głębi duszy, że nie godzi się jednak wyrzucać takiego oryginała.

Kiedy szczególny młodzieniec ostatecznie cofnął się do pokoju i zamknął drzwi na klucz dając tym sposobem do zrozumienia, że konferencję z nami uważa za skończoną, zatrzymałem się w połowie schodów i rzekłem do rządcy:

– Widzę, macie tu kolorowe szyby, co?

– O, bardzo kolorowe.

– Ale są zakurzone...

– O, bardzo zakurzone – odparł rządcą.

– I myślę – dodałem – że ten młody człowiek pod względem niepłacenia komornego dotrzyma słowa, co?

---

<sup>18</sup> *stójkowy* – posterunkowy ówczesnej policji rosyjskiej. [przypis redakcyjny]

– Panie – zawołał rządca – on to nic. On mówi, że nie zapłaci, no i nie płaci; ale tamci dwaj nic nie mówią i także nie płacą. To są, panie Rzecki, nadzwyczajni lokatorowie!... Oni jedni nigdy nie robią mi zawodu.

Mimo woli, i nie wiem nawet dlaczego, pokręciłem głową, choć przeczuwam, że gdybym był właścicielem podobnego domu, kręciłbym głową cały dzień.

– Więc tu nikt nie płaci, a przynajmniej nie płaci regularnie? – zapytałem eks-obywatela.

– I nie ma się czemu dziwić – odparł pan Wirski. – W domu, z którego od tylu lat komorne pobierają wierzyciele, najuczciwszy lokator musi się znarowić<sup>19</sup>. Pomimo to mamy kilku bardzo punktualnych, na przykład baronowa Krzeszowska...

– Co?!... – zawołałem. – Ach, prawda, że baronowa tu mieszka... Chciała nawet kupić ten dom...

– I kupi go – szepnął rządca – tylko, panowie, trzymajcie się ostro!... Kupi go, choćby miała oddać cały swój majątek... A niemały to majątek, choć pan baron mocno go nadszarpnął...

Wciąż stałem na połowie schodów, pod oknem z żółtymi, czerwonymi i niebieskimi szybami. Wciąż stałem zapatrzony we wspomnienie pani baronowej, którą widziałem zaledwie kilka razy w życiu i zawsze przedstawiała mi się jako osoba bardzo ekscentryczna. Umie być pobożną i zawziętą, pokorną i ordynaryjną...

---

<sup>19</sup> *znarowić się* – spowodować, że ktoś stał się zuchwały i samowolny. [przypis edytorski]

– Cóż to za kobieta, panie Wirski? – spytałem. – To niezwykła kobieta, panie...

– Jak wszystkie histeryczki – mruknął eks-obywatel. – Straciła córeczkę, mąż ją porzucił... Same awantury!...

– Pójdziemy do niej, panie – rzekłem schodząc na drugie piętro. Czulem w sobie takie męstwo, że baronowa nie tylko nie trwożyła mnie, lecz prawie pociągała.

Ale kiedy stanęliśmy pode drzwiami i rządcza zadzwonił, doznałem skurczu w łydkach. Nie mogłem ruszyć się z miejsca i tylko dlatego nie uciekłem. W jednej chwili opuściła mnie odwaga, przypomniałem sobie sceny z licytacji...

Obrócił się klucz w zamku, stuknęła zasuwka i w uchylonych drzwiach ukazała się twarz niestarej jeszcze dziewczyny, ubranej w biały czepeczek.

– A kto to? – spytała dziewczyna.

– Ja, rządcza.

– Czego pan chce?

– Przychodzę z pełnomocnikiem właściciela.

– A ten pan czego chce?

– Ten pan właśnie jest pełnomocnikiem.

– Więc jak mam powiedzieć?...

– Powiedz pani – odparł już zirytowany rządcza – że przychodzimy pogadać o lokalu...

– Aha!

Zamknęła drzwi i odeszła. Uplłynęło ze dwie albo trzy minuty, zanim wróciła na powrót i po otwarciu wielu zamków

wprowadziła nas do pustego salonu.

Dziwny był widok tego salonu. Meble okryte ciemnopopielatymi pokrowcami, to samo fortepian, to samo pająk zawieszony u sufitu; nawet stojące w kątach kolumny z posążkami miały także popielate koszule. W ogóle robił on wrażenie pokoju, którego właściciel wyjechał zostawiwszy tylko służbę bardzo dbałą o porządek domu.

Za drzwiami było słycać rozmowę na głos kobiecy i męski. Kobiecy należał do baronowej; męski znałem dobrze, ale nie mogłem sobie przypomnieć, czyj jest.

– Przysięgłabym – mówiła baronowa – że utrzymuje z nią stosunki. Onegdaj przysłał jej przez posłańca bukiet...

– Hum!... Hum!... – wtrącił głos męski.

– Bukiet, który ta obrzydliwa kokietka, dla oszukania mnie, kazała natychmiast wyrzucić za okno...

– Przecież baron na wsi... tak daleko od Warszawy... – odparł mężczyzna.

– Ale ma tu przyjaciół – zawołała baronowa. – I gdybym nie znała pana, przypuszczałabym, że pośredniczysz mu w tych bezceństwach.

– Ależ, pani!... – zaprotestował głos męski. I w tej samej chwili rozległy się dwa pocałunki, sądząc, że w rękę.

– No, no, panie Maruszewicz, bez czułości!... Znam ja was. Obsypujecie pieścizotami kobietę, dopóki wam nie zaufa, a potem trwonicie jej majątek i żądacie rozwodu...

„Więc to Maruszewicz – pomyślałem. – Ładna para...”

– Ja jestem zupełnie inny – odparł ciszej męski głos za drzwiami i znowu rozległy się dwa pocałunki, z pewnością w rękę.

Spojrzałem na eks-obywatela. Podniósł oczy do sufitu, a ramiona prawie do wysokości uszu.

– Frant<sup>20</sup>!... – szepnął wskazując na drzwi.

– Znasz go pan?...

– Bah!...

– Więc – mówiła baronowa w drugim pokoju – niechże pan zanieś do Św. Krzyża<sup>21</sup> te dziewięć rubli na trzy wotywy<sup>22</sup>, na intencję, ażeby Bóg go upamiętał... Nie – dodała po chwili nieco zmienionym głosem. – Niech będzie jedna wotywa za niego, a dwie za duszę mojej nieszczęśliwej dziewczeczki.

Przerwało jej ciche szlochanie.

– Niechże się pani uspokoi!... – łagodnie reflektował<sup>23</sup> ją Maruszewicz.

– Idź pan już, idź... – odparła.

Nagle otworzyły się drzwi salonu i jak wryty stanął na progu Maruszewicz, za którym ujrzałem żółtawą twarz i zaczerwienione oczy pani baronowej. Rządca i ja podnieśliśmy

---

<sup>20</sup> *frant* – (daw.) człowiek miły, zabawny, ale do tego cechujący się przebiegłością. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *Św. Krzyż* – kościół Św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu z końca XVII w. (zniszczony w czasie powstania, obecnie odbudowany). [przypis redakcyjny]

<sup>22</sup> *wotywa* – msza śpiewana, odprawiana specjalnie na czyjaś intencję. [przypis redakcyjny]

<sup>23</sup> *reflektować* – tu: uspokajać, hamować. [przypis redakcyjny]

się z krzesel. Maruszewicz cofnął się w głąb drugiego pokoju i widocznie wyszedł innymi drzwiami, a pani baronowa zawołała gniewnie:

– Marysia!... Marysia!...

Wbiegła dziewczyna w białym, jak wyżej, czepeczku, w ciemnej sukni i białym fartuchu. W ubraniu tym wyglądałaby na dozorczynię chorych, gdyby jej oczy nie rzucały za wiele iskier.

– Jak mogłaś wprowadzić tu tych panów? – zapytała ją baronowa.

– Pani przecie kazała prosić...

– Głupia... precz!... – syknęła baronowa. Następnie zwróciła się do nas:

– Czego pan chce, panie Wirski?

– Pan Rzecki jest plenipotentem właściciela domu – odparł rządca.

– A, a!... To dobrze... – mówiła baronowa, powoli wchodząc do salonu i nie prosząc nas, żebyśmy usiedli. Rysopis tej damy: czarna suknia, żółtawa twarz, sinawe usta, zaczerwienione z płaczu oczy i włosy gładko uczesane. Skrzyżowała ręce na piersiach jak Napoleon I i patrząc na mnie rzekła:

– A, a, a!... To pan jest plenipotentem, zdaje mi się, że pana Wokulskiego... Czy tak?... Niechże mu pan powie, że albo ja wyprowadzę się z tego mieszkania, za które płacę mu siedemset rubli bardzo regularnie, wszak prawda, panie Wirski?...

Rządca uklonił się.

– Albo – ciągnęła baronowa – pan Wokulski usunie ze swego

domu te brudy i niemoralność...

– Niemoralność? – spytałem.

– Tak, panie – potwierdziła baronowa kiwając głową. – Te praczki, które przez cały dzień śpiewają jakieś wstrętne piosenki na dole, a wieczorem śmieją się nad moją głową u tych... studentów... Ci zbrodniarze, którzy na mnie rzucają z góry papierosy albo leją wodę... Ta nareszcie pani Stawska, o której nie wiem, czym jest: wdową czy rozwódką, ani z czego się utrzymuje... Ta pani bałamuci mężów żonom cnotliwym, a tak strasznie nieszczęśliwym...

Zaczęła mrugać oczyma i rozplakała się.

– Okropność!... – mówiła łkając. – Być przykutą do tak wstrętnego domu przez pamięć dla dziecka, której nic już nie wydrze z serca. Wszakże ona biegała po tych wszystkich pokojach... Ona bawiła się tam, od podwórza... I wyglądała oknem, przez które mnie, matce–sierocie, wyrzeć dzisiaj nie wolno... Chcą mnie wypędzić stąd... wszyscy chcą mnie wypędzić... wszystkim zawadzam... A przecież ja stąd nie mogę wyprowadzić się, bo każda deska tej podłogi nosi ślady jej nóżek... w każdej ścianie uwiązał jej śmiech albo płacz...

Upadła na kanapę i zaniósła się od łkania.

– Ach! – płakała – ludzie są okrutniejsi od zwierząt... Chcą mnie wygnać stąd, gdzie moja dziecina wydała ostatnie tchnienie... Jej łóżeczko i wszystkie zabawki leżą na swoich miejscach... Sama ścieram kurze w jej pokoju, ażeby

nie poruszyć najmniejszego sprzętu... Każdy cal<sup>24</sup> podłogi wydeptałam kolanami, wyciąłowałam ślady mojej dzieciny, a oni mnie chcą wygnać!... Wygnajcież stąd pierwej mój ból, moją tęsknotę, moją rozpacz...

Zasłoniła twarz i szlochała rozzwierającym głosem. Spojrzałem, że rządcy nos czerwienieje, a i ja sam uczułem łzy pod powiekami.

Rozpacz baronowej po zmarłym dziecku tak mnie rozbroiła, że nie miałem odwagi mówić z nią o podwyższeniu komornego. Płacz zaś jej tak znowu denerwował, że gdyby nie wzgląd na drugie piętro, wyskoczyłbym chyba oknem.

W rezultacie chcąc za jakąkolwiek cenę utulić szlochającą kobietę, odezwałem się z całą łagodnością:

– Proszę pani, niech się pani uspokoi... Czego pani żąda od nas?... Czym możemy służyć?...

W głosie moim było tyle współczucia, że rządcy nos jeszcze bardziej poczerwieniał. Pani baronowej zaś obeschło jedno oko, lecz jeszcze płakała drugim, na znak, że nie uważa swojej akcji za skończoną, a mnie za pobitego.

– Żądam... żądam – mówiła wśród westchnień – żądam, aby mnie nie wypędzano z miejsca, gdzie umarło moje dziecko... i gdzie wszystko mi je przypomina. Nie mogę, no... nie mogę oderwać się od jej pokoju... nie mogę ruszyć jej sprzętów i zabawek... Podłogą jest w taki sposób wyzyskiwać niedolę.

– Któż ją wyzyskuje? – spytałem.

---

<sup>24</sup> cal – dawna miara długości: 2,4 cm. [przypis redakcyjny]

– Wszyscy, począwszy od gospodarza, który każe mi płacić siedemset rubli...

– A, wybacz pani baronowa! – zawołał rządca. – Siedem pysznych pokoi, dwie kuchnie jak salony, dwa schowki... Niech pani komu odstąpi ze trzy pokoje: przecież są dwa frontowe wejścia.

– Nic nikomu nie odstąpię – odparła stanowczo – gdyż jestem pewna, że mój zbłąkany mąż lada dzień opamięta się i powróci...

– W takim razie trzeba płacić siedemset rubli...

– Jeżeli nie więcej... – szepnąłem.

Pani baronowa spojrzała tak, jakby chciała mnie spalić wzrokiem i utopić we łzach. Oj! co to za setna kobietka... Aż mi zimno, kiedy o niej pomyślę.

– Mniejsza o komorne – rzekła.

– Bardzo rozsądnie! – pochwalił ją Wirski kłaniając się.

– Mniejsza o pretensje gospodarza... Ale przecież nie mogę płacić siedmiuset rubli za lokal w podobnym domu...

– Czego pani baronowa chce od domu? – spytałem.

– Ten dom jest hańbą uczciwych ludzi – zawołała gestykulując rękoma. – Więc nie od siebie, ale w imieniu moralności proszę...

– O co?

– O usunięcie tych studentów, którzy mieszkają nade mną, nie pozwalają mi wyjrzeć oknem na podwórze i demoralizują wszystkie...

Nagle zerwała się z kanapy.

– O! słyszy pan? – rzekła wskazując na drzwi, które

prowadziły do pokoju od strony dziedzińca.

Istotnie, usłyszałem głos ekscentrycznego brunecika, który z trzeciego piętra wołał:

– Marysiu!... Marysiu, chodź do nas...

– Marysiu! – krzyknęła baronowa.

– Przecież jestem... Czego pani chce? – odparła nieco zarumieniona służąca.

– Ani mi się rusz z domu!... Oto ma pan... – mówiła baronowa – tak jest po całych dniach. A wieczorem chodzą do nich praczki... Panie! – zawołała składając pobożnie ręce – wygnajcie tych nihilistów<sup>25</sup>, bo to źródło zepsucia i niebezpieczeństwa dla całego domu... Oni w trupich główkach trzymają herbatę i cukier... Oni kośćmi ludzkimi poprawiają węgle w samowarze... Oni chcą tu kiedy przynieść całego nieboszczyka!...

Zaczęła znowu tak płakać, iż myślałem, że dostanie spazmów.

– Panowie ci – rzekłem – nie płacą komornego, więc bardzo być może...

Baronowej obeschły oczy.

– Ależ naturalnie – przerwała mi – że musicie ich wypędzić...

Lecz, panie! – zawołała – jakkolwiek są oni źli i zepsuci, to przecież gorszą od nich jest ta... ta Stawska!...

Zdziwiłem się zobaczywszy płomień nienawiści, jaki błysnął w oczach pani baronowej przy wymówieniu nazwy: Stawska.

---

<sup>25</sup> *nihilizm* – nurt społeczny w XIX wieku odrzucający wszelkie społeczne normy i wartości. Nihilista to osoba żyjąca według zasad nihilizmu. [przypis edytorski]

– Pani Stawska tu mieszka? – spytałem mimo woli. – Ta piękna?...

– O... nowa ofiara!... – wykrzyknęła baronowa wskazując na mnie i z pałającymi oczyma zaczęła mówić głębokim głosem:

– Ależ, człowieku siwowłoso, zastanów się, co robisz?...  
Wszakże to kobieta, której mąż oskarżony o zabójstwo uciekł za granicę... A z czego ona żyje?... Z czego się tak stroi?...

– Pracuje kobiecisko jak wół – szepnął rządcą.

– O... i ten!... – zawołała baronowa. – Mój mąż (jestem pewna, że to on) przysłał jej ze wsi bukiety... Rządcą tego domu kocha się w niej i bierze od niej komorne z dołu co miesiąc...

– Ależ, pani!... – zaprotestował eks-obywatel, a jego oblicze stało się tak rumiane jak nos.

– Nawet ten poczciwy niedołęga Maruszewicz – ciągnęła baronowa – nawet on po całych dniach wygląda do niej oknem...

Dramatyczny głos baronowej przeszedł znowu w szlochanie.

– I pomyśleć – jęczała – że taka kobieta ma córkę, córkę... którą wychowuje dla piekła, a ja... O! wierzę w sprawiedliwość... wierzę w miłosierdzie boskie, ale nie rozumiem... tak... nic nie rozumiem tych wyroków, które mnie pozbawiły, a jej zostawiają dziecko... tej... tej... Panie! – wybuchnęła z nową siłą głosu – możesz zostawić nawet tych nihilistów, ale ją... musisz wygnać!... Niech lokal po niej stoi pustką... będę za niego płacić, byle ona nie miała dachu nad głową...

Ten wykrzykownik już całkiem mi się nie podobał. Dałem znak

rządcy, że wychodzimy, i kłaniając się rzekłem oziębłe:

– Pozwoli pani baronowa, że w tej sprawie zadecyduje sam gospodarz, pan Wokulski.

Baronowa rozkrzyżowała ręce jak człowiek trafiony kulą w piersi.

– Ach!... więc tak?... – szepnęła. – Więc już i pan i... ten, ten... Wokulski zwiążaliście się z nią?... Ha!... zaczekam tedy na sprawiedliwość boską...

Wyszliśmy, nie zatrzymywani dłużej; na schodach zatoczyłem się jak pijany.

– Co pan wiesz o tej pani Stawskiej? – zapytałem Wirskiego.

– Najuczciwsza kobieta – odparł. – Młode to, piękne i pracuje na cały dom... Bo emerytura jej matki ledwie starczy na komorne...

– Ma matkę?

– Ma. Także dobra kobiecina.

– A ile płacą za lokal?

– Trzysta rubli – odpowiedział rządca. – To, panie, jakbyśmy z ołtarza zdejmowali...

– Pójdziemy do tych pań – rzekłem.

– Z największą chęcią! – zawołał. – A co o nich plecie ta wariatka, niech pan nie słucho. Ona nienawidzi Stawskiej, nie wiem nawet za co. Chyba za to, że jest piękna i ma córeczkę jak cherubinek...

– Gdzie mieszkają?

– W prawej oficynie, na pierwszym piętrze.

Nie pamiętam nawet, kiedy zeszedliśmy ze schodów frontowych, a kiedy mineliśmy podwórko i weszliśmy na pierwsze piętro oficyny. Tak ciągle stała mi przed oczyma pani Stawska i Wokulski... Mój Boże! jaka by to była piękna para; ale i cóż z tego, kiedy ona ma męża. Chociaż to są sprawy, do których najmniej miałbym ochoty mieszać się. Mnie się wydaje tak, im wydałoby się owak, a losowi jeszcze inaczej...

Los! los!... on dziwnie zbliża ludzi. Gdybym przed laty nie zeszedł do piwnicy Hopfera, do Machalskiego, nie poznałbym się z Wokulskim. Gdybym jego znowu nie wyprawił do teatru, on może nie spotkałby się z panną Łęcką. Raz mimo woli nawarzyłem mu piwa i już nie chcę powtarzać tego po raz drugi. Niech sam Bóg radzi o swej czeladzi...

Gdy stanęliśmy pode drzwiami mieszkania pani Stawskiej, rządca uśmiechnął się filuternie i szepnął:

– Uważa pan... naprzód dowiemy się, czy młoda jest w domu. Jest co widzieć, panie!...

– Wiem, wiem...

Rządca nie dzwonił, ale zapukał raz i drugi. Nagle drzwi otworzyły się dość gwałtownie i stanęła w nich gruba i niska służąca z zawiniętymi rękawami i z mydłem na rękach, których mógłby jej pozazdrościć atleta.

– O, to pan rządca!... – zawołała. – Myślałam, że znowu jaki tam...

– Cóż, dobijał się kto?... – spytał Wirski z akcentem oburzenia w głosie.

– Nie dobijał się nijaki – z chłopska odparła służąca – ino jeden przysłał dziś bukiet. Mówią, że to ten Marusiewicz z przeciwka...

– Łotr! – syknął rządcą.

– Mężczyzny wszystkie takie. Niech mu się co podoba, to zaraz będzie lał jak ćma w ogień.

– A panie obie są? – spytał Wirski.

Gruba służąca spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Pan rządcą z tym panem?

– Z tym panem. To plenipotent gospodarza.

– A młody on czy stary? – badała dalej, przypatrując mi się jak sędzia śledczy.

– Widzisz przecie, że stary!... – odparł rządcą.

– W średnim wieku... – wtrąciłem. (Oni, dalibóg, niedługo piętnastoletnich chłopców zaczną nazywać starymi.)

– Są obie panie – mówiła służąca. – Tylko co do pani młodszej przysłała jedna dziewczynka wydawać lekcje. Ale pani starsza jest w swoim pokoju.

– Phy! – mruknął rządcą. – Wreszcie powiedz pani starszej...

Weszliśmy do kuchni, gdzie stała balia pełna mydlin i dziecinnej bielizny. Na sznurze zawieszonym w pobliżu komina suszyły się również dziecinne spódniczki, koszule i pończoszki. (Jak to zaraz znać, że w mieszkaniu jest dziecko!)

Spoza uchylonych drzwi usłyszeliśmy głos już starszej kobiety.

– Z rządcą?... jakiś pan? – mówiła niewidzialna dama. –

Może to Ludwiczek, bo akurat śnił mi się...

– Niech panowie idą – rzekła służąca otwierając drzwi do saloniku.

Salonik nieduży, koloru perłowego. Szafirowe sprzęty, pianino, w obu oknach pełno kwiatów białych i różowych, na ścianach premia Towarzystwa Sztuk Pięknych<sup>26</sup>, na stole lampa ze szkłem w formie tulipana. Po cmentarnym salonie pani Krzeszowskiej z meblami w ciemnych pokrowcach wydało mi się tu weselej. Pokój wyglądał, jakby oczekiwano na gościa. Ale jego sprzęty zanadto symetrycznie ustawione dokoła stołu świadczyły, że gość jeszcze nie przyjechał.

Po chwili z przeciwległych drzwi wyszła osoba w wieku poważnym, ubrana w popielatą suknię. Uderzył mnie prawie biały kolor jej włosów, obok twarzy mizernej, lecz niezbyt starej i bardzo regularnej. Rysy tej damy były mi gdzieś znajome.

Tymczasem rządcą zapiął swój poplamiony surdut na dwa guziki i ukłoniwszy się z elegancją prawdziwego szlachcica rzekł:

– Pozwoli pani zaprezentować: pan Rzecki, plenipotent naszego gospodarza, a mój kolega...

Spojrzeliśmy sobie obaj w oczy. Wyznaję, że byłem trochę zdziwiony naszym koleżeństwem... Wirski spostrzegł to i dodał z uśmiechem:

– Mówię: kolega, gdyż obaj widzieliśmy równie ciekawe

---

<sup>26</sup> premia Towarzystwa Sztuk Pięknych – Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych (założone w 1858 r.) wydawało corocznie reprodukcje obrazów jako premie dla swych członków. [przypis redakcyjny]

rzeczy będąc za granicą.

– Szanowny pan był za granicą? no proszę!... – odezwała się staruszka.

– W roku 1849 i nieco później – wtrąciłem.

– A czy szanowny pan nie zetknął się gdzie przypadkowo z Ludwikiem Stawskim?

– Ależ, pani dobrodziejko! – zawołał Wirski śmiejąc się i kłaniając. – Pan Rzecki był za granicą przed trzydziestu laty, a zięć pani wyjechał dopiero przed czterema...

Staruszka machnęła ręką, jakby odganiając muchę.

– Prawda! – rzekła – co też ja plotę... Ale tak ciągle myślę o Ludwiczku... Niechże panowie raczą spocząć...

Usiedliśmy, przy czym eks-obywatel znowu ukłonił się poważnej damie, a ona jemu.

Teraz dopiero spostrzegłem, że popielata suknia staruszki jest w wielu miejscach pocerowana, i dziwna melancholia ogarnęła mnie na widok tych dwojga ludzi w poplamionym surducie i w pocerowanej sukni, którzy zachowywali się jak książęta. Nad nimi już przeszedł wszystko wyrównywający pług czasu.

– Bo zapewne pan nie wie o naszym zmartwieniu – rzekła poważna dama zwracając się do mnie. – Mój zięć przed czterema laty miał bardzo przykrą sprawę, najniesłuszniej... Zamordowano tu jakąś straszną lichwiarkę... Ach, Boże! nie ma o czym mówić... Dosyć, że ktoś z bliskich ostrzegł go, że na niego pada posądzenie... Najniewinniej, panie...

– Rzecki – wtrącił eks-obywatel.

– Najniesprawiedliwiej, panie Rzecki... No i on... biedak, uciekł za granicę. W roku zeszłym znalazł się istotny morderca, ogłoszono niewinność Ludwika, ale i cóż, kiedy on już od dwu lat nie pisał...

Tu pochyliła się do mnie z fotelu i rzekła szeptem:

– Helenka, córka moja, panie...

– Rzecki – odezwał się rządca.

– Córka moja, panie Rzecki, rujnuje się... szczerze mówię, że się rujnuje na ogłoszenia po zagranicznych pismach, a tu nic i nic... Kobieta młoda, panie...

– Rzecki – powiedział Wirski.

– Kobieta młoda, panie Rzecki, niebrzydka.

– Prześliczna! – wtrącił rządca z zapałem.

– Byłam trochę do niej podobna – ciągnęła sędziwa dama wzdychając i kiwając głową eks-obywatelowi. – Jest tedy córka moja niebrzydka i młoda, już jedno dziecko ma i... może tęskni za innymi. Chociaż, panie Wirski, przysięgam, że nigdy od niej o tym nie słyszałam... Cierpi i milczy, ale że cierpi, domyślam się. Ja także miałam trzydzieści lat...

– Kto z nas ich nie miał! – ciężko westchnął rządca.

Skrzypnęły drzwi i wbiegła mała dziewczynka z drutami w ręku.

– Proszę babci! – zawołała – ja nigdy nie skończę kaftanika dla mojej lalki...

– Heluniu! – odezwała się staruszka surowo. – Ty nie ukłoniłaś się...

Dziewczynka zrobiła dwa dygi, na które ja odpowiedziałem niezręcznie, a pan Wirski jak hrabia, i mówiła dalej, pokazując babce druty, przy których chwiał się czarny, włóczkowy kwadracik.

– Proszę babci, nadejdzie zima i moja lalka nie będzie miała w czym wyjść na ulicę... Proszę babci, znowu mi spadło oczko. (Prześliczne dziecko... Boże miłosierny! dlaczego Stach nie jest jego ojcem. Może nie szalałby tak...)

Babcia przepraszając nas wzięła włóczkę i druty, a w tej chwili weszła do salonu pani Stawska...

Muszę sobie przyznać, że ja na jej widok zachowałem się z godnością; ale Wirski zupełnie stracił głowę. Zerwał się z krzesła jak student, zapiął surduta jeszcze na jeden guzik, powiem nawet: zarumienił się, i zaczął bełkotać:

– Pozwoli pani zaprezentować sobie: pan Rzecki, plenipotent naszego gospodarza...

– Bardzo mi przyjemnie – odpowiedziała pani Stawska kłaniając mi się ze spuszczonej oczyma. Ale silny rumieniec i ślad obawy na jej twarzy upewniły mnie, że nie jestem przyjemnym gościem.

„Poczekaj! – myślę. I wyobraziłem sobie, że na moim miejscu jest w tym pokoju Wokulski. – Poczekaj, zaraz cię przekonam, że nie masz się nas czego lękać.”

Tymczasem pani Stawska usiadłszy na krześle była tak zmieszana, że zaczęła coś poprawiać około sukienki swojej córeczki. Jej matka również straciła humor, a rządca kompletnie

zbaraniał. „Poczekajcie!” – myślę i przybrawszy bardzo surowy wyraz twarzy odezwałem się:

– Panie dawno mieszkają w tym domu?

– Pięć lat... – odpowiada pani Stawska rumieniąc się jeszcze mocniej. Jej matka aż drgnęła na fotelu.

– Ile panie płacą?

– Dwadzieścia pięć rubli miesięcznie... – szepnęła młoda pani. Jednocześnie pobladła, zaczęła skubać sukienkę i z pewnością mimo woli rzuciła na Wirskiego takie błagalne spojrzenie, że... że gdybym był Wokulskim, zaraz bym się o nią oświadczył...

– Jesteśmy – dodała jeszcze ciszej – jesteśmy winne panom za lipiec...

Zachmurzyłem się jak *Lucyfer*<sup>27</sup> i nabrawszy tyle tchu, ile było powietrza w mieszkaniu rzekłem:

– Nic panie nie są nam aż do... października. Właśnie Stach... – to jest pan Wokulski pisze mi, że to istny rozbój brać trzysta rubli za trzy pokoje na tej ulicy. Pan Wokulski nie może pozwolić na podobne zdzierstwo i kazał mi zawiadomić panie, że ten lokal od października będzie do wynajęcia za dwieście rubli. A jeżeli panie nie życzą sobie...

Rządca aż posunął się w tył z fotelem. Staruszka złożyła ręce, a pani Stawska patrzyła na mnie wielkimi oczyma. Oto dopiero oczy!... i jak ona nimi umie patrzeć!... Przysięgam, że gdybym był Wokulskim, oświadczyłbym się jej na poczekaniu. Z męża

---

<sup>27</sup> *Lucyfer* – inaczej: *Lucyfer*. [przypis edytorski]

już pewnie nie ma nawet kosteczki, jeżeli nie pisał przez dwa lata. Wreszcie, od czego są rozwody?... Na co Stach ma taki majątek?...

Znowu skrzypnęły drzwi i ukazała się w nich może dwunastoletnia dziewczynka, w pasterce<sup>28</sup> na głowie i z paczką kajetów w ręce. Było to dziecko z twarzą rumianą i pełną, lecz nie zdradzającą zbyt wielkiej inteligencji. Ukłoniła się nam, ukłoniła się pani Stawskiej i jej matce, ucałowała w oba policzki małą Helenkę i wyszła, oczywiście do domu. Następnie wróciła się z kuchni i zarumieniona powyżej oczu, spytała pani Stawskiej:

– Pojutrze o której mogę przyjść?

– Pojutrze, kochanko... Przyjdź o czwartej – odpowiedziała pani Stawska również zmieszana.

Gdy dziewczynka ostatecznie wyszła, matka pani Stawskiej odezwała się niezadowolonym tonem:

– I to nazywa się lekcja, Boże odpuść... Helenka pracuje z nią przynajmniej półtorej godziny i za taką lekcję bierze czterdzieści groszy...

– Mateczko! – przerwała pani Stawska, błagalnie patrząc na nią.

(Gdybym był Wokulskim, już bym z nią wracał od ślubu. Co to za kobieta!... co za rysy... co za gra fizjognomii. W życiu nie widziałem nic podobnego!... A rączka, a figurka, a wzrost, a ruchy, a oczy, oczy!...)

Po chwili kłopotliwego milczenia odezwała się znowu młoda

---

<sup>28</sup> *pasterka* – kapelusz damski z dużym prostym rondem. [przypis redakcyjny]

pani:

– Bardzo jesteśmy wdzięczne panu Wokulskiemu za warunki, na jakich zostawia nam ten lokal!... Jest to chyba jedyny wypadek, ażeby gospodarz sam zniżał komorne. Ale nie wiem, czy... wypada nam korzystać z jego uprzejmości?...

– To nie uprzejmość, pani, to uczciwość szlachetnego człowieka! – wtrącił rządcą. – Mnie pan Wokulski również zniżył komorne i przyjąłem... Ulica, proszę pani, trzeciorzędna, ruch mały...

– Ale o lokatorów na niej łatwo – wtrąciła pani Stawska.

– Wolimy dawnych, znanych nam ze spokojności i porządku – powiedziałem.

– Ma pan słuszość – pochwaliła mnie siwowłosa dama. – Porządek w mieszkaniu to pierwsza zasada, której przestrzegamy... Nawet jeżeli Helunia potnie kiedy papierki i rzuci je na podłogę, zaraz zmiata je Franusia...

– Przecie ja, proszę babci, wycinam tylko koperty, bo piszę list do tatki, ażeby już wracał – odezwała się dziewczynka.

Po obliczu pani Stawskiej przeleciał cień jakby żalu i zmęczenia.

– I nic, żadnej wiadomości? – spytał rządcą.

Młoda pani z wolna potrząsnęła głową; nie jestem pewny, czy nie westchnęła, ale tak cicho...

– Oto los młodej i niebrzydkiej kobiety! – zawołała starsza dama. – Nie panna, nie mężatka...

– Mateczko!...

– Nie wdowa, nie rozwódka, słowem – nie wiadomo co i nie wiadomo za co... Ty, Helenko, mów sobie, co chcesz, a ja ci powiadam, że Ludwik już nie żyje...

– Mateczko!... mateczko!...

– Tak – ciągnęła matka z uniesieniem. – My go tu wszyscy oczekujemy każdego dnia, o każdej godzinie, ale to na nic... Albo umarł, albo zapał się ciebie, więc nie masz obowiązku czekać...

Obu paniom łzy nabiegły do oczu: matce z gniewu, a córce... Czy ja wiem?... Może z żalu za złamanym życiem.

Nagle przeleciała mi przez głowę myśl, którą (gdyby nie o mnie chodziło) poczytałbym za genialną. Zresztą mniejsza o jej nazwę. Dość, że było w mojej twarzy i całej postaci coś takiego, że gdy poprawiłem się na krześle, założyłem nogę na nogę i odchrząknąłem, wszyscy wlepili we mnie spojrzenia – nawet mała Helenka.

– Znajomość nasza – rzekłem – zbyt jest krótka, ażebym śmiał...

– Wszystko jedno! – przerwał mi pan Wirski. – Dobre usługi przyjmuje się nawet od nieznajomych.

– Znajomość nasza – mówiłem skarciwszy go wzrokiem – jest wprawdzie niedługa. Pozwolą panie jednak, ażebym nie tylko ja, ile pan Wokulski użył swoich wpływów do odszukania małżonka pani...

– Aaa!... – jęknęła starsza dama w sposób, którego nie mógłbym uważać za objaw radości.

– Mateczko! – wtrąciła pani Stawska.

– Heluniu – rzekła babcia stanowczo – idź do swojej lalki i rób jej kaftanik. Oczko już znalazłam, idź...

Dziewczynka była trochę zdziwiona, może nawet zaciekawiona, ale ucałowała ręce babci i matce i wyszła ze swymi drutami.

– Proszę pana – ciągnęła staruszka – jeżeli mamy mówić szczerze, to mnie nie tyle chodzi... To jest... nie wierzę, ażeby Ludwik żył. Kto przez dwa lata nie pisze...

– Mamo, dosyć!...

– O nie! – przerwała matka. – Jeżeli ty jeszcze nie czujesz swego położenia, to już ja je rozumiem. Nie można żyć z taką wieczną nadzieją czy groźbą...

– Mamo droga, o moim szczęściu i obowiązkach ja tylko mam prawo...

– Nie mów mi o szczęściu – wybuchnęła matka. – Ono skończyło się w dniu, kiedy twój mąż uciekł przed sądem, który dowiedział się o jakichś ciemnych jego stosunkach z lichwiarką. Że był niewinny, wiem, na to gotowa byłam przysiąc. Ale nie rozumiem ani ja, ani ty, po co on u niej bywał.

– Mamo! – przecież ci panowie są obcy... – zawołała z desperacją pani Stawska.

– Ja obcy?... – spytał rządcą tonem wymówki; ale powstał z krzeselka i ukłonił się.

– I pan nie jesteś obcy, i ten pan – rzekła staruszka wskazując na mnie. – To musi być uczciwy człowiek...

Teraz ja ukłoniłem się.

– Więc mówię panu – ciągnęła staruszka, bystro patrząc mi w oczy – żyjemy w ciągłej niepewności co do mego zięcia i niepewność ta zatruwa nam spokój. Ale ja, wyznam szczerze, więcej boję się jego powrotu...

Pani Stawska zasłoniła twarz chustką i wybiegła do swego pokoju.

– Płacz sobie, płacz... – mówiła grożąc za nią rozdrażniona staruszka. – Takie łzy, chociaż bolesne, lepsze są od tych, które co dzień wylewasz...

– Pani – zwróciła się do mnie – przyjmę wszystko, co nam Bóg zeszele, ale czuję, że gdyby ten człowiek wrócił, zabiłby do reszty szczęście mojego dziecka. Przysięgnę – dodała ciszej – że ona go już nie kocha, choć sama nie wie o tym, ale jestem pewna, że... pojechałaby do niego, gdyby ją wezwał!...

Tłumione łkanie przerwało jej mowę. Spojrzeliśmy po sobie z Wirskim i pożegnaliśmy sędziwą damę.

– Pani – rzekłem na odchodnym – nim rok upłynie, przyniosę wiadomość o jej zięciu. A może – szepnąłem z mimowolnym uśmiechem – sprawy ułożą się tak, że... wszyscy będziemy zadowoleni... Wszyscy... nawet ci, których tu nie ma!...

Staruszka spojrzała na mnie pytającym wzrokiem, ale nic nie odpowiedział. Jeszcze raz pożegnałem ją i wyszliśmy obaj z rządcą nie dopytując się już o panią Stawską.

– A niechże pan zagląda do nas choćby co wieczór!... – zawołała sędziwa dama, gdy już byliśmy w kuchni.

Naturalnie, że będę zaglądał... Czy uda mi się moja kombinacja ze Stachem? Bóg raczy wiedzieć. Tam gdzie serce wchodzi w grę, na nic wszelkie rachuby. Ale spróbuję rozwiązać ręce kobiecie, a i to coś znaczy.

Po opuszczeniu mieszkania pani Stawskiej i jej matki rozeszliśmy się z rządcą domu, bardzo z siebie zadowoleni. To jakiś dobry człeczyna. Ale kiedy wróciwszy do siebie zastanowiłem się nad skutkami mego przeglądu lokatorów, ażem się schwycił za głowę.

Miałem uregulować finanse kamienicy i otóż uregulowałem je tak, że na pewno dochód zmniejszył się o trzysta rubli rocznie. Ha! może tym rychlej Stach opatrzy się i sprzeda swój nabytek, który wcale nie był mu potrzebny.

Ir wciąż mi niedomaga. Polityka stoi w jednej mierze: ciągła niepewność...

## II. Szare dni i krwawe godziny

W kwadrans po wyjeździe z Warszawy koleją warszawsko-bydgoską<sup>29</sup> Wokulski doznał dwu szczególnych, choć zupełnie różnych uczuć: owionęło go świeże powietrze, a on sam wpadł w jakiś dziwny letarg.

Poruszał się swobodnie, był trzeźwy, myślał jasno i szybko, tylko nic go nie obchodziło; ani kto z nim jedzie, ani którądy jedzie, ani dokąd jedzie. Apatia ta rosła w miarę oddalania się od Warszawy. Za Pruszkowem<sup>30</sup> prawie ucieszyły go krople deszczu, przez otwarte okno padające do wnętrza wagonu; później nieco ożywiła go gwałtowna burza za Grodziskiem; miał nawet pragnienie, ażeby go piorun zabił. Ale gdy burza przeszła, wpadł znowu w obojętność i nie interesował się niczym; nawet tym, że jego sąsiad z prawej strony spał mu na ramieniu, a sąsiad z przeciwka zdjął kamazę i oparł mu na kolanach nogi, w czystych zresztą skarpetkach.

Okolo północy napadło na niego coś, jakby sen, a może tylko jeszcze większa obojętność. Zasłonił firanką latarnię wagonu, przymknął oczy i myślał, że ta osobliwa apatia skończy się ze wschodem słońca. Ale nie skończyła się; owszem, do rana

---

<sup>29</sup> *kolej warszawsko-bydgoska* – linia kolejowa Skierniewice–Łowicz–Kutno–Włocławek zbudowana w r. 1862. [przypis redakcyjny]

<sup>30</sup> Prusków – miasto i stacja kolejowa, 16 km na zachód od Warszawy w kierunku Skierniewic. [przypis redakcyjny]

wzrosła i rosła coraz bardziej. Nie było mu z nią dobrze ani źle; tak sobie.

Potem wzięto od niego paszport, potem zjadł śniadanie, kupił nowy bilet, kazał przenieść rzeczy do innego pociągu i ruszyli dalej. Nowa stacja, nowa zmiana pociągów, nowa jazda... Wagon drżał i turkotał, lokomotywa co pewien czas świstała, zatrzymywała się... Do przedziału zaczęli siadać ludzie mówiący po niemiecku, dwoje, troje... Potem całkiem zniknęli ludzie mówiący po polsku i wagon napełnił się samymi Niemcami.

Zmieniał się też krajobraz. Ukazały się lasy otoczone wałami i złożone z drzew stojących w tak równej odległości jak żołnierze. Znikły drewniane chaty kryte słomą i coraz częściej zaczęły się pojawiać piętrowe domki kryte dachówką, otoczone ogródkami. Znowu postój, znowu jedzenie. Jakieś ogromne miasto... Ach! To chyba Berlin... Znowu jazda... Do wagonu siadają ludzie wciąż mówiący po niemiecku, ale jakby innym akcentem. Potem noc i sen... Nie, to nie sen, to tylko apatia.

Zjawia się dwu Francuzów w przedziale. Krajobraz całkiem odmienny; szerokie horyzonty, wzgórza, winnice. Tu i owdzie wielki dom piętrowy, stary, ale krzepki, zasłonięty drzewami, zawinięty jakby w bluszcze. Znowu rewizja walizki. Zmiana pociągów, do wagonu wchodzi dwu Francuzów i jedna Francuzka i robią taki hałas, jakby ich było z dziesięcioro. Są to ludzie widocznie dobrze wychowani; pomimo to śmieją się, kilka razy zmieniają miejsca i przepraszają Wokulskiego, lecz za co, on sam nie wie.

Na jednej ze stacyj Wokulski pisze kartkę do Suzina: „Paris – Grand Hotel”<sup>31</sup>, i daje ją konduktorowi wagonu razem z jakimś banknotem, nie troszcząc się ani o to, ile dał, ani o to, czy depesza dojdzie. Na następnej stacji ktoś wsuwa mu w rękę cały zwitek banknotów i jadą dalej. Wokulski spostrzega, że znowu jest noc, i znowu zapada w stan, który może być snem, a może tylko utratą przytomności.

Ma oczy zamknięte, pomimo to myśli, że śpi i że ten dziwny stan zubożenia opuści go w Paryżu.

„Paryż!... Paryż!... (mówi sobie, ciągle śpiąc). Wszakże od tylu lat o nim tylko marzyłem. To przejdzie... Wszystko przejdzie!...”

Godzina dziesiąta rano, nowa stacja. Pociąg staje pod dachem; hałas, krzyk, bieganina. Wokulskiego napada od razu trzech Francuzów ofiarujących mu usługi. Nagle ktoś chwytą go za ramię.

– No, Stanisławie Piotrowiczu, twoje szczęście, żeś przyjechał...

Wokulski przypatruje się przez chwilę jakiemuś olbrzymowi z czerwoną twarzą i konopiastą brodą, wreszcie mówi:

– Ach, Suzin!

Padają sobie w objęcia. Suzinowi towarzyszy jeszcze dwu Francuzów, z których jeden odbiera Wokulskiemu bilet na

---

<sup>31</sup> Grand Hotel – jeden z największych i najwytworniejszych hoteli paryskich, przy bulwarze Kapucyńskim, koło Opery. Posiadał ok. 70 wspaniale umeblowanych salonów i 700 pokoi. [przypis redakcyjny]

rzeczy.

– Twoje szczęście, żeś przyjechał – mówi Suzin całując go jeszcze raz. – Myślałem, że się skrećę w tym Paryżu bez ciebie...

„Paryż...” – myśli Wokulski.

– O mnie mniejsza – ciągnie dalej Suzin. – Takeś zhardział pomiędzy waszą parszywą szlachtą, że o mnie już nie dbasz. Ale dla ciebie samego szkoda pieniędzy... Straciłbyś z pięćdziesiąt tysięcy rubli...

Dwaj Francuzi, towarzyszący Suzinowi, ukazują się znowu i mówią im, że już mogą jechać. Suzin bierze pod rękę Wokulskiego i wyprowadza go na plac, gdzie stoi mnóstwo omnibusów i powozów jedno- i dwukonnych, z woźnicami umieszczonymi z przodu lub z tyłu. Przeszedłszy kilkanaście kroków trafiają na dwukonny powóz z lokajem. Siadają i jadą.

– Patrzaj – mówi Suzin – to ulica Lafayette<sup>32</sup>, a ot bulwar Magenta. Jedziem wciąż Lafayettem aż do hotelu przy Operze<sup>33</sup>. Powiadam tobie, cud, nie miasto! No, a jak zobaczysz Elizejskie Pola<sup>34</sup>, a potem między Sekwaną i Rivoli<sup>35</sup>... Eh! ja tobie mówię,

---

<sup>32</sup> Lafayette – długa ulica, prowadząca z dworca północnego (przy placu de Roubaix), na którym wysiadł Wokulski, w kierunku Grand Hotelu. Przecina ją bulwar Magenta (zbudowany za rządów Napoleona III). [przypis redakcyjny]

<sup>33</sup> Opera – gmach opery paryskiej, wówczas największy na świecie, bogato ozdobiony rzeźbami i malowidłami, został oddany do użytku w 1875 r. Liczy 2200 miejsc. [przypis redakcyjny]

<sup>34</sup> Pola Elizejskie – olbrzymia, szeroka aleja, łącząca plac Gwiazdy z placem Zgody, jedna z najpiękniejszych w Paryżu, wówczas ulubione miejsce spacerów eleganckiego świata. [przypis redakcyjny]

<sup>35</sup> Rivoli – jedna z największych i najruchliwszych ulic w Paryżu, równoległa do

cud, nie miasto... Kobiety tylko trochę zanadto wypychają się. Ale tu inszy smak... Na wszelki sposób cieszę się, żeś przyjechał; pięćdziesiąt albo i więcej tysięcy rubli to nie nic... Ot, widzisz, Opera, a ot bulwar Kapucyński, a ot nasza chata.

Wokulski spostrzega ogromny pięciopiętrowy gmach, formy klinowatej, na wysokości drugiego piętra otoczony żelazną balustradą, przy szerokiej ulicy wysadzonej niezbyt starymi drzewami, pełnej omnibusów, powozów, ludzi konnych i pieszych. Ruch jest tak wielki, jak gdyby co najmniej połowa Warszawy biegła na zobaczenie jakiegoś wypadku; ulica jest tak gładka jak posadzka. Widzi, że jest w samym środku Paryża, lecz nie doznaje ani wzruszenia, ani ciekawości. Nic go nie obchodzi.

Powóz wjeżdża we wspaniałą bramę, lokaj otwiera drzwiczki, wysiadają. Suzin bierze Wokulskiego pod rękę i prowadzi do małego pokoiku, który po chwili zaczyna wznosić się w górę.

– A ot winda – mówi Suzin. – Ja mam tu dwa mieszkania. Jedno na pierwszym piętrze za sto franków dziennie, drugie na trzecim za dziesięć franków. I dla ciebie wzięłem za dziesięć franków. Trudna rada – wystawa!...

Wychodzą z windy na korytarz i po chwili znajdują się w eleganckim saloniku, który posiada mahoniowe meble, szerokie łóżko pod baldachimem i szafę mającą zamiast drzwi ogromne lustro.

---

Sekwany. Między Sekwaną a Rivoli znajdują się między innymi Tuileries, Louvre i inne okazałe budowle. [przypis redakcyjny]

– Siadaj, Stanisławie Piotrowiczu. Chcesz jeść czy pić, tu czy w sali? No, pięćdziesiąt tysięcy twoje... Bardzom kontent...

– Powiedz mi – po raz pierwszy odezwał się Wokulski – za cóż to ja mam dostać pięćdziesiąt tysięcy?...

– Może i więcej.

– Dobrze, ale za co?

Suzin rzuca się na fotel, opiera ręce na brzuchu i wybucha śmiechem.

– Ot, za to samo, że się pytasz!... Inny nie pyta: za co weźmie pieniądze, tylko dawaj... A ty jeden chcesz wiedzieć: za co zarobisz takie pieniądze. Ach, ty gołąbku!...

– To nie jest odpowiedź.

– Zaraz ja tobie odpowiem – mówi Suzin. – Najpierw za to, żeś ty mnie jeszcze w Irkucku przez cztery lata rozumu uczył. Żeby nie ty, ja nie byłbym ten Suzin co dziś. No, a ja, Stanisławie Piotrowiczu, ja nie wasz człowiek: za dobro daję dobro...

– I to nie odpowiedź – wtrącił Wokulski.

Suzin wzruszył ramionami.

– Już ty w tej izbie nie chciej ode mnie objaśnienia; a tam na dole sam zrozumiesz. Może być, kupię trochę galanteryj paryskich, a może być, kilkanaście statków kupieckich. Ja po francusku ani w ząb i po niemiecku też, więc trzeba mi człowieka takiego jak ty...

– Nie znam się na statkach.

– Bądź spokojny. Znajdziem tu inżynierów kolejowych i morskich, i wojskowych... Mnie nie o nich chodzi, ale o

człowieka, który by gadał za mnie – dla mnie. Zresztą, mówię tobie, jak zejdziemy tam na dół, miej ty dwie pary oczów i dwie pary uszów, ale jak wyjdziemy stamtąd, nie miej ty nawet pamięci. Ty to potrafisz, Stanisławie Piotrowiczu, a o resztę nie pytaj się. Ja zarobię dziesięć procent, tobie dam dziesięć procent od mego zarobku i sprawa skończona. A na co to, dla kogo i przeciw komu – nie pytaj.

Wokulski milczał.

– O czwartej przyjdą do mnie fabrykanci amerykańscy i francuscy. Możesz zejść? – spytał Suzin.

– Dobrze.

– A teraz przejdiesz się po mieście?

– Nie. Teraz pójdę spać.

– No, to i dobrze. Chodźże do twego mieszkania.

Opuścili numer Suzina i o kilkanaście kroków dalej weszli do podobnego zupełnie saloniku: Wokulski rzucił się na łóżko, Suzin wyszedł na palcach i zamknął drzwi.

Po odejściu Suzina Wokulski przymknął oczy i usiłował zasnąć. Może nie tyle zasnąć, ile odpędzić od siebie jakąś myśl natrętną, przed którą uciekł z Warszawy. Przez pewien czas zdawało mu się, że jej nie ma, że została tam i że dopiero szuka go stroskana, tułając się od Krakowskiego Przedmieścia do Alei Ujazdowskiej.

„Gdzie on jest?... gdzie on jest?...” – szeptało widmo.

„A jeżeli poleci za mną?... – spytał samego siebie Wokulski.

– No, już chyba tu mnie nie znajdzie w tak wielkim mieście, w

takim ogromnym hotelu...”

„A może mnie już szuka?...” – pomyślał.

Zamknął oczy jeszcze mocniej i począł huścić się na materacu, który wydał mu się nadzwyczajnie szerokim i wyjątkowo sprężystym. Był pogrążony w dwu szmerach. Za drzwiami, na hotelowym korytarzu, ludzie rozmawiali i biegali, jakby w tej chwili stało się coś; za oknem, na ulicy, rozlegał się nieokreślony hałas, na który składają się turkoty licznych wozów, dźwięki dzwonów, głosy ludzkie, trąbki, wystrzały i Bóg nie wie co, a wszystko przytłumione i odległe.

Potem przywidziało mu się, że jakiś cień zagląda do jego okna, a później, że po długim korytarzu ktoś chodzi ode drzwi do drzwi, puka i pyta:

„Czy nie ma go tu?...”

Istotnie ktoś chodził, pukał i nawet zapukał do jego drzwi; lecz nie odebrawszy odpowiedzi poszedł dalej.

„Nie znajdzie mnie!... nie znajdzie...” – myślał Wokulski.

Wtem otworzył oczy i włosy powstały mu na głowie.

Naprzeciw siebie zobaczył taki sam pokój jak jego, takie samo łóżko z baldachimem, a na nim... siebie!... Było to jedno z najsilniejszych wstrząśnień, jakich doznał w życiu, sprawdziwszy własnymi oczyma, że tu, gdzie uważał się za zupełnie samotnego, towarzyszy mu nieodstępny świadek... on sam!...

„Co za oryginalne szpiegowanie... – mruknął. – Głupie te szafy z lustrami.”

Zerwał się z łóżka, jego sobowtór zerwał się równie szybko.

Pobiegł do okna – **tamten** także. Otworzył gorączkowo walizkę, ażeby przebrać się, i **tamten** również zaczął przebierać się, widocznie z zamiarem wyjścia na miasto.

Wokulski czuł, że musi uciec z tego pokoju. Widmo, przed którym wyjechał z Warszawy, było już tu i stało za progiem.

Umył się, włożył czystą bieliznę, przebrał się. Było ledwie wpół do pierwszej.

„Trzy i pół godzin! – pomyślał. – Coś trzeba z nimi zrobić...”

Ledwie otworzył drzwi, już znalazł się służący z frazesem:

– *Monsieur?*<sup>36</sup>...

Wokulski kazał zaprowadzić się do schodów, dał służącemu franka i zbiegł z trzeciego piętra na dół, jak człowiek, którego ścigają.

Wyszedł przed bramę i zatrzymał się na chodniku. Ulica szeroka, wysadzona drzewami<sup>37</sup>. W jednej chwili przelatuje około niego ze sześć powozów i żółty omnibus, naładowany podróżnymi wewnątrz i na dachu. Na prawo, gdzieś bardzo daleko, widać plac<sup>38</sup>, na lewo – pod hotelem – niedużą markizę<sup>39</sup> a pod nią gromadę mężczyzn i kobiet, którzy siedzą przy okrągłych stoliczkach, prawie na chodniku, i piją kawę. Panowie są jak wydekoltowani, mają w dziurkach od guzików kwiaty

---

<sup>36</sup> *Monsieur?* (fr.) – Panie? [przypis redakcyjny]

<sup>37</sup> *Ulica szeroka, wysadzona drzewami* – bulwar Kapucyński. [przypis redakcyjny]

<sup>38</sup> *Na prawo, gdzieś bardzo daleko, widać plac* – plac Vendôme z kolumną tejże nazwy, wzniesioną na cześć armii napoleońskiej w 1805 r. [przypis redakcyjny]

<sup>39</sup> *markiza* – ruchomy daszek z płótna chroniący przed słońcem. [przypis redakcyjny]

lub wstążeczki i zakładają nogi na kolana akurat tak wysoko, jak przystoi w sąsiedztwie pięciopiętrowych domów; kobiety szczupłe, małe, śniade, z ognistymi spojrzeniami, lecz skromnie ubrane.

Wokulski idzie w lewo i za węglem tego samego hotelu, w tymże samym hotelu, widzi drugą markizę i drugą gromadę ludzi, pijących coś, obok chodnika. Tu siedzi ze sto osób, jeżeli nie więcej; panowie mają miny impertynentów, damy są ożywione, przyjacielskie i pełne prostoty. Powozy jedno- i dwukonne toczą się w dalszym ciągu, gromady pieszych pędzą co chwilę w jedną i drugą stronę, przesuwa się żółty i zielony omnibus, tym zaś przecinają drogę omnibusy brunatne, wszystkie napełnione wewnątrz, wszystkie obładowane podróżnymi na dachach.

Wokulski znajduje się na środku placu, z którego rozchodzi się siedem ulic<sup>40</sup>. Liczy raz i drugi – siedem ulic... Gdzie iść?... Chyba w kierunku drzew... Akurat dwie ulice, przecinające się pod kątem prostym, są zadrzewione...

„Pójdę w kierunku ściany hotelu” – myśli Wokulski.

Robi pół obrotu w lewo i staje zdumiony.

W głębi na lewo widać jakiś potężny gmach<sup>41</sup>.

Na parterze – szereg arkad i posągów, na pierwszym piętrze olbrzymie kolumny kamienne i nieco mniejsze marmurowe,

---

<sup>40</sup> plac, z którego rozchodzi się siedem ulic – plac Opery. [przypis redakcyjny]

<sup>41</sup> na lewo... potężny gmach – Opera. [przypis redakcyjny]

ze złożonymi kapitelami<sup>42</sup>. Na wysokości dachu w kątach orły i złożone posągi, unoszące się nad złożonymi figurami rozhukanych koni. Dach bliżej płaski, dalej kopuła zakończona koroną, a jeszcze dalej – dach trójkątny, również dźwigający na szczycie grupę figur. Wszędzie marmur, brąz, złoto, wszędzie kolumny, posągi i medaliony<sup>43</sup>...

„Opera?... – myśli Wokulski. – Ależ tu jest więcej marmurów i brązów aniżeli w całej Warszawie!...”

Przypomina sobie swój sklep, ozdobę miasta, rumieni się i idzie dalej<sup>44</sup>. Czuje, że Paryż na pierwszym kroku przytłoczył go, i – jest kontent.

Ruch powozów, omnibusów i ludzi pieszych zwiększa się w zastraszający sposób. Co kilka kroków werendy, okrągłe stoliki, ludzie siedzący przy chodnikach. Za powozem, który ma z tyłu lokaja, toczy się wózek ciągniony przez psa, mija go omnibus, potem dwaj ludzie z tragami<sup>45</sup>, potem większy wóz na dwu kołach, potem dama i mężczyzna konno i znowu nieskończony szereg powozów. Bliżej chodnika – wózek z bukietami, drugi z owocami, naprzeciw pasztetnik<sup>46</sup>, roznosiciel gazet, handlarz

---

<sup>42</sup> *kapitel* – głowica, najwyższa część kolumny, łącząca ją z belkowaniem, zwykle ozdobiona rzeźbą. [przypis redakcyjny]

<sup>43</sup> *medalion* – tu: płaskorzeźba okrągła lub owalna. [przypis redakcyjny]

<sup>44</sup> *idzie dalej* – przez tzw. wielkie bulwary: des Capucines, des Italiens, Montmartre, Poissonniere, Bonne Nouvelle, Saint Denis, największe i najbardziej ożywione ulice Paryża. [przypis redakcyjny]

<sup>45</sup> *tragi* – nosze. [przypis redakcyjny]

<sup>46</sup> *pasztetnik* – specjalista przyrządzający pasztety (siekane mięso lub ryba zapieczone

starzyzny, szlifierz, roznosiciel książek...

– *M'rchand d'habits*<sup>47</sup>...

– »Figaro«...<sup>48</sup>

– *Exposition!*...<sup>49</sup>

– »Guide Parisien«!... *trois francs!*... *trois francs!*...<sup>50</sup>

Ktoś wsuwa Wokulskiemu książkę w rękę, on płaci trzy franki i przechodzi na drugą stronę ulicy. Idzie szybko, lecz pomimo to widzi, że wszystko go wyprzedza: powozy i piesi. Oczywiście, jest to jakiś olbrzymi wyścig; więc przyśpiesza kroku, a choć jeszcze nikogo nie wyścignął, już zwraca na siebie powszechną uwagę. Jego przede wszystkim atakują roznosiciele gazet i książek, na niego patrzą kobiety, z niego w drwiący sposób uśmiechają się mężczyźni. Czuje, że on, Wokulski, który tyle hałasu robił w Warszawie, tutaj jest onieśmielony jak dziecko i... dobrze mu z tym... Ach, jakże pragnąłby znowu zostać dzieckiem z owej epoki, kiedy to jego ojciec naradzał się z przyjaciółmi: czy go oddać do kupca, czy do szkół?

W tym miejscu ulica nieco zgina się na prawo. Wokulski pierwszy raz spostrzega dom trzypiętrowy i napełnia go jakaś rzewność. Dom trzypiętrowy między pięciopiętrowymi!... cóż

---

w powłoce z ciasta). [przypis redakcyjny]

<sup>47</sup> *M'rchand d'habits*... (fr.) – handlarz odzieżą!... (okrzyk paryskich tandeciarzy).

[przypis redakcyjny]

<sup>48</sup> »Figaro« – popularny dziennik paryski, założony w 1854 r. [przypis redakcyjny]

<sup>49</sup> *Exposition!*... (fr.) – Wystawa!... [przypis redakcyjny]

<sup>50</sup> »Guide Parisien«... *trois francois!*... – »Przewodnik paryski«!... trzy franki!...

[przypis redakcyjny]

to za miła niespodzianka...

Nagle – mija go powóz z groomem<sup>51</sup> na koźle, wiozący dwie kobiety. Jedna całkiem mu nie znana, druga...

„Ona?... – szepcze Wokulski. – Niepodobieństwo!...”

Mimo to czuje, że siły go opuszczają. Na szczęście, jest obok kawiarnia. Rzuca się na krzesło, tuż przy chodniku; zjawia się garson<sup>52</sup>, o coś pyta, a następnie przynosi mazagran<sup>53</sup>. Jednocześnie jakaś kwiaciarka przypina mu różę do tużurka<sup>54</sup>, a nosiciel gazet kładzie przed nim „Figaro”.

Wokulski tej rzuca dziesięć franków, temu franka, pije mazagran i zaczyna czytać: „Jej K. M.<sup>55</sup> Królowa Izabela<sup>56</sup>...”

Mnie gazetę i chowa ją do kieszeni, nie dokończywszy mazagranu płaci za niego i – wstaje od stołu. Garson patrzy spod oka, dwaj goście, bawiący się cienkimi laseczkami, zakładają nogi jeszcze wyżej, a jeden z nich impertynencko przypatruje mu się przez monokl.

„Gdybym tego franta uderzył w twarz? – myśli Wokulski. – Jutro pojedynek i może zabiłby mnie... Ale gdybym ja jego

---

<sup>51</sup> *groom* (z ang.) – chłopak do koni. [przypis redakcyjny]

<sup>52</sup> *garson* (z fr.) – kelner. [przypis redakcyjny]

<sup>53</sup> *mazagran* – kawa czarna z cukrem, koniakiem i lodem. [przypis redakcyjny]

<sup>54</sup> *tużurek* – rodzaj czarnego surduta męskiego na dwa rzędy guzików, przywdziewanego szczególnie na uroczystości. [przypis redakcyjny]

<sup>55</sup> *Jej K. M.* – skrót tytułu królewskiego „Jej Królewska Mość”. [przypis redakcyjny]

<sup>56</sup> *Izabela* – królowa hiszpańska Izabela II (1830–1904); panowała w latach 1844–1868. Po abdykacji na rzecz syna, Alfonsa XII, przebywała w Paryżu. [przypis redakcyjny]

zabił?...”

Przeszedł około franta i spojrzał mu w oczy. Elegantowi monokl spadł na kamizelkę i opuściła go ochota do półuśmieszków.

Wokulski idzie dalej i z największą uwagą przypatruje się kamienicom. Cóż tu za sklepy!... Najlichszy z nich lepiej wygląda aniżeli jego, który jest najpiękniejszym w Warszawie. Domy ciosowe<sup>57</sup>; prawie na każdym piętrze wielkie balkony albo balustrady biegnące wzdłuż całego piętra.

„Ten Paryż wygląda, jakby wszyscy mieszkańcy czuli potrzebę ciągłego komunikowania się jeżeli nie w kawiarniach, to za pomocą ganków” – myśli Wokulski.

I dachy są jakieś oryginalne, wysokie, obładowane kominami, najeżone blaszanymi kominkami i szpicami. I na ulicach co krok wyrasta albo drzewo, albo latarnia, albo kiosk, albo kolumna zakończona kulą. Życie kipi tu tak silnie, że nie mogąc zużyć się w nieskończonym ruchu powozów, w szybkim biegu ludzi, w dźwiganiu pięciopiętrowych domów z kamienia, jeszcze wytryskuje ze ścian w formie posągów lub płaskorzeźb, z dachów w formie strzał i z ulic w postaci nieprzeliczonych kiosków.

Wokulskiemu zdaje się, że wydobyty z martwej wody wpadł nagle w ukrop, który „burzy się i szumi, i pryska...” On, człowiek dojrzały i w swoim klimacie gwałtowny, poczuł się tu jak flegmatyczne dziecko, któremu imponuje wszystko i wszyscy.

Tymczasem dokoła niego wciąż „wre i kipi, i szumi i

---

<sup>57</sup> Domy ciosowe – z kamienia piaskowego, ciosanego w bloki. [przypis redakcyjny]

pryska”<sup>58</sup>; nie widać końca tłumów ani powozów, ani drzew, ani olśniewających wystaw, ani nawet samej ulicy. Wokulski stopniowo zapada w odurzenie. Przestaje słyszeć hałaśliwą rozmowę przechodniów, potem głucho na krzyki handlarzy ulicznych, wreszcie na turkot kół. Potem zdaje mu się, że już gdzieś widział takie domy, taki ruch, takie kawiarnie; później myśli, że ostatecznie jest to nic wielkiego, a nareszcie budzą się w nim zdolności krytyczne, i mówi sobie, że – jakkolwiek w Paryżu częściej można słyszeć język francuski aniżeli w Warszawie, to jednak akcent tutejszy jest gorszy i wymowa mniej wyraźna.

Tak rozważając zwalnia kroku i zaczyna nie ustępować z drogi. I kiedy myśli, że dopiero teraz Francuzi zaczną go wytykać palcami, spostrzega ze zdziwieniem, że już coraz mniej zwracają na niego uwagę. Po jednogodzinnym pobycie na ulicy stał się zwyczajną kroplą paryskiego oceanu.

„To i lepiej!” – mruczy.

Do tej chwili co kilkadziesiąt kroków, na prawo i na lewo, rozsuwały się domy i widać było jakąś boczną ulicę. Teraz jednolita ściana domów ciągnie się przez kilkaset kroków. Zaniepokojony, pośpiesza i ku wielkiemu zadowoleniu dociera nareszcie do bocznej ulicy; skręca trochę na prawo i czyta: Rue St. Fiacre<sup>59</sup>

---

<sup>58</sup> ...burzy się i szumi, i pryska... wre i kipi, i szumi, i pryska – cytaty z opisu Charybdy (wiru morskiego w Cieśninie Mesyńskiej) w balladzie Fryderyka Schillera (1759–1805) *Nurek*. [przypis redakcyjny]

<sup>59</sup> Rue St. Fiacre – ulica Św. Fiakra. [przypis redakcyjny]

Uśmiecha się, przychodzi mu bowiem na myśl jakiś romans Pawła Kocka<sup>60</sup>. Znowu boczna ulica i znowu czyta: Rue du Sentier<sup>61</sup>.

„Nie znam” – mówi do siebie.

O kilkadziesiąt kroków dalej widzi: Rue Poissonniere<sup>62</sup>, która mu przypomina jakąś sprawę kryminalną, a potem cały szereg krótkich uliczek wychodzących naprzeciw teatru „Gymnase”<sup>63</sup>.

„Cóż to znowu?...” – myśli spostrzegłszy na lewo ogromny budynek<sup>64</sup>, niepodobny do żadnego z tych, jakie znał dotychczas. Jest to olbrzymi prostokąt z kamienia, a w nim brama z półkolistym sklepieniem. Oczywiście brama, która stoi na przecięciu się dwu ulic. Obok niej budka, gdzie zatrzymują się omnibusy; prawie naprzeciw kawiarnia i chodnik oddzielony od środka ulicy krótką, żelazną balustradą.

O paręset kroków dalej druga podobna brama<sup>65</sup>, a między nimi szeroka ulica, ciągnąca się na prawo i lewo<sup>66</sup>. Ruch

---

<sup>60</sup> Paweł de Kock (1794–1871) – pisarz fr., autor licznych popularnych powieści z życia drobnej burżuazji. [przypis redakcyjny]

<sup>61</sup> Rue du Sentier – dosłownie „ulica ścieżki”. [przypis redakcyjny]

<sup>62</sup> Rue Poissonniere – *poissonniere*: po fr. naczynia na ryby. [przypis redakcyjny]

<sup>63</sup> „Gymnase” – znany teatr paryski o repertuarze komediowym. [przypis redakcyjny]

<sup>64</sup> *ogromny budynek* – Porte Saint–Martin, brama triumfalna zbudowana w r. 1674 na cześć Ludwika XIV. [przypis redakcyjny]

<sup>65</sup> *druga podobna brama* – Porte Saint–Denis, również brama triumfalna na cześć Ludwika XIV z r. 1672. [przypis redakcyjny]

<sup>66</sup> *szeroka ulica, ciągnąca się na prawo i lewo* – wielkie bulwary: Strasburski („na lewo”) i Sebastopolski („na prawo”), przecinające Paryż z północy na południe,

nagle potęguje się; tędy bowiem przejeżdżają aż trzy gatunki omnibusów i tramwaje.

Wokulski spogląda na prawo i znowu widzi dwa szeregi latarni, dwa szeregi kiosków, dwa szeregi drzew i dwa szeregi pięciopiętrowych domów ciągnących się na długość Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Światu. Końca ich nie widać, tylko gdzieś het, daleko, ulica podnosi się ku niebu, dachy zniżają się ku ziemi i wszystko znika.

„No, choćbym miał zbłądzić i spóźnić się na sesję, pójdę w tamtą stronę!...” – myśli.

Wtem na skrócie wymija go młoda kobieta, której wzrost i ruchy robią na Wokulskim silne wrażenie.

„Ona?... Nie... Naprzód, ona została w Warszawie, a po wtóre – spotykam już drugą taką... Złudzenia...”

Ale siły opuszczają go, a nawet pamięć. Stoi na przecięciu się dwu ulic wysadzonych drzewami i absolutnie nie wie, skąd przyszedł? Ogarnia go strach paniczny, znany ludziom, którzy zbłądzili w lesie; szczęściem, nadjeżdża jednokonka, której furman uśmiecha się do niego w sposób bardzo przyjacielski.

– Grand Hotel – mówi Wokulski siadając.

Dorożkarz dotyka ręką kapelusza i woła:

– Naprzód, Lizetka!... Ten szlachetny cudzoziemiec postawi ci za fatygę kwartę piwa.

Następnie, odwróciwszy się bokiem do Wokulskiego, mówi:

– Jedno z dwojga, obywatelu: albo dopiero dziś

przyjechaliście, albo jesteście po dobrym śniadaniu?...

– Dziś przyjechałem – odpowiada Wokulski, uspokojony widokiem jego pełnej, czerwonej twarzy bez zarostu.

– I piliście trochę, to zaraz widać – wtrąca dorożkarz. – A takse znacie?...

– Wszystko jedno.

– Naprzód, Lizetka!... Bardzo podobał mi się ten cudzoziemiec i myślę, że tylko tacy powinni pokazywać się na naszej wystawie. Czy aby jesteście pewni, obywatelu, że mamy jechać do Grand Hotel?... – zwraca się do Wokulskiego.

– Najzupełniej.

– Naprzód, Lizetka! Ten cudzoziemiec zaczyna mi imponować. – Czy nie jesteście, obywatelu, z Berlina?...

– Nie.

Dorożkarz przypatruje mu się chwilę, wreszcie mówi:

– Tym lepiej dla was. Nie mam wprawdzie pretensji do Prusaków, choć zabrali nam Alzację i spory kawał Lotaryngii<sup>67</sup>, ale zawsze nie lubię mieć Niemca za kołnierzem. Skądże jesteście, obywatelu?

– Z Warszawy.

– Ah, ca!...<sup>68</sup> Piękny kraj... bogaty kraj... Naprzód, Lizetka! ... Więc pan jesteś Polak?... Znam Polaków!... Oto plac Opery,

---

<sup>67</sup> *zabrali nam Alzację i spory kawał Lotaryngii* – Alzacja: wschodnia część Francji między Wogezami a górnym Renem. Lotaryngia: – między Wogezami i Szampanią. Po klęsce Francji w wojnie 1870–1871 Alzacja i część Lotaryngii zostały przyłączone do Niemiec. [przypis redakcyjny]

<sup>68</sup> *Ah, ca!...* (fr.) – Ach, tak!... [przypis redakcyjny]

obywatelu, a oto Grand Hotel...

Wokulski rzucił trzy franki dorożkarzowi, pędem wbiegł do bramy, a z niej na trzecie piętro. Ledwie stanął przed swoim numerem, już ukazał się uśmiechnięty służący i oddał mu bilet Suzina i pakiet listów.

– Dużo interesantów... dużo interesanek! – rzekł służący patrząc na niego figlarnie.

– Gdzież oni?

– Są w salonie przyjęć, są w czytelni, są w sali jadalnej... Pan Jumart niecierpliwi się...

– Któż jest pan Jumart? – spytał Wokulski.

– Marszałek dworu<sup>69</sup> pańskiego i pana **Siuze**<sup>70</sup>... Bardzo zdolny człowiek i duże mógłby panu oddać usługi, gdyby był pewny tak... z tysiąc franków gratyfikacji... – mówił wciąż figlarnie służący.

– Gdzież on jest?

– Na pierwszym piętrze, w pańskim salonie przyjęć. Pan Jumart jest bardzo zdolny człowiek, ale i ja może przydałbym się waszej ekscelencji, jakkolwiek nazywam się Miler. Naprawdę jednak jestem Alzacyjny i na honor, zamiast brać od pana, jeszcze płaciłbym dziesięć franków dziennie, byleśmy raz skończyli z Prusakami.

---

<sup>69</sup> *Marszałek dworu* – urzędnik zarządzający dworem (zazwyczaj panującego), jedna z najwyższych godności w hierarchii urzędniczej. [przypis redakcyjny]

<sup>70</sup> *Siuze* – nazwisko rosyjskie „Suzin” wymówione tak, jakby było wyrazem francuskim. [przypis redakcyjny]

Wokulski wszedł do numeru.

– Nade wszystko niech panowie strzegą się tej baronowej... która już czeka w czytelni, a ma niby to przyjść dopiero o trzeciej... Przysięgnę, to Niemka... Jestem przecie Alzacyjnyk!

...

Ostatnie zdania Miler wypowiedział zniżonym głosem i cofnął się na korytarz.

Wokulski otworzył bilet Suzina i czytał: „Sesja dopiero o ósmej – pisał Suzin – masz czasu dosyć, więc załatw się z tymi interesantami, a nade wszystko z babami. Ja już, dalibóg, za stary, żeby im wszystkim dogodzić.”

Wokulski zaczął przeglądać listy. Po większej części były to reklamy kupców, fryzjerów, dentystów, prośby o wsparcie, propozycje wyjawienia jakichś tajemnic, jedna odezwa od Armii Zbawienia<sup>71</sup>.

Z całego mnóstwa tych korespondencyj uderzyła Wokulskiego następna: „Osoba młoda, elegancka i przystojna pragnie zwiedzać z panem Paryż na wspólny koszt. Odpowiedź złożyć u szwajcara hotelu.”

„Oryginalne miasto!” – mruknął Wokulski.

Drugi, jeszcze ciekawszy list pochodził od owej baronowej... która od trzeciej miała czekać na schadzkę w czytelni.

„To jeszcze pół godziny...”

---

<sup>71</sup> Armia Zbawienia – angielska organizacja religijno-filantropijna założona w drugiej połowie XIX w. przez Williama Bootha (1829–1912) i zorganizowana na sposób wojskowy. [przypis redakcyjny]

Zadzwoił i kazał przynieść do numeru śniadanie. W kilka minut podano mu szynkę, jaja, befszytk, jakąś nieznaną rybę, kilka butelek rozmaitych trunków i maszynkę kawy czarnej. Jadł z wilczym apetytem, pił nie gorzej, wreszcie kazał Milerowi zaprowadzić się do owej sali przyjąć.

Służący wyszedł z nim na korytarz, dotknął dzwonka, coś powiedział przez tubę i wprowadził Wokulskiego do windy. W minutę później Wokulski był na pierwszym piętrze, a gdy opuszczał windę, zastąpił mu drogę jakiś dystyngowany pan, z niedużymi wąsami, we fraku i białym krawacie.

– Jumart... – odezwał się ten pan z ukłonem.

Poszli kilkanaście kroków korytarzem i Jumart otworzył drzwi wspaniałego salonu. Wokulski o mało nie cofnął się, zobaczywszy złocone meble, olbrzymie lustra i ściany ozdobione płaskorzeźbami. Na środku stał duży stół pokryty kosztownym obrusem i przywalony stosem papierów.

– Mogę wprowadzić interesantów? – spytał Jumart. – Ci nie są, zdaje mi się, niebezpieczni. Tylko na baronową... ośmielę się zwrócić uwagę... Czeka w czytelnii.

Uklonił się i wyszedł z powagą do innego salonu, który zdawał się być poczekalnią.

„Czy ja, do licha, nie wpadłem w jaką awanturę?” – pomyślał Wokulski.

Ledwie Wokulski usiadł na fotelu i zaczął przeglądać papiery, wszedł lokaj w błękitnym fraku ozdobionym złotymi haftami i podał mu bilet na tacy. Na bilecie był napis: „Pułkownik”, i jakieś

nic nie mówiące nazwisko.

– Prosić.

Po chwili ukazał się mężczyzna pięknego wzrostu, z siwą hiszpanką, takimiz wąsami i czerwoną wstążeczką przy klapie surduta.

– Wiem, że mało ma pan czasu – odezwał się gość, lekko kłaniając się. – Mój interes jest krótki. Paryż, miasto wspaniałe pod każdym względem: czy chodzi o zabawę, czy o naukę; ale potrzebuje wytrawnego przewodnika. Ponieważ znam wszystkie muzea, galerie, teatry, kluby, monumenta, instytucje rządowe i prywatne, słowem wszystko... więc jeżeli pan życzy sobie...

– Niech pan raczy zostawić swój adres – odpowiedział Wokulski.

– Władam czterema językami, mam znajomości w świecie artystycznym, literackim, naukowym i przemysłowym...

– W tej chwili nie mogę panu dać odpowiedzi – przerwał Wokulski.

– Mam zgłosić się czy czekać na pańskie wezwanie? – spytał gość.

– Tak, odpowiem panu listownie.

– Polecam się pamięci – odparł gość. Wstał z krzesła i ukłoniwszy się wyszedł.

Lokaj przyniósł drugi bilet i niebawem ukazał się drugi gość. Był to człowiek pulchny i rumiany i wyglądał na właściciela sklepu bławatnego, kłaniał się na całej przestrzeni ode drzwi do stołu.

– Co pan każe? – spytał Wokulski.

– Jak to, nie odgadł pan przeczytawszy nazwisko Escabeau? ... Hannibal Escabeau?... – zdziwił się przybyły. – Karabin Escabeau daje siedemnaście strzałów na minutę; ten zaś, który będę miał honor zaprezentować panu, wyrzuca trzydzieści kul...

Wokulski miał tak zdziwioną minę, że Hannibal Escabeau sam począł się dziwić.

– Sądzę, że nie omyliłem się? – spytał gość.

– Omylił się pan – odparł Wokulski. – Jestem kupcem galanteryjnym i karabiny nic mnie nie obchodzą.

– Mówiono mi jednak... poufnie... – rzekł z naciskiem Escabeau – że panowie...

– Źle pana poinformowano.

– Ach, w takim razie przepraszam... To może być pod innym numerem... – mówił gość cofając się i kłaniając.

Nowy występ błękitnego fraka i białych spodni i nowy gość; tym razem mały, szczupły, czarny, z niespokojnym wejrzeniem. Ten prawie przybiegł do stołu, padł na krzesło, obejrzał się na drzwi i przysunawszy się do Wokulskiego zaczął przyciszonym głosem:

– Pewnie dziwi to pana, ale... rzecz jest ważna... zbyt ważna... W tych dniach zrobiłem olbrzymie odkrycie co do rulety... Trzeba tylko sześć do siedmiu razy dublować stawkę...

– Wybacz pan, ale ja się tym nie zajmuję – przerwał mu Wokulski.

– Nie ufa mi pan?... To całkiem naturalne... Ale mam

właśnie przy sobie małą ruletę... Możemy spróbować...

– Przepraszam pana, w tej chwili nie mam czasu.

– Trzy minuty, panie... minutkę...

– Ani pół minuty.

– Więc kiedyż mam przyjść? – pytał gość z miną bardzo zdesperowaną.

– W każdym razie nieprędko.

– Niechże mi pan przynajmniej pożyczysz sto franków na oficjalne próby...

– Mogę służyć pięcioma – odparł Wokulski sięgając do kieszeni.

– O nie, panie, dziękuję... Nie jestem awanturnikiem... Zresztą... niech pan da... jutro odniosę... Pan może się tymczasem namyśli...

Następny gość, człowiek okazałej tuszy, ze sznurem miniaturowych orderów na klapie surduta, proponował Wokulskiemu: dyplom doktora filozofii, order lub tytuł, i wydawał się bardzo zdziwionym, gdy propozycji nie przyjęto. Odszedł, nawet nie pożegnawszy się.

Po nim nastąpiła paruminutowa przerwa. Wokulskiemu zdawało się, że w poczekalni słyszy szelest kobiecej sukni. Wyteżył ucho... W tej chwili lokaj zameldował baronową...

Znowu długa pauza i ukazała się w salonie kobieta tak piękna i dystygowana, że Wokulski mimo woli powstał z fotelu. Mogła mieć około czterdziestu lat; wzrost okazały, rysy bardzo regularne, postawa wielkiej damy.

Milcząc wskazał jej fotel. Gdy zaś usiadła, spostrzegł, że jest wzburzoną i szarpie w rękach haftowaną chusteczkę. Nagle odezwała się, dumnie patrząc mu w oczy:

– Pan mnie zna?

– Nie, pani.

– Nie widział pan nawet moich portretów?

– Nie.

– Więc chyba nigdy pan nie był ani w Berlinie, ani w Wiedniu.

– Nie byłem.

Dama głęboko odetchnęła.

– Tym lepiej – rzekła – będę śmielszą. Nie jestem baronowa... jestem zupełnie kim innym. Ale o to mniejsza. Chwilowo znalazłam się w trudnym położeniu... potrzebuję dwudziestu tysięcy franków... A ponieważ nie chcę w tutejszych lombardach<sup>72</sup> zastawiać moich klejnotów, więc... Pojmuje pan?

– Nie, pani.

– Więc... mam do zbycia ważną tajemnicę...

– Nie mam prawa nabywać tajemnic – odpowiedział już zmieszany Wokulski.

Dama poruszyła się na fotelu.

– Nie ma pan prawa?... Więc po cóż pan tu przyjechał?... – rzekła z lekkim uśmiechem.

– A jednak nie mam...

Dama podniosła się.

---

<sup>72</sup> *lombard* – zakład udzielający pożyczek pod zastaw przedmiotów wartościowych.  
[przypis redakcyjny]

– Tu – mówiła wzruszona – jest adres, pod którym można się zgłosić do mnie w ciągu dwudziestu czterech godzin, a tu... notatka, która może panu da trochę do myślenia... Żegnam.

Wyszła z szelestem. Wokulski spojrział na notatkę i znalazł w niej szczegóły dotyczące osoby jego i Suzina, które zazwyczaj stanowią treść paszportów.

„No tak!... – myślał. – Miler przeczytał mój paszport i zrobił z niego wyciąg, nawet nie bez błędów... Woklusky!... Cóż, u diabła, czy oni mnie uważają za dziecko?...”

Ponieważ nikt z gości już nie przychodził, Wokulski wezwał do siebie Jumarta.

– Co pan rozkaże? – spytał elegancki marszałek dworu.

– Chciałem z panem pomówić.

– Prywatnie?... W takim razie pozwoli pan, że usiądę. Przedstawienie skończone, kostiumy idą do składu, aktorzy stają się równi sobie.

Mówił to nieco ironicznym tonem i zachowywał się, jak przystało na człowieka bardzo dobrze wychowanego. Wokulski dziwił się coraz więcej.

– Powiedz mi pan – rzekł – co to są za ludzie?

– Ci, którzy byli u pana? – spytał Jumart. – Ludzie, jak inni: przewodnicy, wynalazcy, pośrednicy... Każdy pracuje, jak umie, i stara się swoją pracę zbyć najkorzystniej. A że lubią zarobić, jeżeli się da, więcej, niż warto, to już cecha Francuzów.

– Pan nie jesteś Francuzem?

– Ja?... Urodziłem się w Wiedniu, kształciłem się w

Szwajcarii i w Niemczech, długi czas mieszkałem we Włoszech, Anglii, Norwegii, Stanach Zjednoczonych... Moje zaś nazwisko najlepiej streszcza narodowość<sup>73</sup>: tym jestem, w czyjej mieszkam oborze; wołem między wołami, koniem między końmi. A że wiem, skąd mam pieniądze i na co je wydaję, i ludzie o mnie wiedzą, więc zresztą nic mnie nie obchodzi.

Wokulski przypatrywał mu się z uwagą.

– Nie rozumiem pana – rzekł.

– Widzi pan – mówił Jumart przebijając palcami po stole – za dużo zwiedziłem świata, ażebym miał troszczyć się o czyjąś narodowość. Dla mnie istnieją tylko cztery narodowości bez względu na języki. Numer pierwszy mają ci, o których wiem: skąd biorą pieniądze i na co je wydają. Numer drugi – ci, o których wiem, skąd biorą, ale nie wiem na co wydają. Numer trzeci ma znane wydatki, choć nieznanne dochody, a numer czwarty noszą ci, których nie znam ani źródła dochodów, ani wydatków. O panu Escabeau wiem, że ma dochody z fabryki trykotaży, a wydaję pieniądze na zbudowanie jakiejś piekielnej broni, więc szanuję go... Zaś o pani baronowej... nie wiem, ani skąd bierze pieniądze, ani na co je wydaję, i dlatego jej nie ufam.

– Ja jestem kupcem, panie Jumart – odpowiedział Wokulski, niemile draśnięty wykładem powyższej teorii.

– Wiem o tym. I jeszcze jest pan przyjacielem pana **Siużę**, co także daje pewien procent. Nie do pana zresztą stosowały

---

<sup>73</sup> *Moje... nazwisko... streszcza narodowość* – *jumeau* znaczy po fr.: bliźniak, aluzja więc jest niezrozumiała. [przypis redakcyjny]

się moje uwagi; wypowiedziałem je jako odczyt, który mam nadzieję, opłaci mi się.

– Jesteś pan filozofem – mruknął Wokulski.

– Nawet doktorem filozofii dwu uniwersytetów – odparł Jumart.

– I spełniasz pan rolę...

– Służącego?... chciałeś pan powiedzieć – przerwał śmiejąc się Jumart. – Pracuję, panie, aby żyć i zabezpieczyć sobie rentę<sup>74</sup> na starość. A o tytuł nie dbam: tyle ich już miałem!... Świat podobny jest do amatorskiego teatru więc nieprzyzwoicie jest pchać się w nim do ról pierwszych, a odrzucać podrzędne. Wreszcie, każda rola jest dobra, byle grać ją z artyzmem i nie brać jej zbyt poważnie.

Wokulski poruszył się. Jumart wstał z krzesła i ukłoniwszy się elegancko, rzekł:

– Polecam panu moje usługi.

Następnie wyszedł z salonu.

„Mam gorączkę, czy co?... – szepnął Wokulski ściskając głowę rękoma. – Wiedziałem, że Paryż jest dziwny, ale żeby był aż tak dziwny...”

Kiedy Wokulski spojrział na zegarek, było dopiero wpół do czwartej.

„Przeszło cztery godziny do sesji” – mruknął czując, że ogarnia go trwoga na myśl: co robić z czasem? Widział tyle nowych rzeczy, rozmawiał z tyloma nowymi ludźmi i jest

---

<sup>74</sup> *renta* – tu: stały roczny dochód z kapitału złożonego w banku. [przypis redakcyjny]

dopiero w pół do czwartej!...

Trapił go nieokreślony niepokój, czuł brak czegoś... „Może by znowu co zjeść? – nie. Może czytać? – nie. Może rozmawiać? – Już mam dosyć tej rozmowy...” Ludzie obrzydli mu; najmniej wstrętnymi byli ci chorzy na manię wynalazków i ten Jumart, ze swoją klasyfikacją człowieczego gatunku.

Nie miał odwagi wracać do swego numeru z wielkim lustrem; cóż mu więc pozostało, jeżeli nie oglądanie paryskich osobliwości. Kazał zaprowadzić się do sali jadalnej Grand Hotel. Wszystko tu pyszne i ogromne, począwszy od ścian, sufitu i okien, skończywszy na liczbie i długości stołów. Ale Wokulski nie przypatrywał się; utkwiał oczy w jednym z olbrzymich złożonych pajaków i myślał:

„Kiedy **ona** dosięgnie wieku baronowej... ona, przywykła do wydawania dziesiątków tysięcy rubli rocznie, kto wie, czy nie pójdzie też drogami baronowej?... Przecie i ta kobieta była młodą, i za nią mógł szaleć taki wariat jak ja, i ona nie pytała, skąd się biorą pieniądze... Dziś już wie skąd: z handlu tajemnicami!... Przeklęta sfera, która hoduje takie piękne i takie kobiety...”

W sali było mu ciasno, więc wybiegł przed hotel utopić się w ulicznym gwarze.

„Pierwej szedłem na lewo – myślał – teraz pójdę w prawo...”  
Wędrownka na oślepiec w niezmiernym mieście była jedyną rzeczą mającą dla niego jakiś gorzki powab.

„Gdybym między tymi tłumami mógł zgubić samego

siebie...” – szepnął.

Skreślił tedy na prawo. Wyminiął nieduży plac i wszedł na bardzo duży<sup>75</sup>, obficie zasadzony drzewami. Na środku jego stał gmach prostokątny<sup>76</sup>, otoczony kolumnami jak grecka świątynia; wielkie drzwi spiżowe, okryte płaskorzeźbą, na szczycie frontonu<sup>77</sup> również płaskorzeźba przedstawiająca, zdaje się, sąd ostateczny<sup>78</sup>.

Wkoło obszedł gmach myśląc o Warszawie. Z jakim trudem dźwigają się tamtejsze budowle nieduże, nietrwałe i płaskie, gdy tu siła ludzka, jakby dla rozrywki, wznosi olbrzymy i tak dalece jest niewyczerpana pracą, że jeszcze zalewa je ozdobami.

Naprzeciw zobaczył niedługą ulicę<sup>79</sup>, a za nią ogromny plac<sup>80</sup>, na którym majaczyła wysmukła kolumna. Poszedł w tamtą stronę. Im bardziej zbliżał się, tym wyżej rosła kolumna i plac się rozszerzał. Przed i za kolumną biły duże wodotryski: na prawo i na lewo ciągnęły się już żółknące kępy drzew jak ogrody; w

---

<sup>75</sup> *wszedł na bardzo duży* (plac) – Place de la Madeleine, plac Magdaleny. [przypis redakcyjny]

<sup>76</sup> *gmach prostokątny* – kościół Św. Magdaleny, zbudowany w latach 1764–1842. [przypis redakcyjny]

<sup>77</sup> *fronton* – frontowa, przednia część budynku; szczytowe zakończenie fasady budynku, trójkąt ujęty gzymsami, wypełniony często rzeźbą lub płaskorzeźbą. [przypis redakcyjny]

<sup>78</sup> *płaskorzeźba przedstawiająca, zdaje się, sąd ostateczny* – przypuszczenia Wokulskiego są słuszne. [przypis redakcyjny]

<sup>79</sup> *niedługa ulica* – rue Royale. [przypis redakcyjny]

<sup>80</sup> *ogromny plac* – plac Zgody, największy i najpiękniejszy plac w Paryżu. [przypis redakcyjny]

głębi widać było rzekę, nad którą co chwilę rozsnuwał się dym szybko przelatującego parostatku.

Na placu kręciło się niewiele stosunkowo powozów; natomiast było dużo dzieci z matkami i bonami<sup>81</sup>. Krążyli wojskowi różnej broni i gdzieś grała orkiestra.

Wokulski zbliżył się do obelisku<sup>82</sup> i ogarnęło go zdumienie. Znajdował się na środku obszaru mającego ze dwie wiorsty długości i z pół szerokości. Za sobą miał ogród<sup>83</sup>, przed sobą bardzo długą aleję<sup>84</sup>. Po obu jej stronach ciągnęły się skwery i pałace<sup>85</sup>, a daleko, na wzgórzu, wznosiła się ogromna brama<sup>86</sup>. Wokulski czuł, że w tym miejscu może mu zabraknąć przymiotników i stopni najwyższych.

– To jest plac Zgody, to obelisk z Luxor (oryginalny, panie!), za nami ogród Tuileryjski, przed nami Pola Elizejskie, a tam, na

---

<sup>81</sup> *bona* – niania, wychowawczynie małych dzieci, pracująca dawniej w zamożnych rodzinach. [przypis edytorski]

<sup>82</sup> *obelisk* – słup kamienny, czworoboczny, zwężający się ku górze. W Egipcie był symbolem kultu boga słońca. Wspomniany tu granitowy obelisk, wysokości 23 m, pochodzi ze świątyni egipskiej w Luksorze (starożytne Teby). Był darem paszy egipskiego dla króla Ludwika Filipa. Ustawiony w r. 1836. [przypis redakcyjny]

<sup>83</sup> *ogród* – Ogród Tuileryjski z czasów Ludwika XIV (druga połowa XVII w.), chętnie uczęszczane miejsce spacerowe. [przypis redakcyjny]

<sup>84</sup> *bardzo długa aleja...* – Pola Elizejskie. [przypis redakcyjny]

<sup>85</sup> *pałace* – wśród nich i Pałac Elizejski zbudowany w w. XVIII, siedziba prezydenta republiki. [przypis redakcyjny]

<sup>86</sup> *ogromna brama* – Łuk Triumfalny (zbudowany w latach 1806–1836) na cześć Napoleona I i zwycięstw armii francuskiej; liczy 50 m wysokości, znajduje się na placu Gwiazdy, z którego rozchodzi się 12 ulic. [przypis redakcyjny]

końcu... Łuk Gwiazdy...

Wokulski obejrzał się: przy nim kręcił się jakiś pan w ciemnych okularach i nieco podartych rękawiczkach.

– Możemy tam podejść... Boski spacer!... Czy widzisz pan ten ruch... – mówił nieznamy.

Nagle umilkł, szybko odszedł i zniknął między dwoma przejeżdżającymi powozami. Natomiast zbliżył się jakiś wojskowy w krótkiej pelerynie, z kapturem na plecach. Wojskowy chwilę przypatrzył się Wokulskiemu i rzekł z uśmiechem.

– Pan cudzoziemiec?... Niech pan będzie ostrożny ze znajomościami w Paryżu...

Wokulski machinalnie dotknął bocznej kieszeni surduta i już nie znalazł tam srebrnej papierośnicy. Zarumienił się, grzecznie podziękował wojskowemu w pelerynie, lecz nie przyznał się do straty. Przyszły mu na myśl definicje Jumarta i powiedział sobie, że już zna źródło dochodów pana w podartych rękawiczkach, choć nie wie jeszcze o jego wydatkach.

„Jumart ma rację – szepnął. – Złodzieje są mniej niepewni od ludzi, którzy nie wiadomo skąd czerpią dochody...”

I przypomniał sobie, że w Warszawie jest bardzo wielu takich. „Może dlatego nie ma tam gmachów i łuków triumfalnych...”

Szedł Polami Elizejskimi i odurzał się ruchem nieskończonych sznurów karet i powozów, między którymi przesuwali się jeźdźcy i amazonki<sup>87</sup>. Szedł odpędzając od siebie

---

<sup>87</sup> amazonki – tu: kobiety jeżdżące konno. [przypis redakcyjny]

posepne myśli, które krążyły nad nim jak stada nietoperzy. Szedł i lękał się spojrzeć za siebie; zdawało mu się, że na tej drodze, kipiącej przepychem i weselem, on sam jest jak zdeptyany robak, który wlecze za sobą wnętrzności.

Dotarł do Łuku Gwiazdy i powoli zawrócił się z powrotem. Gdy znowu dosięgał placu Zgody, zobaczył, poza Tuileryjskim ogrodem, ogromną czarną kulę, która szybko szła w górę, zatrzymała się pewien czas i powoli opadła na dół.

„Ach, to tu jest balon Giffarda<sup>88</sup>? – pomyślał. – Szkoda, że nie mam dziś czasu!...”

Z placu skręcił w jakąś ulicę<sup>89</sup>, gdzie na prawo ciągnął się ogród<sup>90</sup> oddzielony żelaznymi sztachetami i słupami, na których stały wazony, a na lewo – szereg kamienic z półokrągłymi dachami, z lasem kominów i kominków, z niekończącymi się balustradami... Szedł powoli i z trwogą myślał, że ledwie po ośmiogodzinnym pobycie Paryż zaczyna go nudzić...

„Bah! – szepnął. – A wystawa, a muzea, a balon?...”

Idąc wciąż ulicą Rivoli około siódmej dotarł do placu, na którym wznosiła się, samotna jak palec, wieża gotycka<sup>91</sup>,

---

<sup>88</sup> Henryk Giffard (1825–1882) – francuski konstruktor balonów. W czasie wystawy paryskiej 1878 r. loty balonem na uwięzi, na linie (na wys. 540 m), były dużą atrakcją dla zwiedzających. [przypis redakcyjny]

<sup>89</sup> *Z placu skręcił w jakąś ulicę...* – ulicę Rivoli. [przypis redakcyjny]

<sup>90</sup> *na prawo ciągnął się ogród* – Ogród Tuileryjski. [przypis redakcyjny]

<sup>91</sup> *wieża gotycka* – wieża Saint-Jacques, pozostałość po kościele gotyckim, zburzonym w końcu XVIII w. Z wysokiej tej wieży (50 m) rozpościera się piękny widok. [przypis redakcyjny]

otoczona drzewami i niskim płotem z prętów żelaznych. Stąd znowu rozbiegało się kilka ulic; Wokulski uczuł znużenie, kiwnął na fiakra<sup>92</sup> i po upływie pół godziny znalazł się w hotelu spotkawszy po drodze znajomą już bramę St. Denis.

Sesja z fabrykantami okrętów i odnośnymi inżynierami przeciągnęła się do północy, przy udziale bardzo wielu butelek szampana. Wokulski, który musiał wyręczać w rozmowie Suzina i robił dużo notatek, dopiero przy tej pracy uspokoił się zupełnie. Rzeško pobiegł do swojego numeru i zamiast dręczyć się lustrem, wziął do poduszki plan Paryża umieszczony w *Przewodniku*.

„Bagatela! – mruknął. – Około stu wiorst kwadratowych<sup>93</sup> powierzchni, dwa miliony mieszkańców, kilka tysięcy ulic i kilkanaście tysięcy powozów publicznych...”

Potem przejrzał długi spis najznakomitszych budowli paryskich i ze wstydem pomyślał, że chyba nigdy nie zorientuje się w tym mieście.

„Wystawa... Notre–Dame<sup>94</sup>... Hale Centralne<sup>95</sup>... Plac Bastylli<sup>96</sup>... Magdalena... Ścieki<sup>97</sup>... No, dajcie mi spokój!” –

---

<sup>92</sup> *fiakier* – dorożkarz. [przypis redakcyjny]

<sup>93</sup> *Około stu wiorst kwadratowych* – w przybliżeniu 114 km kwadratowych. [przypis redakcyjny]

<sup>94</sup> Notre–Dame – słynna katedra paryska pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny, na wyspie Cite na Sekwanie, arcydzieło sztuki gotyckiej (w. XII–XIV). Posiada dwie wieże wys. 68 m. [przypis redakcyjny]

<sup>95</sup> *Hale Centralne* – ogromne pawilony, w których odbywała się sprzedaż produktów żywnościowych. [przypis redakcyjny]

<sup>96</sup> Plac Bastylli – niegdyś znajdowała się na nim twierdza Bastylia, zamieniona w

mówił.

Zgasił świecę. Na ulicy było cicho; przez okno napływał szary blask światła odbitych chyba od obłoków. Ale Wokulskiemu szumiało i dzwoniło w uszach, a przed oczyma ukazywały mu się to ulice gładkie jak posadzka, to drzewa otoczone żelaznymi koszykami, to gmachy budowane z ciosowego kamienia, to znowu ciżba ludzi i powozów wychodzących nie wiadomo skąd i biegnących nie wiadomo dokąd. Przypatrując się tym pierzchliwym widziadłom usypiał i myślał, że jednak ten pierwszy dzień w Paryżu upamiętni mu się na całe życie.

Potem marzyło mu się, że to morze domów i las posągów, i nieskończone szeregi drzew zwałają się na niego i że on sam już śpi w niezmiernym grobowcu samotny, cichy, prawie szczęśliwy. Śpi, o niczym nie myśli, o nikim nie pamięta, i tak przespałby wieki, gdyby, ach! nie ta kropla żalu, która leży w nim czy obok niego, tak mała, że jej nie dojrzy ludzkie oko, a tak gorzka, że mogłaby cały świat zatruć.

Od dnia, w którym po raz pierwszy skąpał się w Paryżu, zaczęło się dla Wokulskiego życie prawie mistyczne. Poza obrębem kilku godzin, które poświęcał naradom Suzina z

---

w. XVII na więzienie polityczne. Zdobycie i zburzenie Bastylji przez lud paryski w dniu 14 lipca 1789 r. zapoczątkowało wielką rewolucję francuską. Obecnie na placu Bastylji wznosi się Kolumna Lipcowa, pomnik ku czci ofiar rewolucji lipcowej 1830 r. [przypis redakcyjny]

<sup>97</sup> *Ścieki* – słynne kanały paryskie, długości (w r. 1878) ok. 800 km, tworzą rozległą sieć podziemnych korytarzy; ówczesnie stanowiły najwyższe osiągnięcie techniki w tej dziedzinie. [przypis redakcyjny]

budowniczymi okrętów, Wokulski był zupełnie swobodny i używał tego czasu na najnieporządniejsze zwiedzanie miasta. Wybierał jakąś miejscowość według alfabetu w *Przewodniku* i nawet nie patrząc na plan jechał tam otwartym powozem. Wdrapywał się na schody, obchodził gmachy, przebiegał sale, zatrzymywał się przed ciekawszymi okazami i tym samym fiakrem, wynajętym na cały dzień, przenosił się do innej miejscowości, znowu według alfabetu. A ponieważ największym niebezpieczeństwem, jakiego lękał się, był brak zajęcia, więc wieczorami oglądał plan miasta, wykreślał już obejrzone punkta i robił notatki.

Niekiedy w wycieczkach towarzyszył mu Jumart i prowadził go do miejsc, o których nie wspominają przewodniki: do składów kupieckich, do warsztatów fabrycznych, do mieszkań rękodzielników, do kwater studenckich, do kawiarni i restauracyj na ulicach czwartego rzędu. I tu dopiero Wokulski poznawał właściwe życie Paryża.

W ciągu tych wędrówek wchodził na wieże: St. Jacques, Notre-Dame i Panteonu<sup>98</sup>, wjeżdżał windą na Trocadero<sup>99</sup>, zstępował do ścieków paryskich i do ozdobionych trupimi

---

<sup>98</sup> Panteon – okazała budowla (z drugiej połowy XVIII w.), pierwotnie kościół Św. Genowefy, później groby zasłużonych. W Panteonie jest pochowany Wolter, Rousseau, Hugo, Zola i inni. Z kopuły Panteonu (wys. 80 m), wznoszącego się na górze Św. Genowefy, rozciąga się malowniczy widok na Paryż. [przypis redakcyjny]

<sup>99</sup> Trocadero – fort w Andaluzji w Hiszpanii, zdobyty w 1823 r. przez Francuzów. Na tę pamiątkę nazwano tak wzgórze w Paryżu na prawym brzegu Sekwany i wzniesiony tam w r. 1878 pałac wystawowy w stylu orientalnym. [przypis redakcyjny]

głowami katakumb<sup>100</sup>, zwiedzał wystawę powszechną, Louvre<sup>101</sup> i Cluny<sup>102</sup>, Lasek Buloński<sup>103</sup> i cmentarze<sup>104</sup>, kawiarnie de la Rotonde, du Grand Balcon<sup>105</sup> i fontanny, szkoły i szpitale, Sorbonę<sup>106</sup> i sale fechtunku, hale i konserwatorium muzyczne<sup>107</sup>, bydłobójnie i teatry, giełdę<sup>108</sup>, Kolumnę Lipcową i wnętrza świątyń. Wszystkie te widoki tworzyły dokoła niego chaos, któremu odpowiadał chaos panujący we własnej duszy.

Nieraz przebiegając myślą oglądane przedmioty: od pałacu wystawy, mającego dwie wiorsty w obwodzie, do perły w

---

<sup>100</sup> *katakumby* – podziemne cmentarze. Katakumby paryskie są to dawniejsze kamieniołomy, od drugiej połowy XVIII wieku zamienione na zbiorowe cmentarze dla zwłok ekshumowanych z cmentarzy, które zostały zabudowane. Katakumby te tworzą obok kanałów drugie podziemne miasto Paryża. [przypis redakcyjny]

<sup>101</sup> Louvre – dawny pałac królewski w Paryżu (z XVI–XVII w.), od roku 1793 muzeum światowej sławy, mieszczące wspaniałe dzieła sztuki i pamiątki historyczne. [przypis redakcyjny]

<sup>102</sup> Cluny – właściwie Hotel de Cluny, pałac z w. XV, mieszczący cenne zbiory z zakresu sztuki stosowanej i rzemiosła (XIV–XVI w.); nazwa od opactwa w Cluny, do którego niegdyś należał. [przypis redakcyjny]

<sup>103</sup> Lasek Buloński – obszerny park naturalny na zachodnim krańcu Paryża, ulubione miejsce spacerów. [przypis redakcyjny]

<sup>104</sup> *cmentarze* – słynne cmentarze paryskie: Montmartre (północna część miasta), Montparnasse (południowa), Pere–Lachaise (wschodnia). [przypis redakcyjny]

<sup>105</sup> de la Rotonde, du Grand Balcon – popularne kawiarnie paryskie. [przypis redakcyjny]

<sup>106</sup> Sorbona – uniwersytet paryski, założony w 1253 r. przez Roberta de Sorbon; znajduje się w dzielnicy łacińskiej. [przypis redakcyjny]

<sup>107</sup> *konserwatorium muzyczne* – nazwa znakomitej paryskiej szkoły operowej. Koncerty publiczne w konserwatorium mają europejską sławę. [przypis redakcyjny]

<sup>108</sup> *giełda* – monumentalny gmach, wzniesiony w XIX w. [przypis redakcyjny]

koronie Burbonów<sup>109</sup>, nie większej od ziarna grochu, pytał: czego ja chcę?... I okazywało się, że nie chciał niczego. Nic nie przykuwało jego uwagi, nie przyspieszało bicia serca, nie pobudzało go do czynów. Gdyby za cenę pieszej podróży od cmentarza Montmartre do cmentarza Montparnasse ofiarowano mu cały Paryż pod warunkiem, żeby go to zajęło i rozgrzało, nie przeszedłby tych pięciu wiorst. Przechodził zaś ich dziesiątki dziennie dlatego tylko, ażeby zagłuszyć wspomnienia.

Nieraz zdawało mu się, że jest istotą, która dziwnym zbiegiem wypadków urodziła się przed kilkoma dniami tu, na bruku paryskim, i że wszystko, co mu przychodziło na pamięć, jest złudzeniem, jakimś snem przedbytowym, który nigdy nie istniał w rzeczywistości. Wówczas mówił sobie, że jest zupełnie szczęśliwy, jeździł z jednego końca Paryża na drugi i jak szalencie garściami rozrzucał luidory<sup>110</sup>.

„Wszystko jedno!” – mrucał.

Ach, gdyby tylko nie ta kropla żalu, tak mała, a tak gorzka!

Czasami na tle szarych dni, w których zdawało mu się, że na jego głowę wali się cały świat pałaców, fontann, rzeźb, obrazów i machin, trafiał się wypadek, który przypominał mu, że on nie jest złudzeniem, ale rzeczywistym człowiekiem, chorym na raka w duszy.

---

<sup>109</sup> Burbonowie – dynastia królów francuskich (1589–1792 i 1815–1830). [przypis redakcyjny]

<sup>110</sup> *luidor* – tradycyjna nazwa dwudziestofrankówki. [przypis redakcyjny]

Był raz w teatrze „Variétés”<sup>111</sup> na ul. Montmartre, o paręset kroków od swego hotelu. Miano grać trzy wesołe sztuczki, między nimi jedną operetkę. Poszedł tam, ażeby odurzyć się błazeństwem, i prawie natychmiast po podniesieniu kurtyny usłyszał na scenie frazes<sup>112</sup> wypowiedziany płaczącym głosem: „Kochanek wszystko wybaczy kochance, wyjąwszy drugiego kochanka...”

– Niekiedy trzeba wybaczyć trzech albo czterech!... – odezwał się ze śmiechem siedzący obok niego Francuz.

Wokulski uczył brak powietrza, zdawało mu się, że ziemia rozstępuje się pod nim i sufit upada na niego. Nie mógł wytrzymać w teatrze; wstał z krzesła, na nieszczęście położonego gdzieś we środku teatru, i obłany zimnym potem, depcząc po nogach sąsiadów, uciekł z przedstawienia.

Biegł w stronę hotelu i wpadł do pierwszej narożnej kawiarni. O co go pytano, co odpowiedział, nie pamięta. Wiedział tylko, że podano mu kawę i karafkę koniaku, naznaczoną kreskami, które odpowiadały objętości kieliszka.

Wokulski pił i myślał:

„Starski to jest ten drugi kochanek, Ochocki trzeci... A Rossi?... Rossi, któremu ja urządziłem klakę i znosiłem mu do teatru prezenta... Czymże on był?... Głupi człowieku, ależ to

---

<sup>111</sup> „Variétés” – teatr „Rozmaitości”, wystawiał sztuki lekkiej treści, operetki, wodewile, farsy itp. [przypis redakcyjny]

<sup>112</sup> *frazes* u Prusa: zdanie, wyrażenie (bez zabarwienia ujemnego). [przypis redakcyjny]

jest Mesalina<sup>113</sup>, jeżeli nie ciałem, to duchem... I ja, ja mam szaleć dla niej?... Ja!...

Czuł, że oburzenie uspakaja go; gdy przyszło do rachunku, przekonał się, że... karafka była pusta...

„A jednakże ten koniak uspakaja...” – pomyślał.

Odtąd, ile razy przypomniła mu się Warszawa albo ile razy spotkał kobietę mającą coś szczególnego w ruchach, w ubiorze czy fizjonomii, wpadał do kawiarni i wypijał karafkę koniaku. Tylko wówczas śmiało przypominał sobie pannę Izabelę i dziwił się, że taki jak on człowiek mógł kochać taką jak ona kobietę.

„Przecież chyba zasługuję na to – myślał – ażebym był pierwszym i ostatnim...”

Karafka koniaku wypróżniała się, a on opierał głowę na rękach i drzemał, ku wielkiej ucieście garsonów i gości.

I znowu po całych dniach zwiedzał wystawę, muzea, studnie artezyjskie<sup>114</sup>, szkoły i teatry nie dlatego, ażeby coś poznać, ale ażeby zagłuszyć wspomnienia. Powoli, na tle głuchych i nieokreślonych cierpień, poczęło się w nim rodzić pytanie: czy istnieje jaki porządek w budowie Paryża? Czy jest przedmiot, z którym można by go porównać, i ład, pod który dałoby się go podciągnąć?

Widziany z Panteonu i z Trocadero, Paryż przedstawiał się

---

<sup>113</sup> Mesalina (I wiek n.e.) – żona cesarza rzymskiego Klaudiusza, słynna z rozwiązłości. [przypis redakcyjny]

<sup>114</sup> *studnie artezyjskie* – studnie stosowane już w starożytności; dostarczają wody z głębokich warstw ziemi. W Europie wiercono je po raz pierwszy w XII w. w Artois we Francji, stąd nazwa. [przypis redakcyjny]

jednakowo: było to morze domów, przecięte tysiącem ulic, nierówne dachy wyglądały jak fale, kominy jak odpryski, a wieże i kolumny jak większe fale.

„Chaos! – mówił Wokulski. – Zresztą nie może być inaczej tam, gdzie zbiegają się miliony usiłowań. Wielkie miasto jest jak obłok kurzu; ma przypadkowe kontury, lecz nie może mieć logiki. Gdyby ją miało, już od dawna wykryliby ten fakt autorowie przewodników; bo i od czegoż oni są?...”

I przyglądał się planowi miasta wyśmiewając własne wysiłki.

„Tylko jeden człowiek, i w dodatku genialny człowiek, może wytworzyć jakiś styl, jakiś plan – myślał.

– Ale żeby miliony ludzi, pracujących przez kilka wieków i nie wiedzących jeden o drugim, wytworzyło jakąś logiczną całość, jest to wprost niepodobne.”

Powoli jednakże, ku największemu zdziwieniu, spostrzegł, że ów Paryż, budowany przez kilkanaście wieków, przez miliony ludzi, nie wiedzących o sobie i nie myślących o żadnym planie, ma jednakże plan, tworzy całość, nawet bardzo logiczną.

Uderzyło go naprzód to, że Paryż jest podobny do olbrzymiego półmiska, o dziewięciu wiorstach szerokości z północy na południe i o jedynastu długości ze wschodu na zachód. Półmisek ten w stronie południowej jest pęknięty i przedzielony Sekwaną, która przecina go łukiem biegnącym od kąta południowo-wschodniego przez środek miasta i skręca do kąta południowo-zachodniego. Ośmioletnie dziecko mogłoby wyrysować taki plan.

„No dobrze – myślał Wokulski – ale gdzież tu jest jakiśkolwiek ład w ustawieniu osobliwych budynków... Notre-Dame w jednej stronie, Trocadero w innej stronie, a Louvre, a giełda, a Sorbona!... Chaos, i tyle...”

Lecz gdy pilniej zaczął rozglądać się w planie Paryża, spostrzegł to, czego nie dojrzeliby rodowici paryżanie (co byłoby mniej dziwne) ani nawet K. Baedeker<sup>115</sup>, roszczący sobie prawo do orientowania się po całej Europie.

Paryż pomimo pozornego chaosu ma plan, ma logikę, chociaż budowało go przez kilkanaście wieków miliony ludzi nie wiedzących o sobie i bynajmniej nie myślących o logice i stylu.

Paryż posiada to, co można by nazwać kręgosłupem, osią krystalizacji<sup>116</sup> miasta.

Lasek Vincennes<sup>117</sup> leży w stronie południowo-wschodniej, a kraniec Lasku Bulońskiego w północno-zachodniej stronie Paryża. Otóż: owa oś krystalizacji miasta podobna jest do olbrzymiej gąsienicy (mającej prawie sześć wiorst długości), która znudzwszy się w Lasku Vincennes poszła na spacer do Lasku Bulońskiego.

Ogon jej opiera się o plac Bastylli, głowa o Łuk Gwiazdy, korpus prawie przylega do Sekwany. Szyję stanowią Pola

---

<sup>115</sup> Baedeker Karl (1801–1859) – księgarz niemiecki, wydawca słynnych przewodników turystycznych. [przypis redakcyjny]

<sup>116</sup> *oś krystalizacji* – linia przechodząca przez środek kryształu. [przypis redakcyjny]

<sup>117</sup> Lasek Vincennes – las podmiejski, na wschodnim krańcu Paryża, zamieniony w park naturalny, miejsce spacerów i wypoczynku paryżan. [przypis redakcyjny]

Elizejskie, gorset Tuileries i Louvre, ogonem jest Ratusz<sup>118</sup>, Notre–Dame i nareszcie Kolumna Lipcowa na placu Bastylli.

Gąsienica ta posiada wiele nózek krótszych i dłuższych. Idąc od głowy pierwsza para jej nózek opiera się na lewo: o Pole Marsowe<sup>119</sup>, pałac Trocadero i wystawę, na prawo aż o cmentarz Montmartre. Druga para (nóżki krótsze) na lewo sięga do Szkoły Wojskowej<sup>120</sup>, Hotelu des Invalides<sup>121</sup>. i Izby Deputowanych<sup>122</sup>, na prawo kościoła Magdaleny i Opery. Potem idzie (wciąż ku ogonowi) na lewo Szkoła Sztuk Pięknych<sup>123</sup>, na prawo Palais Royal<sup>124</sup>, bank i giełda; na lewo Institut de

---

<sup>118</sup> Ratusz – wspaniały pałac renesansowy z XVI w. obok ul. Rivoli, spalony w czasie Komuny Paryskiej (1871), odbudowany w latach 1872–1882. [przypis redakcyjny]

<sup>119</sup> Pole Marsowe – ogromny plac na lewym brzegu Sekwany, miejsce uroczystości narodowych, ćwiczeń wojskowych, od r. 1900 park. W r. 1878 na Polu Marsowym mieściła się wystawa światowa. [przypis redakcyjny]

<sup>120</sup> Szkoła Wojskowa – pałac z połowy XVIII w., obok Pola Marsowego, pierwotnie szkoła wojskowa dla szlachty, później koszary. [przypis redakcyjny]

<sup>121</sup> Hotel des Invalides – Pałac Inwalidów, z czasów Ludwika XIV, na lewym brzegu Sekwany. Znajduje się w nim wojskowe muzeum historyczne i grobowiec Napoleona I oraz innych wodzów francuskich. [przypis redakcyjny]

<sup>122</sup> Izba Deputowanych – zgromadzenie ustawodawcze we Francji, wybrane w powszechnym głosowaniu. Siedzibą jego jest Palais–Bourbon (na lewym brzegu Sekwany, naprzeciw placu Zgody), pałac z pierwszej połowy XVIII w. [przypis redakcyjny]

<sup>123</sup> Szkoła Sztuk Pięknych – pałac z połowy XIX w. (obok Instytutu Francuskiego), zawiera cenne zbiory sztuki. [przypis redakcyjny]

<sup>124</sup> Palais Royal – wspaniały pałac z XVII w., naprzeciw Louvre'u, z pięknym parkiem, niegdyś rezydencja książąt orleańskich, później siedziba Rady Państwa i słynnego teatru Komedia Francuska. [przypis redakcyjny]

France<sup>125</sup> i mennica<sup>126</sup>, na prawo Hale Centralne; na lewo Pałac Luksemburski<sup>127</sup>, muzeum Cluny i Szkoła Medyczna<sup>128</sup>, na prawo plac Republiki<sup>129</sup>, z koszarami ks. Eugeniusza<sup>130</sup>.

Niezależnie od osi krystalizacyjnej i prawidłowości w ogólnym konturze miasta Wokulski przekonał się jeszcze (o czym zresztą mówiły przewodniki), że w Paryżu istnieją całe dziedziny prac ludzkich i jakiś porządek w ich układzie. Pomędzy placem Bastylli i placem Rzeczypospolitej skupia się przemysł i rzemiosła; naprzeciw nich, po drugiej stronie Sekwany, leży „dzielnica łacińska”<sup>131</sup>, gniazdo uczących się i uczonych. Między Operą, placem Rzeczypospolitej i Sekwaną

---

<sup>125</sup> Institut de France – Instytut Francuski, obejmujący pięć towarzystw naukowych: Akademię Francuską, Akademię Napisów i Literatury Pięknej, Akademię Nauk, Akademię Sztuk Pięknych i Akademię Nauk Moralnych i Politycznych. Siedzibą Instytutu jest pałac naprzeciw Louvre'u. [przypis redakcyjny]

<sup>126</sup> Mennica znajduje się w gmachu z XVIII w. na lewym brzegu Sekwany, niedaleko Instytutu Francuskiego, posiada bogate zbiory numizmatyczne. [przypis redakcyjny]

<sup>127</sup> Pałac Luksemburski – okazały pałac książęcy z XVII w., na lewym brzegu Sekwany, ze słynną galerią malarstwa nowożytnego. Był siedzibą senatu. [przypis redakcyjny]

<sup>128</sup> Szkoła Medyczna – wyższa uczelnia w dzielnicy łacińskiej, z bogatą biblioteką i muzeum anatomii porównawczej. Mieści się w gmachu z XVII w. [przypis redakcyjny]

<sup>129</sup> Plac Republiki – na prawym brzegu Sekwany, na przedłużeniu linii wielkich bulwarów. [przypis redakcyjny]

<sup>130</sup> *koszary ks. Eugeniusza* – nazwa od ks. Eugeniusza Beauharnais (1781–1824), pasierba Napoleona I. [przypis redakcyjny]

<sup>131</sup> „dzielnica łacińska” – dzielnica Paryża na lewym brzegu Sekwany, między Panteonem a pałacem Luksemburskim, od XII w. stanowi centrum naukowe. Tu znajdują się najważniejsze szkoły wyższe i instytuty naukowe. [przypis redakcyjny]

gromadzi się handel wywozowy i finanse; między Notre–Dame, Instytutem Francuskim i cmentarzem Montparnasse gnieźdzą się szczątki arystokracji rodowej. Od Opery do Łuku Gwiazdy ciągnie się dzielnica bogatych dorobkiewiczów, a naprzeciw nich, po lewej stronie Sekwany, obok Hotelu Inwalidów i Szkoły Wojskowej jest siedziba militaryzmu i wszechświatowych wystaw.

Obserwacje te zbudziły w duszy Wokulskiego nowe prądy, o których pierwaj nie myślał albo myślał niedokładnie. Zatem wielkie miasto, jak roślina i zwierzę, ma właściwą sobie anatomię i fizjologię. Zatem praca milionów ludzi, którzy tak głośno krzyczą o swojej wolnej woli, wydaje te same skutki, co praca pszczoł budujących regularne plastry, mrówek wznoszących ostrokężne kopce albo związków chemicznych układających się w regularne kryształy.

Nie ma więc w społeczeństwie przypadku, ale nieugięte prawo, które jakby na ironię z ludzkiej pychy, tak wyraźnie objawia się w życiu najkapryśniejszego narodu, Francuzów! Rządzili nimi Merowingowie i Karlowingowie, Burboni i Bonapartowie<sup>132</sup>, były trzy republiki<sup>133</sup> i parę anarchii, była inkwizycja<sup>134</sup> i ateizm, rządcy i ministrowie zmieniali się

---

<sup>132</sup> Merowingowie, Karlowingowie, Burboni, Bonapartowie – nazwy dynastii kolejno panujących we Francji od V do XIX w. [przypis redakcyjny]

<sup>133</sup> *trzy republiki* – pierwsza republika 1792–1804, druga republika 1848–1852, trzecia republika 1870–1940. [przypis redakcyjny]

<sup>134</sup> *inkwizycja* – instytucja policyjno–sądowa, ustanowiona przez Kościół katolicki w w. XIII w celu walki z herezjami. Posługiwała się szpiegostwem i torturami, wydawała

jak krój sukien albo obłoki na niebie... Lecz pomimo tylu zmian, tak na pozór głębokich, Paryż coraz dokładniej przybierał formę półmiska rozdartego przez Sekwanę; coraz wyraźniej rysowała się na nim oś krystalizacji, biegnąca z placu Bastylli do Łuku Gwiazdy, coraz jaśniej odgraniczały się dzielnice: uczona i przemysłowa, rodowa i handlowa, wojskowa i dorobkiewiczowska.

Ten sam fatalizm<sup>135</sup> spostrzegł Wokulski w historii kilkunastu głośniejszych rodzin paryskich. Dziad, jako skromny rzemieślnik, pracował przy ulicy Temple<sup>136</sup> po szesnaście godzin na dobę; jego syn skąpowy się w cyrkule łacińskim założył większy warsztat przy ulicy Św. Antoniego<sup>137</sup>. Wnuk, jeszcze lepiej zanurzywszy się w naukowej dzielnicy, przeniósł się jako wielki handlarz na bulwar Poissonniere<sup>138</sup>, zaś prawnuk, już jako milioner, zamieszkał w sąsiedztwie Pól Elizejskich po to, ażeby... jego córki mogły chorować na nerwy przy bulwarze St. Germain<sup>139</sup>. I tym sposobem ród spracowany i zbogacony około

---

bardzo surowe wyroki. Zniesiona dopiero w XIX w. [przypis redakcyjny]

<sup>135</sup> *fatalizm* – przeznaczenie, nieunikniony rozwój zdarzeń. [przypis redakcyjny]

<sup>136</sup> Temple – stara ulica obok Ratusza paryskiego w dzielnicy zamieszkiwanej przez drobnomieszczaństwo i biedotę. [przypis redakcyjny]

<sup>137</sup> Ulica Św. Antoniego łączy ulicę Rivoli z placem Bastylli, w dzielnicy przemysłowej. [przypis redakcyjny]

<sup>138</sup> Poissonniere – jeden z wielkich bulwarów paryskich, w dzielnicy zamieszkiwanej przez wielką burżuazję. [przypis redakcyjny]

<sup>139</sup> St. Germain – na lewym brzegu Sekwany, okolica zamieszkiwana przez arystokrację. [przypis redakcyjny]

Bastylii, zużyty około Tuileries, dogorywał w pobliżu Notre-Dame. Topografia<sup>140</sup> miasta odpowiadała historii mieszkańców.

Wokulski rozmyślając o tej dziwnej prawidłowości w faktach, uznawanych za nieprawidłowe, przeczuwał, że jeżeli co mogłoby go uleczyć z apatii, to chyba tego rodzaju badania.

„Jestem dziki człowiek – mówił sobie – więc wpadłem w obłąd, ale wydobędzie mnie z niego cywilizacja.”

Każdy zresztą dzień w Paryżu przynosił mu nowe idee albo rozjaśniał tajemnice jego własnej duszy. Raz, gdy siedział przed kawiarnią pijąc mazagran, zbliżył się do werendy jakiś uliczny tenor i przy akompaniamencie arfy zaśpiewał:

Au printemps, la feuille repousse  
Et la fleur embellit des pres,  
Mignonette, en joulant la mousse,  
Suivons les papillons diapres.  
Vois les se poser sur les roses;  
Comme eux aussi je veux poser  
Ma levre sur tes levres closes,  
Et te ravir un doux baiser!<sup>141</sup>

I natychmiast kilku gości powtórzyło ostatnią strofę:

---

<sup>140</sup> *Topografia* – tu: opis jakiejś miejscowości. [przypis redakcyjny]

<sup>141</sup> *Au printemps...* – Na wiosnę liście wytryskują z drzewa i kwiaty upiększają łąkę; więc, pieśzcotko moja, biegnijmy na trawę i naśladujmy barwne motyle. Widzisz, jak tulą się do róż? Jak one, ja przytulę moje usta do twoich i wykradnę słodki pocałunek. [Przyp. Aut.] [przypis redakcyjny]

Vois les se poser sur les roses;  
Comme eux aussi je veux poser  
Ma levre sur tes levres closes,  
Et te ravir un doux baiser!

„Głupcy! – mruknął Wokulski. – Nie mają co powtarzać, tylko takie błazeństwa.”

Wstał zachmurzony i z bólem w sercu przesuwiał się pomiędzy potokiem ludzi tak ruchliwych, krzykliwych, rozmawiających i śpiewających jak dzieci wypuszczone ze szkoły.

„Głupcy! głupcy!...” – powtarzał.

Nagle przyszło mu na myśl: czy to on raczej nie jest głupi?...

„Gdyby ci wszyscy ludzie – mówił sobie – byli podobni do mnie, Paryż wyglądałby jak szpital smutnych wariatów. Każdy trułby się jakimś widziadłem, ulice zamieniłyby się w kałuże, a domy w ruinę. Tymczasem oni biorą życie, jakim jest, uganiają się za praktycznymi celami, są szczęśliwi i tworzą arcydzieła.

A ja za czym gonilem? Naprzód za perpetuum mobile i kierowaniem balonami, potem za zdobyciem stanowiska, do którego nie dopuszczali mnie moi własni sprzymierzeńcy, nareszcie za kobietą, do której prawie nie wolno mi się zbliżyć. A zawsze albo poświęcałem się, albo ulegałem ideom wytworzonym przez klasy, które chciały mnie zrobić swoim sługą i niewolnikiem.”

I wyobrażał sobie, jakby to było, gdyby zamiast w Warszawie przyszedł na świat w Paryżu. Przede wszystkim dzięki mnóstwu instytucyj mógłby więcej nauczyć się w dzieciństwie. Później,

nawet dostawszy się do kupca, doznałby mniej przykrości, a więcej pomocy w studiach. Dalej, nie pracowałby nad perpetuum mobile przekonawszy się, że w tutejszych muzeach istnieje wiele podobnych machin, które nigdy nie funkcjonowały. Gdyby zaś wziął się do kierowania balonami, znalazłby gotowe modele, całe grupy podobnych jak on marzycieli, a nawet pomoc w razie praktyczności pomysłów.

A gdyby nareszcie, posiadając majątek, zakochał się w arystokratycznej pannie, nie napotkałby tyłu przeszkód w zbliżeniu się do niej. Mógłby ją poznać i albo wytrzeźwiałby, albo zdobyłby jej wzajemność. W żadnym zaś wypadku nie traktowano by go jak Murzyna w Ameryce.

Zresztą, czy w tym Paryżu można zakochać się tak jak on do szaleństwa?

Tu zakochani nie rozpaczają, ale tańczą, śpiewają i w ogóle najweselej pędzą życie. Gdy nie mogą zdobyć się na małżeństwo urzędowe, tworzą wolne stadło; gdy nie mogą przy sobie chować dzieci, oddają je na mamki. Tu miłość nigdy chyba nie doprowadziła do obłędu rozsądnego człowieka.

„Dwa ostatnie lata mojej egzystencji – mówił Wokulski – schodzą na uganianie się za kobietą, której może bym się nawet wyrzekł poznawszy ją dokładniej. Cała moja energia, nauka, zdolności i taki ogromny majątek toną w jednym afekcie dlatego tylko, że ja jestem kupcem, a ona jakąś tam arystokratką. Czyliż ten ogół w mojej osobie nie krzywdzi samego siebie...”

Tu Wokulski dosięgnął najwyższego punktu samokrytyki:

poznał nedorzecznosc swego polozenia i postanowil wydobyć się.

„Co robic, co robic?... – myslal. – Juzci to, co robia inni.”

A coz oni robia?... Przede wszystkim nadzwyczajnie pracuja, po szesnascie godzin na dobe, bez względu na niedziele i swieta. Dzieki czemu spełnia się tu prawo doboru, wedle ktorego tylko najsilniejsi maja prawo do zycia. Chorowity zginie tu przed uplywem roku, nieudolny w ciagu kilku lat, a zostaja tylko najsilniejsi i najzdolniejsi. Ci zaś dzieki pracy calych pokoleni takich jak oni bojownikow znajduja tu zaspokojenie wszelkich potrzeb.

Olbrzymie scieki chronia ich od chorob, szerokie ulice ulatwiaja im doplyw powietrza; Hale Centralne dostarczaja zywnosci, tysiace fabryk – odziezy i sprzetow. Gdy paryzanin chce zobaczyc nature, jedzie za miasto albo do „lasku”<sup>142</sup>, gdy chce nacieszyc się sztuka, idzie do galerii Luwru, a gdy pragnie zdobyć wiedze, ma muzea i gabinety<sup>143</sup>.

Praca nad szczesciem we wszystkich kierunkach – oto tresc zycia paryskiego. Tu przeciw zmeczeniu zaprowadzono tysiace powozow, przeciw nudzie setki teatrów i widowisk, przeciw niewiadomosci setki muzeow, bibliotek i odczytow. Tu troszcza się nie tylko o czlowieka, ale nawet o konia dajac mu gladkie gošcinice; tu dbaja nawet o drzewa, przenosza je w specjalnych wozach na nowe miejsce pobytu, chronia zelaznymi koszami

---

<sup>142</sup> „lasek” – Lasek Buloński. [przypis redakcyjny]

<sup>143</sup> gabinety – tu: zbiory naukowe. [przypis redakcyjny]

od szkodników, ułatwiają dopływ wilgoci, pielęgnują w razie choroby.

Dzięki troskliwości o wszystko przedmioty znajdujące się w Paryżu przynoszą wielorakie korzyści. Dom, sprzęt, naczynie jest nie tylko użyteczne, ale i piękne, nie tylko dogadza muskułom, ale i zmysłom. I na odwrót – dzieła sztuki są nie tylko piękne, ale i użyteczne. Przy łukach triumfalnych i wieżach kościołów znajdują się schody ułatwiające wejście na szczyt i spoglądanie na miasto z wysokości. Posągi i obrazy są dostępne nie tylko dla amatorów, ale dla artystów i rzemieślników, którzy w galeriach mogą zdejmować kopie.

Francuz, gdy coś wytwarza, dba naprzód o to, ażeby dzieło jego odpowiadało swemu celowi, a potem, ażeby było piękne. I jeszcze nie kończąc na tym troszczy się o jego trwałość i czystość. Prawdę tę stwierdzał Wokulski na każdym kroku i na każdej rzeczy, począwszy od wózków wywozających śmiecie do otoczonej barierą Wenus miłońskiej<sup>144</sup>. Odgadł również skutki podobnego gospodarstwa, że nie marnuje się tu praca: każde pokolenie oddaje swoim następcom najświetniejsze dzieła poprzedników dopełniając je własnym dorobkiem.

Tym sposobem Paryż jest arką, w której mieszczą się zdobycze kilkunastu, jeżeli nie kilkudziesięciu wieków cywilizacji... Wszystko tu jest zacząwszy od potwornych

---

<sup>144</sup> Wenus miłońska – słynna rzeźba starożytna przedstawiająca boginię miłości Afrodytę, rzymską Wenus. Wykopana na wyspie Milos w r. 1820, znajduje się w muzeum Louvre'u. [przypis redakcyjny]

posągów asyryjskich i mumij egipskich, skończywszy na ostatnich rezultatach mechaniki i elektrotechniki, od dzbanków, w których przed czterdziestoma wiekami Egipcjanki nosiły wodę, do olbrzymich kół hydraulicznych z Saint–Maur<sup>145</sup>.

„Ci, którzy stworzyli te cuda – myślał Wokulski – albo je gromadzili w jedno miejsce, ci nie byli jak ja szalonymi próżniakami...”

Tak sobie mówiąc czuł, że wstyd go ogarnia.

I znowu załatwiwszy w ciągu paru godzin interesa Suzina włączył się po Paryżu. Błądził po nieznanym ulicach, tonął wśród krociowego tłumu, zanurzał się w pozorny chaos rzeczy i wypadków i na dnie jego znajdował porządek i prawo. To znowu, dla odmiany, pił koniak, grał w karty i w ruletę, albo oddawał się rozpuście.

Zdawało mu się, że w tym wulkanicznym ognisku cywilizacji spotka go coś nadzwyczajnego, że tu zacznie się nowa epoka jego życia. Zarazem czuł, że rozpierzchnięte dotychczas wiadomości i poglądy zbiegają się w pewną całość, w jakiś system filozoficzny, który tłumaczył mu wiele tajemnic świata i jego własnego bytu.

„Czym ja jestem?” – pytał się nieraz i stopniowo formułował sobie odpowiedź:

„Jestem człowiek zmarnowany. Miałem ogromne zdolności i energię, lecz – nie zrobiłem nic dla cywilizacji. Ci znakomici ludzie, jakich tu spotykam, nie mają nawet połowy moich sił i mimo to zostawiają po sobie maszyny, gmachy, utwory

---

<sup>145</sup> Saint–Maur – kanał na rzece Marnie pod Paryżem. [przypis redakcyjny]

sztuki, nowe poglądy. Lecz ja co zostawię?... Chyba mój sklep, który dziś upadłby, gdyby go nie pilnował Rzecki... A przecież nie próżnowałem: szarpałem się za trzech ludzi i gdyby mi nie pomógł przypadek, nie miałbym nawet tego majątku, jaki posiadam!...”

Później przyszło mu na myśl: na co to on strwonił siły i życie?

...

Na walkę z otoczeniem, do którego nie przystawał. Gdy miał ochotę uczyć się, nie mógł, ponieważ w jego kraju potrzebowano nie uczonych, ale – chłopców i subiektów sklepowych. Gdy chciał służyć społeczeństwu, choćby ofiarą własnego życia, podsunęto mu fantastyczne marzenia zamiast programu, a potem – zapomniano o nim. Gdy szukał pracy, nie dano mu jej, lecz wskazano szeroki gościniec do ożenienia się ze starszą kobietą dla pieniędzy. Gdy nareszcie zakochał się i chciał zostać legalnym ojcem rodziny, kapłanem domowego ogniska, którego świętość wszyscy dokoła zachwalali, postawiono go w położeniu bez wyjścia. Tak, że nie wie nawet, czy kobieta, za którą szalał, jest zwykłą kokietką o przewróconej głowie, czy może taką jak on zbłąkaną istotą, która nie znalazła właściwej dla siebie drogi. Sądząc jej czyny, jest to panna na wydaniu, która szuka najlepszej partii; patrząc w jej oczy, jest to anielska dusza, której konwenanse ludzkie spętały skrzydła.

„Gdyby mi wystarczyło kilkadziesiąt tysięcy rubli rocznie i komplet do wista, byłbym w Warszawie najszczęśliwszym człowiekiem – mówił do siebie. – Ale ponieważ oprócz żołądka

mam duszę, która łaknie wiedzy i miłości, więc musiałbym tam zginąć. W tej strefie nie dojrzewają ani pewnego gatunku rośliny, ani pewnego gatunku ludzie...”

Strefa!... Raz będąc w obserwatorium rzucił okiem na klimatyczną mapę Europy i zapamiętał, że średnia temperatura Paryża jest o pięć stopni wyższą aniżeli Warszawy. Znaczy, że ów Paryż ma rocznie więcej o dwa tysiące stopni ciepła aniżeli Warszawa. A że ciepło jest siłą, i to potężną, jeżeli nie jedyną siłą twórczą, więc... zagadka rozwiązana...

„Na północy jest chłodniej – myślał – świat roślinny i zwierzęcy jest mniej obfity, a więc o żywność dla człowieka trudniej. Nie dość na tym: ten sam człowiek musi jeszcze wkładać mnóstwo pracy w budowę ciepłych mieszkań i przygotowanie ciepłej odzieży. Francuz w porównaniu z mieszkańcem północy ma więcej wolnych sił i czasu, a nie potrzebując zużywać ich na zaspokojenie potrzeb materialnych obraca je na twórczość duchową.

Jeżeli do ciężkich warunków klimatycznych dodać jeszcze arystokrację, która opanowała wszystkie oszczędności narodu i utopiła je w bezmyślnej rozpuszcie, to zaraz wyjaśni się: dlaczego ludzie niezwykle zdolni nie tylko nie mogą rozwijać się tam, ale wprost muszą ginąć.”

„No, już ja nie zginę!...” – mruknął, głęboko zniechęcony.

I w tej chwili, po raz pierwszy, jasno zarysował mu się projekt niewracania do kraju.

„Sprzedam sklep – myślał – wycofam moje kapitały i osiade

w Paryżu. Nie będę zawadzał tym, którzy mnie nie chcą... Będę tu zwiedzał muzea, może wezmę się do jakiej specjalnej nauki i życie upłynie mi, jeżeli nie w szczęściu, to przynajmniej bez bóleści...”

Powrócić go do kraju i zatrzymać w nim mógł już tylko jeden wypadek, jedna osoba... Ale ten wypadek nie nadchodził, a natomiast zdarzały się inne, coraz bardziej odsuwające go od Warszawy i coraz mocniej przykuwające do Paryża.

### III. Widziadło

Pewnego dnia, jak zwykle, załatwiał się z interesantami w salonie przyjęć. Już odprawił jegomościa, który ofiarował się staczać za niego pojedynki, drugiego, który jako brzucho mówca chciał odegrać rolę w dyplomacji, i trzeciego, który obiecywał mu wskazać skarby zakopane przez sztab Napoleona I nad Berezyną<sup>146</sup>, kiedy lokaj w błękitnym fraku zameldował:

– Profesor Geist.

– Geist?... – powtórzył Wokulski i doznał szczególnego uczucia. Przyszło mu na myśl, że żelazo za zbliżeniem się magnesu musi doznawać podobnych wrażeń.

– Prosić...

Po chwili wszedł człowiek bardzo mały i szczupły, z twarzą żółtą jak wosk. Na głowie nie miał ani jednego siwego włosa.

„Ile on może mieć lat?...” – pomyślał Wokulski.

Gość tymczasem bystro mu się przypatrywał; i tak siedzieli minutę, może dwie, taksując się nawzajem. Wokulski chciał ocenić wiek przybysza, Geist zdawał się badać go.

– Co pan rozkaże? – odezwał się wreszcie Wokulski.

Gość poruszył się na krześle.

– Co ja tam mogę rozkazać! – odparł wzruszając ramionami.

---

<sup>146</sup> Berezyna – prawy dopływ Dniepru; słynna z klęski poniesionej w czasie przeprawy przez armię Napoleona I, cofającą się spod Moskwy (1812). [przypis redakcyjny]

– Przyszedłem żebrać, nie rozkazywać...

– Czym mogę służyć? – spytał Wokulski, twarz bowiem gościa wydała mu się dziwnie sympatyczną.

Geist przeciągnął ręką po głowie.

– Przyszedłem tu z czym innym – rzekł – a mówić będę o czym innym. Chciałem panu sprzedać nowy materiał wybuchowy...

– Ja go nie kupię – przerwał Wokulski.

– Nie?... – spytał Geist. – A jednak – dodał – mówiono mi, że panowie staracie się o coś podobnego dla marynarki. Zresztą mniejsza... Dla pana mam coś innego...

– Dla mnie? – spytał Wokulski, zdziwiony nie tyle słowami, ile spojrzeniem Geista.

– Onegdaj puszczałeś się pan balonem captif<sup>147</sup> – mówił gość.

– Tak.

– Jesteś pan człowiek majątny i znasz się na naukach przyrodniczych.

– Tak – odparł Wokulski.

– I była chwila, że chciałeś pan wyskoczyć z galerii?... – pytał Geist.

Wokulski cofnął się z krzesłem.

– Niech pana to nie dziwi – mówił gość. – Widziałem w życiu około tysiąca przyrodników, a w moim laboratorium miałem czterech samobójców, więc znam się na tych klasach ludzi... Za często spoglądałeś pan na barometr, ażeby nie miał odkryć

---

<sup>147</sup> *balon captif* (fr.) – balon na uwięzi, na linie. [przypis redakcyjny]

przyrodnika, no, a człowieka myślącego o samobójstwie poznają nawet pensjonarki.

– Czym mogę służyć? – spytał jeszcze raz Wokulski ocierając pot z twarzy.

– Powiem niedużo – rzekł Geist. – Pan wie, co to jest chemia organiczna?...

– Jest to chemia związków węgla...

– A co pan sądzisz o chemii związków wodoru?...

– Że jej nie ma.

– Owszem, jest – odparł Geist. – Tylko zamiast eterów, tłuszczów, ciał aromatycznych daje nowe aliaże<sup>148</sup>... Nowe aliaże, panie **Siuże**, z bardzo ciekawymi własnościami...

– Cóż mnie to obchodzi – rzekł głucho Wokulski – jestem kupcem.

– Nie jesteś pan kupcem, tylko desperatem – odparł Geist. – Kupcy nie myślą o skakaniu z balonu... Ledwie to zobaczył, zaraz pomyślałem: „To mój człowiek...” Ale znikłeś mi pan z oczu po wyjściu z ganku... Dziś traf zbliżył nas powtórnie... Panie **Siuże**, my musimy pogadać o związkach wodoru, jeżeli jesteś pan bogaty...

– Przede wszystkim nie jestem **Siuże**...

– To mi wszystko jedno, gdyż potrzebuję tylko majątnego desperata – rzekł Geist.

Wokulski patrzył na Geista nieledwie z trwogą; w głowie

---

<sup>148</sup> *aliaże* – właściwie stopy metali, tu w znaczeniu: związki chemiczne. [przypis redakcyjny]

zapałały mu się pytania: kuglarz<sup>149</sup> czy tajny agent – wariat, a może naprawdę jaki duch?... Kto wie, czy szatan jest legendą i czy w pewnych chwilach nie ukazuje się ludziom?... Faktem jest jednak, że ten starzec, o niezdecydowanym wieku, wytropił najtajemniczą myśl Wokulskiego, który w tych czasach marzył o samobójstwie, ale jeszcze tak nieśmiało, że sam przed sobą nie miał odwagi sformułować tego projektu.

Gość nie spuszczał z niego oka i uśmiechał się z łagodną ironią; gdy zaś Wokulski otworzył usta, ażeby zapytać go o coś, przerwał mu:

– Nie fatyguj się pan... Z tyłoma już ludźmi rozmawiałem o ich charakterze i o moich wynalazkach, że z góry odpowiem na to, o czym chcesz się poinformować. Jestem profesor Geist, stary wariat, jak mówią we wszystkich kawiarniach pod uniwersytetem i szkołą politechniczną. Kiedyś nazywano mnie wielkim chemikiem, dopóki... nie wyszedłem poza granicę dziś obowiązujących poglądów chemicznych. Pisałem rozprawy, robiłem wynalazki pod imieniem własnym lub moich współników, którzy nawet sumiennie dzielili się ze mną zyskami. Ale od czasu gdym odkrył zjawiska nie mieszczące się w rocznikach Akademii<sup>150</sup>, ogłoszono mnie nie tylko za wariata, ale za heretyka i zdrajcę...

---

<sup>149</sup> *kuglarz* – osoba oszukująca ludzi w sprytny i podstępny sposób. [przypis edytorski]

<sup>150</sup> *Akademia* – francuska Akademia Nauk, zajmująca się naukami przyrodniczymi i matematyką. [przypis redakcyjny]

– Tu, w Paryżu? – szepnął Wokulski.

– Oho! – roześmiał się Geist – tu, w Paryżu. W jakimś Altdorfie lub Neustadzie<sup>151</sup> kacerzem i zdrajcą jest ten, kto nie wierzy w pastorów, Bismarcka, w dziesięcioro przykazań i konstytucję pruską<sup>152</sup>. Tu wolno kpić z Bismarcka i konstytucji, ale za to pod grozą odszczepieństwa trzeba wierzyć w tabliczkę mnożenia, teorię ruchu falistego<sup>153</sup>, w stałość ciężarów gatunkowych<sup>154</sup> itd. Pokaż mi pan jedno miasto, w którym nie ściskano by sobie mózgow jakimiś dogmatami, a – zrobię je stolicą świata i kolebką przyszłej ludzkości...

Wokulski ochłonął; był pewny, że ma do czynienia z maniakiem.

Geist patrzył na niego i wciąż uśmiechał się.

– Kończę, panie **Siuzę** – mówił dalej. – Porobiłem wielkie odkrycia w chemii, stworzyłem nową naukę, wynalazłem nieznanne materiały przemysłowe, o których ledwie śmiano marzyć przede mną. Ale... brakuje mi jeszcze kilku niezmiernie ważnych faktów, a już nie mam pieniędzy. Cztery fortuny

---

<sup>151</sup> Altdorf, Neustadt – nazwy miejscowości w południowych Niemczech użyte na oznaczenie zapadłej prowincji niemieckiej. [przypis redakcyjny]

<sup>152</sup> *konstytucja pruska* – właściwie konstytucja cesarstwa niemieckiego z 1871 (zapewniała panowanie klasowe obszarnikom, silną władzę cesarzowi i przewagę Prus w Rzeszy); opracowana według wskazówek Bismarcka. [przypis redakcyjny]

<sup>153</sup> *teoria ruchu falistego* – teoria o falowym rozchodzeniu się światła, stworzona przez Huyghensa (1629–1695). [przypis redakcyjny]

<sup>154</sup> *ciężar gatunkowy* – ciężar właściwy, ciężar 1 cm<sup>3</sup> danego ciała wyrażony w gramach. [przypis redakcyjny]

utopiłem w moich badaniach, zużyłem kilkunastu ludzi; dziś zaś potrzebuję nowej fortuny i nowych ludzi...

– Skądże do mnie nabrał pan takiego zaufania? – pytał Wokulski już spokojny.

– To proste – odparł Geist. – O zabiciu się myśli wariat, łajdak albo człowiek dużej wartości, któremu za ciasno na świecie.

– A skąd pan wiesz, że ja nie jestem łotrem?

– A skąd pan wiesz, że koń nie jest krową? – odpowiedział Geist. – W czasie moich przymusowych wakacyj, które niestety, ciągną się po kilka lat, zajmuję się zoologią i specjalnie badam gatunek człowieka. W tej jednej formie, o dwu rękach, odkryłem kilkadziesiąt typów zwierzęcych począwszy od ostrygi i glisty, skończywszy na sowie i tygrysie. Więcej ci powiem: odkryłem mieszańce tych typów: skrzydlate tygrysy, węże z psimi głowami, sokoły w żółwich skorupach, co zresztą już przeczuła fantazja genialnych poetów. I dopiero wśród całej tej menażerii bydła albo potworów gdzieś odnajduję prawdziwego człowieka, istotę z rozumem, sercem i energią. Pan, panie Siuże, masz niezawodnie cechy ludzkie i dlatego tak otwarcie mówię z panem; jesteś jednym na dziesięć, może na sto tysięcy...

Wokulski zmarszczył się, Geist wybuchnął:

– Co? może sądzisz pan, że pochlebiam ci dla wytumanienia kilku franków?... Jutro będę jeszcze raz u pana i przekonam cię, jak w tej chwili jesteś niesprawiedliwy i głupi...

Zerwał się z krzesła, ale Wokulski zatrzymał go.

– Nie gniewaj się, profesorze – rzekł – nie chciałem pana

obrazić. Ale mam tu prawie co dzień wizyty różnego gatunku filutów<sup>155</sup>...

– Jutro przekonam pana, że nie filut ani wariat – odpowiedział Geist. – Pokażę ci coś, co widziało zaledwie sześciu albo siedmiu ludzi, którzy... już nie żyją... O, gdyby oni żyli!... – westchnął.

– Dlaczego dopiero jutro?

– Dlatego, że mieszkam daleko stąd, a nie mam na fiakra.

Wokulski uścisnął go za rękę.

– Nie obrazisz się, profesorze? – spytał – jeżeli...

– Jeżeli dasz mi na fiakra?... Nie. Wszakże z góry powiedziałem ci, że jestem żebrakiem, i kto wie, czy nie najędzniejszym w Paryżu?...

Wokulski podał mu sto franków.

– Daj spokój – uśmiechnął się Geist – wystarczy dziesięć...

Kto wie, czy jutro nie dasz mi stu tysięcy... Duży masz majątek?

– Około miliona franków.

– Milion! – powtórzył Geist chwytając się za głowę. – Za dwie godziny wrócę tu. Bodajbym stał ci się tak potrzebny, jak ty mnie jesteś...

– W takim razie może pozwolisz, profesorze, do mego numeru, na trzecie piętro. To lokal urzędowy...

– Wolę, wolę na trzecie piętro... Za dwie godziny będę – odparł Geist i szybko wybiegł z pokoju.

Po chwili ukazał się Jumart.

---

<sup>155</sup> *filut* – żartowniś, spryciarz, wariat. [przypis edytorski]

– Wynudził pana stary – rzekł do Wokulskiego – co?...

– Cóż to za człowiek? – spytał niedbale Wokulski.

Jumart wyciągnął naprzód dolną wargę.

– Wariat to on jest – odparł – ale jeszcze za moich studenckich czasów był wielkim chemikiem. No i porobił jakieś wynalazki, ma nawet podobno kilka dziwnych okazów, ale...

Stuknął się palcem w czoło.

– Dlaczego nazywacie go wariatem?

– Nie można inaczej nazywać człowieka – odpowiedział Jumart – który sądzi, że uda mu się zmniejszyć ciężar gatunkowy ciał czy tylko metalów, bo już nie pamiętam...

Wokulski pożegnał go i poszedł do swego numeru.

„Cóż to za dziwne miasto – myślał – gdzie znajdują się poszukiwacze skarbów, najemni obrońcy honoru, dystyngowane damy, które handlują tajemnicami, kelnerzy rozprawiający o chemii i chemicy, którzy chcą zmniejszyć ciężar gatunkowy ciał...”

Przed piątą w numerze zjawił się Geist; był jakiś rozdrażniony i zamknął za sobą drzwi na klucz.

– Panie **Siuże** – rzekł – wiele mi na tym zależy, ażebyśmy się porozumieli... Powiedz mi, czy masz jakie obowiązki: żonę, dzieci?... – Chociaż – nie zdaje mi się...

– Nie mam nikogo.

– I majątek masz? Milion...

– Prawie.

– A powiedz mi – mówił Geist – dlaczego ty myślisz o

samobójstwie?...

Wokulski wstrząsnął się.

– To było chwilowe – rzekł. – Doznałem zawrotu w balonie...

Geist kręcił głową.

– Majątek masz – mrucał – o sławę, przynajmniej dotychczas, nie dobijasz się... Tu musi być kobieta!... – zawołał.

– Może – odparł Wokulski, bardzo zmieszany.

– Jest kobieta! – rzekł Geist. – To źle. O niej nigdy nie można wiedzieć, co robi i dokąd zaprowadzi... W każdym razie słuchaj – dodał patrząc mu w oczy. – Gdyby ci kiedy jeszcze raz przyszła ochota próbować... Rozumiesz?... Nie zabijaj się, ale przyjdź do mnie...

– Może zaraz przyjdę... – rzekł Wokulski spuszcżając oczy.

– Nie zaraz! – odparł żywo Geist. – Kobiety nigdy nie gubią ludzi od razu. Czy już skończyłeś z tamtą osobą rachunki?...

– Zdaje mi się...

– Aha! dopiero zdaje ci się. To źle. Na wszelki wypadek, zapamiętaj radę. W moim laboratorium bardzo łatwo można zginąć, i jeszcze jak!...

– Coś pan przyniósł, profesorze? – zapytał go Wokulski.

– Źle! źle!... – mrucał Geist. – Muszę szukać kupca na mój materiał wybuchowy. A myślałem, że połączymy się...

– Pierwej pokaż pan, coś przyniósł – przerwał Wokulski.

– Masz rację... – odparł Geist i wydobył z kieszeni średniej wielkości pudełko. – Zobacz – rzekł – za co to ludzi nazywają szaleńcami!...

Pudełko było z blachy, zamknięte w szczególny sposób; Geist po kolei dotykał sztyftów osadzonych w różnych punktach, od czasu do czasu rzucając na Wokulskiego spojrzenia gorączkowe i podejrzliwe. Raz nawet zawahał się i zrobił taki ruch, jakby chciał schować pudełko; ale opamiętał się, dotknął jeszcze paru sztyftów i – wieko odskoczyło.

W tej chwili opanował go nowy atak podejrzliwości. Starzec padł na kanapę, ukrył pudełko za siebie i trwożnie spoglądał to na pokój, to na Wokulskiego.

– Głupstwa robię!... – mruczał. – Co za nonsens narażać wszystko dla pierwszego lepszego z ulicy...

– Nie ufasz mi pan?... – spytał nie mniej wzruszony Wokulski.

– Nikomu nie ufam – mówił zgryźliwie starzec. – Bo jaką mi dać kto może rękojmię?... Przysięgę czy słowo honoru?... Za stary jestem, aby wierzyć w przysięgi... Tylko wspólny interes jako tako zabezpiecza od najpodlejszej zdrady, a i to nie zawsze...

Wokulski wzruszył ramionami i usiadł na krześle.

– Nie zmuszam pana – rzekł – do dzielenia się ze mną twoimi kłopotami. Mam dosyć własnych.

Geist nie spuszczał z niego oka, lecz stopniowo uspakajał się. W końcu odezwał się:

– Przysuń się tu do stołu... Spójrz, co to jest?

Pokazał mu metalową kulkę ciemnej barwy.

– Zdaje mi się, że to jest metal drukarski<sup>156</sup>.

– Weź w rękę...

Wokulski wziął kulkę i aż zdziwił się, tak była ciężka.

– To jest platyna<sup>157</sup> – rzekł.

– Platyna?... – powtórzył Geist z drwiącym uśmiechem. –

Oto masz platynę...

I podał mu tej samej wielkości kulkę platynową. Wokulski przekładał obie z rąk do rąk; zdziwienie jego wzrosło.

– To jest chyba ze dwa razy cięższe od platyny?... – szepnęła.

– A tak... tak!... – śmiał się Geist. – Nawet jeden z moich przyjaciół akademików<sup>158</sup> nazwał to „komprymowaną<sup>159</sup> platyną”... Dobry wyraz, co? na oznaczenie metalu, którego ciężar gatunkowy wynosi 30,7 g... Oni tak zawsze. Ile razy uda im się wynaleźć nazwę dla nowej rzeczy, zaraz mówią, że ją wytłomaczyli na zasadzie już poznanych praw natury. Przepyszne osły... najmądrze ze wszystkich, jakimi roi się tak zwana ludzkość... A to znasz? – dodał.

– No, to jest sztabka szklana – odparł Wokulski.

– Cha! cha!... – śmiał się Geist. – Weź do ręki, przypatrz się... Prawda, że ciekawe szkło?... Cięższe od żelaza, z odłamek ziarnistym, wyborowy przewodnik ciepła i

---

<sup>156</sup> *metal drukarski* – stop ołowiu, antymonu i cyny, używany do wyrobu czcionek drukarskich. [przypis redakcyjny]

<sup>157</sup> *platyna* – ciężki metal, o ciężarze właściwym 21,44 g. [przypis redakcyjny]

<sup>158</sup> *akademik* – tu w znaczeniu: członek Akademii (jako towarzystwa naukowego). [przypis redakcyjny]

<sup>159</sup> *komprymowany* – zgęszczony. [przypis redakcyjny]

elektryczności, pozwala się strugać... Prawda, jak to szkło dobrze udaje metal?... Może chcesz je rozgrzać albo kuć młotem?...

Wokulski przetarł oczy. Nie ulega kwestii, że takiego szkła nie widziano na świecie.

– A to?... – spytał Geist pokazując mu inny kawałek metalu.

– To chyba stal...

– Nie sód<sup>160</sup> i nie potas<sup>161</sup>?... – pytał Geist.

– Nie.

– Weźże do rąk tę stal...

Tu już podziw Wokulskiego przeszedł w pewien rodzaj zaniepokojenia: owa rzekoma stal była lekką jak płatek bibułki.

– Chyba jest pusta w środku?...

– Więc przetnij tę sztabkę, a jeżeli nie masz czym, przyjeźdź do mnie. Zobaczysz tam nierównie więcej podobnych osobliwości i będziesz mógł robić z nimi próby, jakie ci się podoba.

Wokulski oglądał po kolei ów metal cięższy od platyny, drugi metal przezroczysty, trzeci lżejszy od puchu... Dopóki trzymał je w rękach, wydawały mu się rzeczami najnaturalniejszymi pod słońcem: cóż jest bowiem naturalniejszego aniżeli przedmiot, który oddziaływa na zmysły? Lecz gdy oddał próbki Geistowi, ogarniało go zdziwienie i niedowierzanie, zdziwienie i obawa. Więc znowu oglądał je, kręcił głową, wierzył i wątpił na przemian.

---

<sup>160</sup> *sód* – lekki metal (ciężar właściwy 0,97 g). [przypis redakcyjny]

<sup>161</sup> *potas* – również lekki metal (ciężar właściwy 0,865 g). [przypis redakcyjny]

– No i cóż? – zapytał Geist.

– Czy pokazywał pan to chemikom?

– Pokazywałem.

– I cóż oni?...

– Obejrzeni, pokiwali głowami i powiedzieli, że to blaga i kuglarstwo, którym poważna nauka zajmować się nie może.

– Jak to, więc nawet nie robili prób? – spytał Wokulski.

– Nie. Niektórzy z nich wprost mówili, że mając do wyboru między pogwałceniem „praw natury” a złudzeniami własnych zmysłów, wolą nie dowierzać zmysłom. I jeszcze dodawali, że robienie poważnych doświadczeń z podobnymi kuglarstwami może obłąkać zdrowy rozsądek, i stanowczo wyrzekli się doświadczeń.

– I nie ogłaszasz pan o tym?

– Ani myślę. Owszem, ta bezwładność mózgów daje mi najlepszą gwarancję bezpieczeństwa tajemnicy moich wynalazków. W przeciwnym razie pochwycono by je, prędzej lub później odkryto by metodę postępowania i znaleziono by to, czego bym im dać nie chciał...

– Mianowicie?... – przerwał mu Wokulski.

– Znaleziono by metal lżejszy od powietrza – spokojnie odparł Geist.

Wokulski rzucił się na krześle; przez chwilę obaj milczeli.

– Dlaczegoż ukrywasz pan przed ludźmi ów transcendentalny<sup>162</sup> metal? – odezwał się wreszcie Wokulski.

---

<sup>162</sup> *transcendentalny* – tu: wychodzący poza granice doświadczenia, nadnaturalny.

– Dla wielu powodów – odparł Geist. – Naprzód chcę, ażeby ten produkt wyszedł tylko z mojego laboratorium, choćbym nawet nie ja sam go otrzymał. A po wtóre, podobny materiał, który zmieni postać świata, nie może stać się własnością tak zwanej dzisiejszej ludzkości. Już za wiele nieszczęść mnoży się na ziemi przez nieopatrzne wynalazki.

– Nie rozumiem pana.

– Więc posłuchaj – mówił Geist. – Tak zwana ludzkość, mniej więcej na dziesięć tysięcy wołów, baranów, tygrysów i gadów, mających człowiecze formy, posiada ledwie jednego prawdziwego człowieka. Tak było zawsze, nawet w epoce krzemiennej<sup>163</sup>. Na taką tedy ludzkość w biegu wieków spadały rozmaite wynalazki. Brąz, żelazo, proch, igła magnesowa, druk, maszyny parowe i telegrafy elektryczne dostawały się bez żadnego wyboru w ręce geniuszów i idiotów, ludzi szlachetnych i zbrodniarzy... A jaki tego rezultat?... Oto ten, że głupota i występki dostając coraz potężniejsze narzędzia mnożyły się i umacniały, zamiast stopniowo ginąć. Ja – ciągnął dalej Geist – nie chcę powtarzać tego błędu i jeżeli znajdę ostatecznie metal lżejszy od powietrza, oddam go tylko prawdziwym ludziom. Niech oni raz zaopatrzą się w broń na swój wyłączny użytek; niechaj ich rasa mnoży się i rośnie w potęgę, a zwierzęta i potwory w ludzkiej postaci niechaj z wolna wyginą. Jeżeli

---

[przypis redakcyjny]

<sup>163</sup> *epoka krzemienista* – okres, w którym człowiek używał narzędzi sporządzonych z kamieni, głównie z krzemienia. [przypis redakcyjny]

Anglicy mieli prawo wypędzić wilków ze swej wyspy<sup>164</sup>, istotny człowiek ma prawo wypędzić z ziemi przynajmniej tygrysy ucharakteryzowane na ludzi...

„On ma jednakże tęgiego bzika” – pomyślał Wokulski. Później dodał głośno:

– Cóż więc panu przeszkadza do wykonania tych zamiarów?

– Brak pieniędzy i pomocników. Do ostatecznego odkrycia potrzeba wykonać około ośmiu tysięcy prób, co, lekko licząc, jednemu człowiekowi zabrałoby dwadzieścia lat pracy. Ale czterech ludzi zrobi to samo w ciągu pięciu do sześciu lat...

Wokulski wstał z krzesła i zamyślony zaczął chodzić po numerze; Geist nie spuszczał z niego oka.

– Przypuśćmy – odezwał się Wokulski – że ja mógłbym panu dać pieniądze i jednego, a nawet... dwu pomocników... Lecz gdzie dowód, że pańskie metale nie są jakąś dziwną mistyfikacją, a pańskie nadzieje złudzeniami?

– Przyjdź do mnie, obejrzyj, co jest, sam zrób kilka doświadczeń, a przekonasz się. Innego sposobu nie widzę – odparł Geist.

– I kiedy można by przyjść?...

– Kiedy zechcesz. Daj mi tylko kilkadziesiąt franków, gdyż nie mam za co kupić potrzebnych preparatów. A oto mój adres – zakończył Geist podając zabrudzoną notatkę.

---

<sup>164</sup> *Anglicy mieli prawo wypędzić wilków ze swej wyspy...* – w XVII w. wilki zostały w Anglii doszczętnie wytępione przez systematyczne polowania. (W dialekcie warszawskim często występuje osobowa odmiana nazw zwierząt.) [przypis redakcyjny]

Wokulski wręczył mu trzysta franków. Starzec zapakował swoje okazy, zamknął pudełko i rzekł na odchodne:

– Napisz do mnie list na dzień przed przybyciem. Prawie ciągle siedzę w domu ocierając kurze z moich retort<sup>165</sup>!...

Po odejściu Geista Wokulski był jak odurzony. Spoglądał na drzwi, za którymi zniknął chemik, to na stół, gdzie przed chwilą okazywano mu nadnaturalne przedmioty, to znowu dotykał swoich rąk i głowy lub chodził stukając głośno obcasami po pokoju dla przekonania się, że nie marzy, ale czuwa.

„A przecież faktem jest – myślał – że człowiek ten pokazał mi jakieś dwa materiały: jeden cięższy od platyny, drugi znakomicie lżejszy od sodu. Nawet zapowiedział mi, że szuka metalu lżejszego od powietrza!...

Gdyby w rzeczach tych nie tkwiło jakieś niepojęte oszustwo – rzekł głośno – już miałbym ideę, dla której warto się skazać na całe lata niewoli. Nie tylko znalazłbym pochłaniającą pracę i spełnienie najśmielszych marzeń młodości, ale jeszcze widziałbym przed sobą cel, wyższy nad wszystkie, do jakich kiedykolwiek rwał się duch ludzki. Kwestia żeglugi powietrznej byłaby rozstrzygnięta, człowiek dostałby skrzydeł.”

I znowu wzruszał ramionami, rozkładał ręce i mruczał:

„Nie, to niepodobna!...”

Brzemie nowych prawd czy nowych złudzeń tak go gniołło, że uczył konieczność podzielenia go z kimkolwiek, choćby tylko w części. Zbiegł więc na pierwsze piętro do paradnej sali przyjęć

---

<sup>165</sup> *retorta* – rodzaj naczynia laboratoryjnego. [przypis edytorski]

i wezwał Jumarta.

Właśnie gdy zastanawiał się, w jaki sposób rozpocząć z nim tę dziwną rozmowę, Jumart sam mu ją ułatwił. Ledwie bowiem ukazał się w sali, rzekł z dyskretnym uśmiechem:

– Stary Geist wyszedł od pana bardzo ożywiony. Przekonał pana czy też został pobity?...

– No, mówieniem nikt nikogo chyba nie przekona, tylko faktami – odparł Wokulski.

– Więc były i fakta?...

– Tymczasem dopiero zapowiedź ich... Powiedz mi pan jednak – ciągnął Wokulski – co byś sądził, gdyby Geist pokazał ci metal pod każdym względem przypominający stal, lecz dwa lub trzy razy lżejszy od wody?... Gdybyś podobny materiał oglądał na własne oczy, dotykał go własnymi rękoma?...

Uśmiech Jumarta przerodził się w jakiś ironiczny grymas.

– Cóż bym miał powiedzieć, dobry Boże, nad to, że profesor Palmieri jeszcze większe cuda pokazuje za pięć franków od osoby...

– Co za Palmieri? – spytał zdziwiony Wokulski.

– Profesor magnetyzmu – odparł Jumart – znakomity człowiek... Mieszka w naszym hotelu i trzy razy dziennie pokazuje magnetyczne sztuki w sali mogącej od biedy pomieścić ze sześćdziesiąt osób... Jest właśnie ósma, więc w tej chwili zaczyna się przedstawienie wieczorne. Jeżeli pan chce, możemy tam pójść; ja mam wstęp darmo...

Na twarz Wokulskiego wystąpił tak silny rumieniec, że oblał

mu czoło, a nawet szyję.

– Chodźmy – rzekł – do owego profesora Palmieri. W duchu zaś dodał:

„Więc ten wielki myśliciel, Geist, jest kuglarzem, a ja głupcem, który płaci trzysta franków za widowisko warte pięć franków... Jakże on mnie złapał!...”

Weszli na drugie piętro do salonu urządzonego równie bogato jak inne w tym hotelu. Większą jego część już zapełniali widzowie starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni, ubrani elegancko i bardzo zajęci profesorem Palmierim, który właśnie kończył krótką prelekcję o magnetyzmie. Był to mężczyzna średnich lat, zawiedły, brunet, z rozczochraną brodą i wyrazistymi oczyma. Otaczało go parę przystojnych kobiet i kilku młodych mężczyzn o twarzach mizernych i apatycznych.

– To są media<sup>166</sup> – szepnął Jumart. – Na nich Palmieri pokazuje swoje sztuki.

Widowisko, trwające około dwu godzin, polegało na tym, że Palmieri za pomocą wzroku usypiał swoje media, w taki jednak sposób, że mogły one chodzić, odpowiadać na pytanie i wykonywać rozmaite czynności. Prócz tego uśpieni przez magnetyzera w miarę jego rozkazów objawiali bądź niezwykłą siłę muskularną, bądź jeszcze niezwykłą nieczułość lub nadwrażliwość zmysłów.

Ponieważ Wokulski pierwszy raz widział podobne zjawiska i

---

<sup>166</sup> *media*, lm. od *medium* (łac.) – osoby poddane działaniu hipnotyzera. [przypis redakcyjny]

bynajmniej nie ukrywał niedowierzania, więc Palmieri zaprosił go do pierwszego rzędu krzeseł. Tu po kilku próbach Wokulski przekonał się, że zjawiska, na które patrzy, nie są kuglarstwem, lecz polegają na jakichś nieznanym właściwościach systemu nerwowego.

Ale najwięcej zajęły, a nawet przeraziły go dwa doświadczenia mające pewien związek z jego własnym życiem. Polegały one na wmawianiu w medium rzeczy nie istniejących.

Jednemu z uspiionych podał Palmieri korek od karafki mówiąc, że podał mu różę. W tej chwili medium zaczęło wachać korek okazując przy tym wielkie zadowolenie.

– Co pan robisz? – zawołał Palmieri do medium – wszakże to asafetyda<sup>167</sup>...

I medium natychmiast z obrzydzeniem odrzuciło korek wycierając ręce i narzekając, że cuchną.

Innemu podał chustkę od nosa, a gdy powiedział mu, że chustka waży sto funtów, uspiiony począł uginać się, drzeć i potnieć pod jej ciężarem.

Wokulski widząc to sam spotniał.

„Już rozumiem – pomyślał – tajemnicę Geista. On mnie zamagnetyzował...”

Lecz najboleśniejszego uczucia doznał wówczas, gdy Palmieri, uspiwszy jakiegoś wątlęgo młodzieńca, owinał

---

<sup>167</sup> *asafetyda* – materia żywiczna, o nieprzyjemnym zapachu, otrzymywana z rośliny o tej samej nazwie, rosnącej w Persji, używana jako środek leczniczy. [przypis redakcyjny]

ęcznikiem łopatkę od węgla i wmówił w swoje medium, że jest to młoda i piękna kobieta, którą trzeba kochać. Zamagnetyzowany ścisnął i całował łopatkę, klękał przed nią i robił najczulsze miny. Gdy ją włożono pod kanapę, popełznął za nią na czworakach jak pies, odepchnąwszy pierwaj czterech silnych mężczyzn, którzy chcieli go zatrzymać. A gdy nareszcie Palmieri schował ją mówiąc, że umarła, młody człowiek wpadł w taką rozpacz, że tarzał się po podłodze i bił głową o ścianę.

W tej chwili Palmieri dmuchnął mu w oczy i młodzian obudził się ze strumieniami łez na policzkach, wśród oklasków i śmiechu obecnych.

Wokulski uciekł z sali straszliwie rozdrażniony.

„A więc wszystko jest kłamstwem!... Rzekome wynalazki Geista i jego mądrość, moja szalona miłość i nawet **ona**... Ona sama jest tylko złudzeniem oczarowanych zmysłów... Jedyną rzeczywistością, która nie zawodzi i nie kłamie, jest chyba – śmierć...”

Wybiegł z hotelu na ulicę, wpadł do kawiarni i kazał podać koniak. Tym razem wypił półtorej karafki, a pijąc myślał, że ten Paryż, w którym znalazł najwięcej mądrości, największe złudzenia i ostateczne rozczarowania, stanie się chyba jego grobem.

„Na co mam już czekać?... czego dowiem się?... Jeżeli Geist jest ordynarnym oszustem i jeżeli można kochać się w łopatkę do węgla, jak ja w **niej**, to cóż mi jeszcze pozostaje?...”

Wrócił do hotelu rozmarzony koniakiem i zasnął w ubraniu.

A gdy obudził się o ósmej rano, pierwszą jego myślą było:

„Nie ma kwestii, że Geist za pomocą magnetyzmu oszukał mnie co do owych metali. Lecz... kto magnetyzował mnie wówczas, kiedy oszalałem dla tej kobiety?...”

Nagle błysnął mu projekt, ażeby zasięgnąć informacji u Palmieriego. Przebrał się więc szybko i zeszedł na drugie piętro.

Mistrz tajemniczej sztuki już czekał na gości; ale że gości jeszcze nie było, więc Wokulskiego przyjął natychmiast, pobrawszy z góry dwadzieścia franków opłaty za poradę.

– Czy – zapytał Wokulski – w każdego może pan wmówić, że łopatka od węgla jest kobietą i że chustka waży sto funtów?...

– W każdego, kto da się uśpić.

– Więc proszę mnie uśpić i powtórzyć na mnie sztukę z chustką.

Palmieri zaczął swoje praktyki; wpatrywał się Wokulskiemu w oczy, dotykał mu czoła, pocierał ręce od obojczyków do dłoni... Nareszcie odsunął się od niego zniechęcony.

– Pan nie jesteś medium – rzekł.

– A gdybym ja miał w życiu wypadek taki, jak ów jegomość z chustką? – spytał Wokulski.

– To jest niemożliwe, pana niepodobna uśpić. Zresztą, gdybyś był uśpiony i miał złudzenie, że chustka waży sto funtów, to znowu obudzisz się nie pamiętałyś pan o tym.

– A czy nie sądzisz pan, że ktoś zręczniejszy może magnetyzować...

Palmieri obraził się.

– Nie ma lepszego magnetyzera ode mnie – zawołał. – Zresztą i ja pana uspię, ale na to trzeba kilkumiesięcznej pracy... To będzie kosztowało dwa tysiące franków... Nie myślę darmo tracić mego fluidu<sup>168</sup>...

Wokulski opuścił magnetyzera wcale niezadowolony. Jeszcze nie wątpił, że panna Izabela mogła oczarować go; miała przecież dosyć czasu. Ale znowu Geist nie mógł go uspić w ciągu paru minut. Zresztą Palmieri twierdzi, że uspieni nie pamiętają swoich przywidzeń; on zaś pamięta każdy szczegół wizyty starego chemika.

Jeżeli więc Geist nie uspił go, więc nie jest oszustem. Więc jego metale istnieją i... odkrycie metalu lżejszego od powietrza jest możliwe!...

„Oto miasto – myślał – w którym więcej przeżyłem w ciągu jednej godziny aniżeli w Warszawie przez całe życie... Oto miasto!...”

Przez kilka dni Wokulski był bardzo zajęty.

Przede wszystkim wyjeżdżał Suzin, zakupiwszy kilkanaście statków. Najzupełniej legalny zysk z tej operacji był ogromny – tak ogromny, że częśćka przypadająca na Wokulskiego pokryła wszystkie wydatki, jakie w ciągu ostatnich miesięcy poniósł w Warszawie.

Na parę godzin przed pożegnaniem się Suzin i Wokulski jedli śniadanie w swoim paradnym numerze i naturalnie rozmawiali

---

<sup>168</sup> *fluid* – dosłownie płyn, przenośnie: bliżej nie określone oddziaływanie jednej osoby na drugą (tu: hipnotyzm). [przypis redakcyjny]

o zyskach.

– Masz bajeczne szczęście – odezwał się Wokulski.

Suzin pociągnął łyk szampana i oparłszy na brzuchu ręce ozdobione pierścieniami rzekł:

– To nie szczęście, Stanisławie Piotrowiczu, to miliony. Nożykiem tniesz wiklinę, a toporem dęby. Kto ma kopiejki, robi interesa kopiejkowe i kopiejki zyskuje; ale kto ma miliony, musi zyskiwać miliony. Rubel, Stanisławie Piotrowiczu, jest jak zapracowana szkapa: kilka lat musisz czekać, zanim urodzi ci nowego rubla; ale milion jest mnożny jak świnia: co rok daje kilkoro. Za dwa albo trzy lata, Stanisławie Piotrowiczu, i ty zbierzesz okrągły milionik, a wtedy przekonasz się, jak za nim gonią inne pieniądze. Chociaż z tobą...

Suzin westchnął, zmarszczył brwi i znowu wypił szampana.

– Cóż ze mną? – spytał Wokulski.

– A ot, co z tobą – odparł Suzin. – Ty, zamiast w takim mieście robić interesa dla siebie do swego handlu, ty nic... Ty sobie wałęsasz się z głową na dół albo do góry, na nic się nie patrząc, albo nawet (wstyd powiedzieć chrześcijaninowi!) latasz w powietrze balonem... Cóż ty bałaganowym<sup>169</sup> skoczkiem myślisz zostać, ha?... No i nareszcie, powiem tobie, Stanisławie Piotrowiczu, ty obraziłeś na siebie jedną bardzo dystygowaną damę, tę ot baronową... A przecie u niej można było i w karty pograć, i ładne kobiety znaleźć, i dowiedzieć się o niejednej

---

<sup>169</sup> *bałaganowy* – jarmarczny (rusycyzm, *bałagan* – po ros. buda jarmarczna).  
[przypis redakcyjny]

rzeczy. Radzę tobie, daj ty jej co zarobić przed wyjazdem: nie dasz adwokatowi rubla, on tobie sto wyciągnie. Ach, ty ojciec rodzony...

Wokulski słuchał z uwagą, Suzin znowu westchnął i ciągnął dalej:

– I z czarownikami naradzasz się (pfy! nieczysta siła...), na czym, mówię tobie, nie zyskasz rozbitej kopiejki<sup>170</sup>, a możesz na siebie obrazić Boga.

Nieładnie!... Najgorsze, co ty myślisz, że nikt nie wie, co tobie dolega? Tymczasem wszyscy wiedzą, że masz jakieś moralne cierpienie, tylko jeden myśli, że chciałbyś kupować tu fałszywe bankocetle, a inny dogaduje się, że rad byś zbankrutować, jeżeli już nie jesteś bankrut.

– I ty w to wierzysz? – spytał Wokulski.

– Aj! Stanisławie Piotrowiczu, już komu, ale tobie nie godzi się awansować mnie na durnia. Ty myślisz: ja nie wiem, że tobie chodzi o kobietę?... Nu, kobieta smaczna rzecz i bywa, że nawet innemu solidnemu człowiekowi przewróci mózgi<sup>171</sup>. Baw więc się i ty, kiedy masz pieniądze. Ale ja tobie, Stanisławie Piotrowiczu, powiem jedno słówko, chcesz?...

– Proszę cię.

– Kto prosi, żeby mu ogolić brodę, nie gniewa się na zdrapanie. Otóż, gołąbku, powiem tobie przypowieść. Znajduje

---

<sup>170</sup> *nie zyskasz rozbitej kopiejki...* – w znaczeniu: „złamanego grosza” (*razbityj* – po ros. złamany, stłuczony). [przypis redakcyjny]

<sup>171</sup> *przewróci mózgi* – rusycyzm (po ros. *mózgi* – w lm.). [przypis redakcyjny]

się w tej Francji jakaś cudowna woda na wszystkie choroby<sup>172</sup> (nie pomnę jej nazwiska). Więc słuchaj mnie: są tacy, którzy przychodzą tam na kolanach i prawie nie śmia spojrzeć; a są inni, którzy tę wodę bez ceremonii piją i nawet zęby płuczają... Ach, Stanisławie Piotrowiczu, ty nie wiesz, jak ten pijący grubo żartuje z modlącego się... Zobacz więc, czy nie jesteś takim, a gdybyś był, pluń na wszystko... Ale co tobie?... Boli? prawda... No, pokosztuj wina...

– Czyś słyszał co o niej? – głucho spytał Wokulski.

– Klnę się, że nic nadzwyczajnego nie słyszał – odparł Suzin uderzając się w piersi. – Kupcowi trzeba subiektów, a kobiecie bijących przed nią czołem, choćby dla zasłonięcia tego zucha, który nie bije pokłonów. Rzecz całkiem naturalna. Tylko ty, Stanisławie Piotrowiczu, nie wchodź między czeredę, a jeżeliś wszedł, podnieś głowę. Pół miliona rubli kapitału to przecie nie plewy; z takiego kupca nie powinni naśmiewać się ludzie.

Wokulski podniósł się i przeciągnął jak człowiek, któremu zrobiono operację rozpalonym żelazem.

„Może tak nie być, a może... tak być!... – pomyślał. – Ale jeżeli tak jest... część majątku oddam szczęśliwemu wielbicielowi za to, że mnie wyleczył!...”

Wrócił do siebie i pierwszy raz całkiem spokojnie począł przebiegać myślą wszystkich adoratorów panny Izabeli, których widywał z nią lub o których tylko słyszał. Przypomniawszy sobie

---

<sup>172</sup> *cudowna woda na wszystkie choroby* – Suzin mówi o „cudownej” wodzie z Lourdes. [przypis redakcyjny]

ich znaczące rozmowy, tkliwe spojrzenia, dziwne półsłówka, wszystkie sprawozdania pani Meliton, wszystkie sądy, jakie krążyły o pannie Izabeli wśród podziwiającej ją publiczności. Wreszcie głęboko odetchnął: zdawało mu się, że znalazł jakąś nitkę, która może wyprowadzić go z labiryntu<sup>173</sup>.

„Wyjdę z niego chyba do pracowni Geista” – pomyślał czując, że już wpadło mu w serce pierwsze ziarno pogardy.

„Ma prawo, ma wszelkie prawo!... – mrucał uśmiechając się. – Ale też wybór, czy może nawet wybory... Ehej, jakieżem ja podłe bydłę; a Geist uważa mnie za człowieka...”

Po wyjeździe Suzina Wokulski po raz drugi odczytał dziś wręczony mu list Rzeckiego. Stary subiekt mało pisał o interesach, ale bardzo dużo o pani Stawskiej, nieszczęśliwej a pięknej kobiecie, której mąż gdzieś zginął.

„Do śmierci zobowiązesz mnie – mówił Rzecki – jeżeli coś obmyślisz dla ostatecznego wyjaśnienia: czy Ludwik Stawski żyje, czy umarł?”

Po czym następował rejestr dat i miejscowości, w których zaginiony przebywał opuściwszy Warszawę.

„Stawska?... Stawska?... – myślał Wokulski. – Już wiem!... To ta piękna pani z córeczką, która mieszka w moim domu... Co za dziwny zbieg wypadków: może po to kupiłem dom Łęckich,

---

<sup>173</sup> *labirynt* – w starożytności nazwa budowli zawierającej mnóstwo sal i krętych korytarzy, a tylko jedno wejście i tak zagmatwany plan wnętrza, że osoby obce musiały w nim błądzić. Według legendy greckiej bohater ateński Tezeusz wydostał się z labiryntu na Krecie dzięki rozwiniętej nici, która wskazała mu drogę powrotną. [przypis redakcyjny]

ażeby poznać w nim tę drugą?... Nic mnie ona nie obchodzi, skoro tu zostanę, ale dlaczegoż nie miałbym jej dopomóc, jeżeli prosi Rzecki... Ach! wybornie... Będę miał zaraz powód dać prezent baronowej, którą mi tak rekomendował Suzin...”

Wziął adres baronowej i pojechał w okolice Saint–Germain<sup>174</sup>.

W sieni domu, w którym mieszkała, był kramik antykwariusza. Wokulski rozmawiając ze szwajcarem mimo woli rzucił okiem na książki i z radosnym zdziwieniem spostrzegł egzemplarz poezji Mickiewicza, tej edycji, którą czytał jeszcze jako subiekt Hopfera. Na widok wytartych okładek i spłowiałego papieru cała młodość stanęła mu przed oczyma.

Natychmiast kupił książkę i o mało nie ucałował jej jak relikwii.

Szwajcar, któremu frank podbił serce dla Wokulskiego, zaprowadził go aż do drzwi apartamentów baronowej z uśmiechem życząc przyjemnej zabawy. Wokulski zadzwonił i zaraz na wstępie zobaczył lokaja w pąsowym fraku.

„Aha!” – mruknął.

W salonie, rzecz naturalna, były złoczone meble, obrazy, dywany i kwiaty. Po chwili ukazała się baronowa z miną osoby obrażonej, która gotowa jednak przebaczyć.

Istotnie przebaczyła mu. W krótkiej rozmowie Wokulski wyłożył cel wizyty, napisał nazwisko Stawskiego i miejsc, w których przebywał, usilnie prosząc, ażeby baronowa przez swoje

---

<sup>174</sup> *okolice Saint–Germain* – prawdopodobnie Prus ma na myśli wymieniony w poprzednim rozdziale bulwar St. Germain. [przypis redakcyjny]

liczne stosunki dała mu o zaginionym dokładną wiadomość.

– To jest możliwe – odparła wielka dama – ale... czy nie zniechęcą pana koszta?... Musimy odwołać się do policji niemieckiej, angielskiej, amerykańskiej...

– Więc?...

– Więc wyda pan ze trzy tysiące franków?

– Oto są cztery tysiące – odparł Wokulski podając jej czek, na którym wypisał odnośną sumę. – Kiedyż mam spodziewać się odpowiedzi?...

– Tego nie jestem w stanie oznaczyć – rzekła baronowa – może za miesiąc, może za rok. Sądzę jednak – dodała surowo – że o rzeczywistości poszukiwań nie wątpi pan?

– Tak dalece nie wątpię, że zostawię u Rotszylda kwit jeszcze na dwa tysiące franków, płatnych po otrzymaniu wiadomości o tym człowieku.

– Pan wkrótce wyjeżdża?

– O nie. Zabawię jakiś czas.

– Ach, zachwycił pana Paryż!... – rzekła baronowa z uśmiechem. – Spodoba się panu jeszcze bardziej z okien mego salonu. Przyjmuję co wieczór.

Pożegnali się oboje bardzo zadowoleni: baronowa z pieniędzy swojego klienta, Wokulski, że jednym zamachem spełnił radę Suzina i prośbę Rzeckiego.

Teraz Wokulski został w Paryżu zupełnie osamotniony, bez żadnego obowiązkowego zajęcia. Znowu zwiedzał wystawę, teatry, nieznanne ulice, pominięte sale w muzeach... Znowu

podziwiał olbrzymie siły Francji, prawidłowość w budowie i życiu milionowego miasta, wpływ łagodnego klimatu na przyspieszony rozwój cywilizacji... Znowu pił koniak, jadł kosztowne potrawy albo grał w karty w salonie baronowej, gdzie zawsze przegrywał...

Taki sposób spędzania czasu wyczerpywał go znakomicie, ale nie dawał ani kropli radości. Godziny wlokły mu się jak doby, dni nie miały końca, a noce spokojnego snu. Bo choć spał twardo, bez żadnych marzeń przykrych albo przyjemnych, chociaż tracił świadomość, nie mógł jednakże pozbyć się uczucia niezgruntowanej goryczy, w której tonęła jego dusza na próżno szukająca tam dna albo brzegów.

„Dajcie mi jakiś cel... albo śmierć!...” – mówił nieraz patrząc w niebo. A w chwilę później śmiał się i myślał:

„Do kogo ja mówię?... Kto mnie wysłucha w tym mechanizmie ślepych sił, których stałem się igraszką? Cóż to za okrutna dola nie być do niczego przywiązany, niczego nie pragnąć, a tak wiele rozumieć...”

Zdawało mu się, że widzi jakąś niezmierną fabrykę, skąd wybiegają nowe słońca, nowe planety, nowe gatunki, nowe narody, a w nich ludzie i serca, które szarpia furie: nadzieja, miłość i boleść. Któraż z nich najgorsza? Nie boleść, bo ona przynajmniej nie kłamie. Ale ta nadzieja, która tym głębiej strąca, im wyżej podniosła... Ale miłość, ten motyl, którego jedno skrzydło nazywa się niepewnością, a drugie oszustwem...

„Wszystko jedno – mrucał. – Jeżeli już musimy odurzać się

czymś, odurzajmy się czymkolwiek. Ale czym?...”

Wówczas w głębi mroku, nazywanego się naturą, ukazywały się przed nim jakby dwie gwiazdy. Jedna blada, ale niezmienna – to był Geist i jego metale; druga iskrząca się jak słońce albo nagle gasnąca, a tą była **ona**...

„Co tu wybrać? – myślał – jeżeli jedno jest wątpliwe, a druga niedostępna i niepewna. Bo choćbym nawet dosięgnął jej, czy ja jej kiedy uwierzę?... czy nawet mógłbym uwierzyć?...”

Z tym wszystkim czuł, że zbliża się chwila decydującej walki pomiędzy jego rozumem i sercem. Rozum ciągnął go do Geista, serce do Warszawy. Czuł, że lada dzień coś z tego musi wybrać: albo ciężką pracę, która wiodła do nadzwyczajnej sławy, albo płomienną namiętność, która obiecywała chyba to, że spali go na popiół.

„A jeżeli i to, i tamto jest złudzeniem, jak owa łopatką albo chustka ważąca sto funtów?...”

Poszedł jeszcze raz do magnetyzera Palmieriego i zapłaciwszy należne dwadzieścia franków za konferencję, począł zadawać mu pytania:

– Więc twierdzisz pan, że mnie nie można zamagnetyzować?

– Co to jest nie można! – oburzył się Palmieri. – Nie można od razu, gdyż nie jesteś pan **medium**. Ale można by z pana zrobić medium, jeżeli nie w kilka miesięcy, to w kilka lat.

„Zatem Geist stanowczo nie otumaniał mnie” – pomyślał Wokulski. Głośno zaś dodał:

– A kobieta, panie Palmieri, może zamagnetyzować

człowieka?

– Nie tylko kobieta, ale nawet drzewo, klamka, woda, no, słowem, wszystko, czemu magnetyzer nada władzę. Ja mogę moje media magnetyzować bodajby szpilką; mówię im: w tę szpilkę przelewam mój **fluid** i zaśniesz pan, kiedy na nią spojrzysz. Tym więc łatwiej mógłbym przekazać moją władzę jakiejś kobiecie. Byle, rozumie się, osoba magnetyzowana była medium.

– I wtedy do owej kobiety przywiązałbym się tak jak pańskie medium do łopatki od węgla?... – spytał Wokulski.

– Bardzo naturalnie – odpowiedział Palmieri spoglądając na zegarek.

Wokulski opuścił go i włącząc się po ulicach myślał: „Co do Geista, mam prawie dowód, że nie łudził mnie za pomocą magnetyzmu; nie starczyłoby na to czasu. Ale co do niej, nie mam pewności, że nie oczarowała mnie w ten sposób. Czasu było dosyć, ale... któż mnie zrobił jej medium?...”

Im więcej porównywał swoją miłość do panny Izabeli z uczuciami ogółu mężczyzn dla ogółu kobiet, tym bardziej wydawała mu się nienaturalną. Bo jak można zakochać się w kimś od jednego rzutu oka? Albo jak można szaleć za kobietą, którą widzi się raz na kilka miesięcy, i tylko po to, ażeby przekonać się, że ona nie dba o nas?

„Bah! – mruknął – rzadkie spotkania właśnie nadają jej charakter ideału. Kto wie, czy zupełnie nie rozczarowałbym się poznawszy ją dokładniej?”

Zdziwiło go, że od Geista nie miał żadnej wiadomości.

„Czyby uczony chemik po to wziął trzysta franków, ażeby już wcale mi się nie pokazywać...” – pomyślał.

Ale sam zawstydził się tych podejrzeń.

„Może chory?” – szepnął.

Wziął fiakra i pojechał według adresu, daleko za wały miasta, w okolice Charenton<sup>175</sup>.

Na wskazanej ulicy fiakier zatrzymał się przed murowanym parkanem; spoza niego widać było dach i górną część okien domu.

Wokulski wysiadł z powozu i zbliżył się do żelaznej furtki w murze, zaopatrzonej w młotek. Po kilkunastu uderzeniach furtka nagle uchyliła się i Wokulski wszedł na dziedziniec.

Dom był jednopiętrowy, bardzo stary; mówiły o tym ściany pokryte pleśnią, mówiły okna zakurzone, gdzieniegdzie wybite. W środku ściany frontowej znajdowały się drzwi, do których wchodziło się po kilku stopniach kamiennych, dość zrujnowanych.

Ponieważ furtka już zamknęła się z głuchym łoskotem, a nie było widać szwajcara, który ją otwierał, więc Wokulski stał na środku dziedzińca zdziwiony i zakłopotany. Nagle w oknie pierwszego, a zarazem jedyne piętra ukazała się jakaś głowa w czerwonej czapce i znajomy głos zawołał:

– Czy to wy, panie **Siuze**?... Dzień dobry!

---

<sup>175</sup> Charenton – miejscowość pod Paryżem, przy ujściu Marny do Sekwany. (Znajduje się tu znany zakład dla obłąkanych.) [przypis redakcyjny]

Głowa znikła, lecz otwarty lufcik świadczył, że nie była złudzeniem. Wreszcie po kilku chwilach zgrzytnęły drzwi środkowe, otworzyły się i stanął w nich Geist. Był ubrany w podarte niebieskie spodnie, drewniane sandały na nogach i brudny flanelowy kaftanik na grzbiecie.

– Powinszuj mi, panie **Siuże!** – mówił Geist. – Sprzedałem mój materiał wybuchowy anglo–amerykańskiej kompanii<sup>176</sup> i zdaje się, zrobiłem niezły interes. Sto pięćdziesiąt tysięcy franków gotówką z góry i dwadzieścia pięć centimów<sup>177</sup> od każdego sprzedanego kilograma.

– No, w tych warunkach chyba zarzuci pan swoje metale – rzekł uśmiechając się Wokulski.

Geist spojrział na niego z pobłażliwą wzgardą.

– Warunki te – odparł – o tyle zmieniły moje położenie, że na parę lat nie potrzebuję się troszczyć o majątnego współnika. Lecz co do metalów, właśnie w tej chwili pracuję nad nimi, spojrzuj...

Otworzył drzwi na lewo od sieni. Wokulski zobaczył rozległą, kwadratową salę, bardzo chłodną. Na środku jej stał ogromny cylinder, podobny do kadzi: stalowa ściana jej miała z łokieć grubości i była w czterech miejscach ściśnięta potężnymi obręczami. Do górnego dna były przytwierdzone jakieś aparaty: jeden podobny do kłapy bezpieczeństwa, spod której od czasu do czasu wydobywał się obłoczek pary i szybko nikał w powietrzu, drugi przypominał manometr, którego skazówka jest w ruchu.

---

<sup>176</sup> *kompania* – tu: spółka handlowa. [przypis redakcyjny]

<sup>177</sup> *centim* – francuska drobna moneta, 1/100 franka. [przypis redakcyjny]

– Kocioł parowy?... – spytał Wokulski. – Dlaczegoż takie grube ściany?

– Dotknij go – rzekł Geist.

Wokulski dotknął i syknął z bólu. Na palcach wyskoczyły mu pęcherze, lecz nie z gorąca, tylko z zimna... Każdą była straszliwie zimna, co zresztą czuło się w całej sali.

– Sześćset atmosfer ciśnienia wewnętrznego – dodał Geist nie zważając na przygodę Wokulskiego, który aż wstrząsnął się usłyszawszy taką cyfrę.

– Wulkan!... – szepnął.

– Dlatego namawiałem cię, ażebyś u mnie pracował – odparł Geist. – Jak widzisz, łatwo tu o wypadek... Chodźmy na górę...

– Kocioł zostawi pan bez dozoru? – spytał Wokulski.

– O, przy tej robocie nie potrzeba niańki; wszystko robi się samo i nie może być niespodzianek.

Wszedłszy na górę znaleźli się w dużym pokoju o czterech oknach. Głównym jego umeblowaniem były stoły, literalnie zarzucone retortami, miseczkami i rurkami ze szkła, porcelany, nawet z ołowiu i miedzi. Na podłodze pod stołami i w kątach leżało kilkanaście bomb artyleryjskich, między nimi kilka pękniętych. Pod oknami stały wanienki kamienne lub miedziane, napełnione kolorowymi płynami; wzdłuż jednej ze ścian ciągnęła się ława czy tapczan, a na niej ogromny stos elektryczny.

Dopiero odwróciwszy się Wokulski spostrzegł przy samych drzwiach żelazną szafę wmurowaną w ścianę, łóżko okryte

podartą kołdrą, z której wyłaziła brudna wata, pod oknem stolik z papierami, a przed nim fotel obity skórą, popękana i wytarta.

Wokulski spojrział na starca obutego w drewniane sandały jak najuboższy wyrobnik, potem na jego sprzęty, z których wyczierała nędza, i pomyślał, że przecie ten człowiek za swoje wynalazki mógłby mieć miliony. Wyrzekł się ich jednak dla dobra jakiejś przyszłej, doskonalszej ludzkości... Geist wydał mu się w tej chwili jak Mojżesz, który do obiecanej ziemi prowadzi jeszcze nie urodzone pokolenia.

Ale stary chemik tym razem nie odgadł myśli Wokulskiego; przypatrzył mu się pochmurnie i rzekł:

– Cóż, panie **Siuże**, niewesołe miejsce, niewesoła robota?... Od czterdziestu lat żyję w ten sposób. W tych aparatach uwięzło już kilka milionów i może dlatego ich posiadacz nie bawi się, nie ma służby, a czasami nawet nie ma co jeść... To nie dla pana zajęcie – dodał machnąwszy ręką.

– Mylisz się, profesorze – odparł Wokulski. – Zresztą w grobie nie jest chyba weselej...

– Co tam grób... głupstwo... sentymentalizm!... – mruknął Geist. – W naturze nie ma grobów ani śmierci; są różne formy bytu, z których jedne pozwalają nam być chemikami, inne tylko preparatami chemicznymi. Cała zaś mądrość polega na tym, ażeby korzystać z nadarzającej się okazji, nie tracić czasu na błazeństwa, lecz coś zrobić.

– Rozumiem to – odparł Wokulski – ale... Wybacz pan, pańskie odkrycia są tak nowe...

– I ja rozumiem – przerwał Geist. – Moje odkrycia są tak nowe, że... uważasz je pan za oszustwo!... Pod tym względem nie są mędrszymi od ciebie członkowie Akademii, masz więc dobre towarzystwo... Aha!... chciałbyś jeszcze raz zobaczyć moje metale, wypróbować je?... Dobrze, bardzo dobrze...

Pobiegł do żelaznej szafy, otworzył ją w sposób bardzo skomplikowany i po kolei począł wydobywać sztabki metalu cięższego od platyny, lżejszego od wody, to znowu przezroczystego... Wokulski oglądał je, ważył, ogrzewał, kuł, przepuszczał przez nie prąd elektryczny, ciął nożycami. Na próbach tych zeszło mu parę godzin; w rezultacie jednak przekonał się, że przynajmniej pod względem fizycznym ma do czynienia z autentycznymi metalami.

Skończywszy próby Wokulski wyczerpany upadł na fotel; Geist pochował swoje okazy, zamknął szafę i śmiejąc się zapytał:

– No i cóż: fakt czy złudzenie?

– Nic nie rozumiem – szepnął Wokulski ściskając rękoma skronie – głowa mi pęka!... Metal trzy razy lżejszy od wody... niepojęta rzecz!...

– Albo metal o jakie dziesięć procent lżejszy od powietrza, co?... – śmiał się Geist. Ciężar gatunkowy obalony... prawa natury podkopane, co?... Cha! cha!... Nic z tego wszystkiego. Prawa natury, o ile je znamy, nawet przy moich metalach pozostaną nietknięte. Rozszerzą się tylko nasze pojęcia o własnościach ciał i ich budowie wewnętrznej, no i rozszerzą się granice ludzkiej techniki.

– A ciężar gatunkowy? – spytał Wokulski.

– Posłuchaj mnie – przerwał mu Geist – a wnet zrozumiesz, na czym polega istota moich odkryć, chociaż, pośpieszam dodać, naśladować ich nie potrafisz. Tu nie ma ani cudów, ani oszustwa; tu są rzeczy tak proste, że pojąć je mógłby uczeń szkoły elementarnej.

Wziął ze stołu stalowy sześcian i podawszy go Wokulskiemu mówił:

– Oto jest decymetr sześcienny, pełny, odlany ze stali; weź go w rękę, ile waży?

– Z osiem kilogramów...

Podał mu drugi sześcian tej samej wielkości, również stalowy, pytając:

– A ten ile waży?

– No, ten waży z pół kilograma... Ale on jest pusty... – odparł Wokulski.

– Doskonale! A ta sześcienna klatka ze stalowego drutu ile waży? – spytał Geist podając ją Wokulskiemu.

– Ta waży kilkanaście gramów...

– Otóż widzisz – przerwał Geist. – Mamy trzy sześciany tej samej wielkości i z tego samego materiału, które jednak są nierównej wagi. A dlaczego? Gdyż w pełnym sześcianie jest najwięcej cząstek stali, w pustym mniej, a w drucianym najmniej. Wyobraź więc sobie, że udało mi się zamiast **pełnych cząstek** budować **klatkowe cząstki ciał**<sup>178</sup>, a

---

<sup>178</sup> *zamiast pełnych cząstek budować klatkowe cząstki ciał* – oczywiście pomysł

zrozumiesz tajemnicę wynalazku. Polega on na zmianie budowy wewnętrznej materiałów, co nawet dla dzisiejszej chemii nie jest żadną nowością. Cóż, jakże tam?...

– Kiedy widzę okazy, wierzę – odparł Wokulski – kiedy pana słucham, rozumiem. Ale gdy wyjdę stąd... Rozłożył ręce w sposób desperacki.

Geist znowu otworzył szafę, poszukał, i wydobywszy mały skrawek metalu, barwą przypominającego mosiądz, podał Wokulskiemu mówiąc:

– Weź sobie to jako amulet przeciw powątpiewaniu o moim rozumie czy prawdomówności. Ten metal jest około pięciu razy lżejszy od wody, dobrze więc będzie ci przypominał naszą znajomość. Przy tym – dodał śmiejąc się – ma on wielką zaletę: nie obawia się żadnych odczynników chemicznych... Prędzej zniknie, aniżeli zdradzi mój sekret... A teraz idź już, panie **Siuże**, odpocznij i namyśl się: co masz zrobić ze sobą?

– Przyjdę tu – szepnął Wokulski.

– O nie! nie zaraz!... – odparł Geist. – Jeszcze nie ukończyłeś swoich rachunków ze światem; a że i ja mam na parę lat pieniądze, więc nie nalegam. Przyjdziesz tu, kiedy ci już nic nie zostanie z dawnych złudzeń...

Niecierpliwie ścisnął go za rękę i popychał ku drzwiom. Na schodach pożegnał go jeszcze raz i cofnął się do laboratorium. Gdy Wokulski wyszedł na dziedziniec, furtka już była otwarta, a gdy wyminął ją i stanął obok swego fiakra, zatrzasnęła się.

Wróciwszy do miasta Wokulski przede wszystkim kupił złoty medalion, umieścił w nim skrawek nowego metalu i zawiesił na szyi jak szkaplerz<sup>179</sup>. Chciał spacerować się, ale spostrzegł, że ruch uliczny męczy go; więc poszedł do siebie.

„Czemu ja się wracam? – szeptał. – Dlaczego nie idę do Geista do roboty?...”

Usiadł na fotelu i utonął we wspomnieniach. Widział sklep Hopfera, stołowe pokoje i gości, którzy drwili z niego; widział swoją maszynę o wieczystym ruchu i model balonu, któremu usiłował nadać kierunek. Widział Kasię Hopfer, która mizerniała z miłości dla niego...

„Do roboty!... Dlaczego ja nie idę do roboty?...”

Wzrok jego machinalnie padł na stół, gdzie leżał niedawno kupiony Mickiewicz.

„Ile ja to razy czytałem!...” – westchnął biorąc książkę do ręki.

Książka otworzyła się sama i Wokulski przeczytał:

„Zrywam się, biegnę, składam na pamięć wyrazy, którymi mam złorzeczyć okrucieństwu twemu, składane, zapomniane już po milion razy... Ale gdy ciebie ujrzę, nie pojmuję, czemu znowu jestem spokojny, zimniejszy nad głazy, aby goreć na

---

<sup>179</sup> *szkaplerz* – wierzchnia część habitu mnisiego (płat materiału zakrywający piersi, ramiona i plecy, z otworem na głowę pośrodku) oraz jedno z uznanych przez kościół katolicki dewocjonaliów; wyposażony najczęściej w wizerunek Matki Boskiej bywa noszony również przez świeckich i księży; jego nałożenie odbywa się uroczystie, a noszenie wiąże się z pewnymi pobożnymi obowiązkami; sukienny szkaplerz bywa zastępowany medalikiem. [przypis edytorski]

nowo, milczeć po dawnemu...”<sup>180</sup>

„Teraz już wiem, przez kogo jestem tak zaczarowany...”

Uczuł łzę pod powieką, lecz pohamował się i nie splamiła mu twarzy.

„Zmarnowaliście życie moje... Zatruliście dwa pokolenia!... – szepnął. – Oto skutki waszych sentymentalnych poglądów na miłość.”

Złożył książkę i cisnął nią w kąt pokoju, aż rozleciały się kartki.

Książka odbiła się od ściany, spadła na umywalnię i ze smutnym szelestem stoczyła się na podłogę.

„Dobrze ci tak! tam twoje miejsce... – myślał Wokulski.– Bo któż to miłość przedstawiał mi jako świętą tajemnicę? Kto nauczył mnie gardzić codziennymi kobietami, a szukać niepochwytnego ideału?... Miłość jest radością świata, słońcem życia, wesołą melodią w pustyni, a ty co z niej zrobiłeś?... Żałobny ołtarz, przed którym śpiewają się egzekwie<sup>181</sup> nad zdeptanym sercem ludzkim!”

Wtem nasunęło mu się pytanie:

„Jeżeli poezja zatrula twoje życie, to któż zatrul ją samą? I dlaczego Mickiewicz, zamiast śmiać się i swawolić jak francuscy pieśniarze, umiał tylko tęsknić i rozpaczać?

---

<sup>180</sup> *Zrywam się, biegną, składam na pamięć wyrazy...* – niezupełnie dokładny cytat z sonetu Mickiewicza *Mówię z sobą...* (1826): „Zrywam się, biegnę, składam na pamięć wyrazy.” [przypis redakcyjny]

<sup>181</sup> *egzekwie* – nabożeństwo za umarłych. [przypis redakcyjny]

Bo on, tak jak i ja, kochał pannę wysokiego urodzenia<sup>182</sup>, która mogła stać się nagrodą nie rozumu, nie pracy, nie poświęceń, nawet nie geniuszu, ale... pieniędzy i tytułu...”

„Biedny męczenniku! – szepnął Wokulski. – Tyś oddał narodowi, coś miał najlepszego; lecz cóżeś winien, że przelewając w niego własną duszę, razem z nią przelałeś cierpienia, jakimi nasycali ciebie? To oni są winni twoim, moim i naszym nieszczęściom...”

Podniósł się z fotelu i ze złości zebrał porozdzierane kartki.

„Nie dość, że byłeś umęczony przez nich, ale jeszcze miałbyś odpowiadać za ich występki?... To oni winni, oni, że twoje serce, zamiast śpiewać, jęczało jak dzwon rozbity.”

Położył się na kanapie i znowu myślał:

„Szczególny kraj, w którym od tak dawna mieszkają obok siebie dwa całkiem różne narody: arystokracja i pospółstwo. Jeden mówi, że jest szlachetną rośliną, która ma prawo ssać glinę i mierzwę, a ten drugi albo przytakuje dzikim pretensjom, albo nie ma siły zaprotestować przeciw krzywdzie.

A jak się to wszystko składało na uwiecznienie monopolu jednej klasy i zdławienie w zarodku każdej innej! Tak silnie wierzone w powagę rodu, że nawet synowie rzemieślników i handlarzy albo kupowali herby, albo podszywali się pod jakieś

---

<sup>182</sup> *panna wysokiego urodzenia...* – Maryla Wereszczakówna, pochodząca z zamożnej rodziny ziemiańskiej. Z woli rodziców Wereszczakówna wyszła za mąż za hr. Wawrzyńca Puttkamera. Nieszczęśliwa miłość Mickiewicza do Wereszczakówny pozostawiła silne ślady w jego twórczości (poezje liryczne, IV część *Dziadów*). [przypis redakcyjny]

zubożałe rody szlchetne.

Nikt nie miał odwagi nazwać się dzieckiem swoich zasług, a nawet ja, głupiec, wydałem kilkaset rubli na kupno szlacheckiego patentu.

I ja miałbym tam wracać?... Po co?... Tu przynajmniej mam naród żyjący wszystkimi zdolnościami, jakimi obdarowano człowieka. Tu naczelnych miejsc nie obsiada pleśń podejrzanego starożytności, ale wysuwają się naprzód istotne siły: praca, rozum, wola, twórczość, wiedza, nawet piękność i zręczność, a nawet choćby szczere uczucie. Tam zaś praca staje pod pręgierzem, a triumfuje rozpusta! Ten, kto dorabia się majątku, nosi tytuł sknery, kutwy, dorobkiewicza; ten, kto go trwoni, nazywa się: hojnym, bezinteresownym, wspaniałomyślnym... Tam prostota jest dziwactwem, oszczędność wstydem, uczoność równoznaczny z obłudą, artyzm symbolizuje się dziurawymi łokciami. Tam, chcąc zdobyć miano człowieka, trzeba posiadać albo tytuł z pieniędzmi, albo talent wciskania się do przedpokojów. I ja bym tam miał wracać?...”

Począł chodzić po pokoju i liczyć:

„Geist jeden, ja drugi, Ochocki trzeci... Ze dwu jeszcze znajdziemy i za cztery albo pięć lat wyczerpalibyśmy owe osiem tysięcy doświadczeń, potrzebnych do znalezienia metalu lżejszego niż powietrze. No, a wtedy co?... Co stanie się z dzisiejszym światem na widok pierwszej maszyny latającej, bez skrzydeł, bez skomplikowanych mechanizmów, a trwałe jak okręt pancerny?”

Zdawało mu się, że szmer uliczny za jego oknami rozszerza się i potęguje ogarniając cały Paryż, Francję i Europę. I że wszystkie głosy ludzkie zlewają się w jeden ogromny okrzyk:

„Sława!... sława!... sława!...”

„Oszalałem?” – mruknął.

Szybko rozpiął kamizelkę i wydobywszy spod koszuli złoty medalion otworzył go. Skrawek metalu, podobnego do mosiądzu i lekkiego jak puch, był na swoim miejscu. Geist nie łudził go; droga do olbrzymiego wynalazku była na oścież otwarta.

„Zostaję! – szepnął. – Bóg ani ludzie nie przebaczyliby mi zaniedbania podobnej sprawy.”

Mrok już zapadał. Wokulski zaświeceł gazowe lampy nad stołem, wydobył papier i pióro i zaczął pisać:

„Mój Ignacy! chcę pogadać z tobą o bardzo ważnych rzeczach, a ponieważ do Warszawy już nie wrócę, proszę cię więc, ażebyś jak najspieszniej...”

Nagle rzucił pióro: jakaś trwoga opanowała go na widok napisanych przez siebie wyrazów: „do Warszawy już nie wrócę...”

„Dlaczego nie mam wrócić?...” – szepnął.

„A po co?... Może po to, ażeby znowu spotkać pannę Izabelę, znowu stracić energię?...”

„Raz nareszcie muszę zamknąć te głupie rachunki...”

Chodził i myślał:

„Oto dwie drogi: jedna wiedzie do nieobliczonych reform ludzkości, druga do podobania się, a nawet, przypuśćmy, do

zdobycia kobiety. Co wybrać?...

Bo jużci jest faktem, że każdy nowy a ważny materiał, każda nowa siła to nowe piętro cywilizacji. Brąz stworzył cywilizację klasyczną, żelazo wieki średnie; proch zakończył wieki średnie, a węgiel kamienny rozpoczął wiek dziewiętnasty. Co się tu wahać: metale Geista dadzą początek takiej cywilizacji, o jakiej nie marzono, i kto wie, czy wprost nie uszlachetnią gatunku ludzkiego...

A z drugiej strony cóż mam?... Kobiętę, która przy takich jak ja parweniuszach nie wahałaby się kąpać. Czym jestem w jej oczach obok tych wykwintnisiów, dla których pusta rozmowa, koncept, komplement stanowią najwyższą treść życia. Co ta czereda, nie wyłączając jej samej, powiedziałyby na widok obdartego Geista i jego niezmiernych odkryć? Tak są ciemni, że nawet nie dziwiliby się temu.

Przypuśćmy wreszcie, żebym się z nią ożenił, a wtedy co?... Natychmiast do salonu dorobkiewicza wleliby się wszyscy jawni i tajni wielbiciele, kuzyni rozmaitego stopnia, czy ja wiem wreszcie kto!... I znowu musiałbym zamykać oczy na ich spojrzenia, głuchnąć na ich komplementa, dyskretnie usuwać się od ich poufnych rozmów – o czym?... O mojej hańbie czy głupocie?...

Po roku tego życia spodliliby mnie tak, że może zniżyłbym się do zazdrości o podobne indywidua...

Ach, czy nie wolałbym rzucić serce głodnemu psu aniżeli oddać je kobiecie, która nawet nie domyśla się, jaka jest różnica

między nimi a mną.

Basta!...”

Znowu usiadł przy stole i zaczął list do Geista. Nagle przerwał:  
„Paradny jestem – rzekł głośno – chcę pisać zobowiązanie nie uregulowawszy moich interesów...”

„Oto zmieniły się czasy! – myślał. – Dawniej taki Geist byłby symbolem szatana, z którym walczy o duszę ludzką anioł w postaci kobiety. A dzisiaj... kto jest szatanem, a kto aniołem?...”

Wtem zapukano do drzwi. Wszedł garson i podał Wokulskiemu duży list.

„Z Warszawy – szepnął. – Od Rzeckiego?... Przysłała mi jakiś drugi list... Ach, od prezesowej!... Co, może donosi mi o ślubie panny Izabeli?...”

Rozerwał kopertę, lecz przez chwilę wahał się z odczytaniem. Serce zaczęło mu bić spieszniej.

„Wszystko jedno!” – mruknął i zaczął:

„Mój kochany panie Stanisławie! Dobrze, widać, bawisz się, podobno nawet w Paryżu, kiedy zapominasz o swoich przyjaciółkach. A grób śp. biednego stryja twego wciąż czeka na obiecany kamień i ja także chciałabym poradzić się ciebie o budowę cukrowni, do której namawiają mnie na stare lata. Wstydz się, panie Stanisławie, a nade wszystko żałuj, że nie widzisz rumieńca na twarzy Beli, która w tej chwili jest u mnie i spiekła raczka usłyszawszy, że piszę do ciebie. Kochane dziecko! Mieszka u ciotki w sąsiedztwie i często mnie odwiedza. Domyślam się, że zrobiłeś jej jakąś dużą przykrość; nie ociągaj

się więc z przeprosinami i jak najrychlej przyjeżdżaj prosto do mnie. Bela zabawi tu jeszcze kilka dni i może uda mi się wyjednać ci przebaczenie...”

Wokulski zerwał się od stołu, otworzył okno i postawszy w nim chwilę przeczytał drugi raz list prezesowej; oczy zaiskrzyły mu się, na twarz wystąpiły wypieki.

Zadzwoił raz, drugi, trzeci... Wreszcie sam wybiegł na korytarz wołając:

– Garson!... Hej, garson!...

– Do usług...

– Rachunek.

– Jaki?...

– Cały rachunek za ostatnie pięć dni... Cały, nie rozumiesz?

...

– Czy zaraz? – zdziwił się garson.

– Natychmiast i... powóz na dworzec kolei północnej<sup>183</sup>...

Natychmiast!

---

<sup>183</sup> *dworzec kolei północnej* – to jest wiodącej z Paryża w kierunku północnym (znajduje się przy placu de Roubaix). [przypis redakcyjny]

## IV. Człowiek szczęśliwy w miłości

Wróciwszy z Paryża do Warszawy, Wokulski zastał drugi list prezesowej.

Staruszka nalegała, ażeby natychmiast przyjeżdżał i zabawił u niej parę tygodni.

„Nie myśl, panie Stanisławie – kończyła – że zapraszam cię z powodu twoich świeżych awansów<sup>184</sup>, dla pochwalenia się znajomością z tobą. Tak czasem bywa, ale nie u mnie. Chcę tylko, ażebyś odpoczął po swych ciężkich trudach, a może i rozerwał się w moim domu, gdzie oprócz gospodyni, starej nudziarki, znajdziesz jeszcze towarzystwo młodych i ładnych kobiet.”

„Dużo mnie obchodzą młode i ładne kobiety!” – mruknął Wokulski. W następnej zaś chwili przyszło mu na myśl: o jakich to awansach pisze prezesowa? Czyby już nawet na prowincji wiedziano o jego zarobku, choć sam nikomu o tym nie wspomniał?

Słowa prezesowej przestały go jednak dziwić, gdy naprędce rozejrzał się w interesach. Od dnia wyjazdu do Paryża obroty jego handlu znowu wzrosły i wzrastały z tygodnia na tydzień. W stosunki z nim weszło kilkadziesiąt nowych kupców, a cofnął się ledwie jeden, dawny, napisawszy przy tym ostry

---

<sup>184</sup> *awanse* – otrzymanie wyższej rangi lub urzędu, tu: osiągnięcia, sukcesy. [przypis redakcyjny]

list, że ponieważ on nie ma arsenału, tylko zwyczajny sklep bławatny, więc nie widzi interesu nadal utrzymywać stosunków z firmą jego, JW-go Wokulskiego, z którym na Nowy Rok ureguluje wszelkie rachunki. Ruch towarów był tak wielki, że pan Ignacy na własną odpowiedzialność wynajął nowy skład, zgodził ósmego subiekta i dwu ekspedytorów.

Kiedy Wokulski skończył przeglądać księgi (na usilną prośbę Rzeckiego wziął się do nich w parę godzin po powrocie z banhofu<sup>185</sup>), pan Ignacy otworzył kasę ogniotrwałą i z uroczystą miną wydobył stamtąd list Suzina.

– Cóż to za ceremoniał? – spytał ze śmiechem Wokulski.

– Korespondencje od Suzina muszą być szczególnie pilnowane – odparł Rzecki z naciskiem.

Wokulski wzruszył ramionami i przeczytał list. Suzin proponował mu na zimowe miesiące nowy interes, prawie tej samej doniosłości co paryski.

– Cóż ty na to? – zapytał pana Ignacego objaśniewszy, o co chodzi.

– Mój Stachu – odparł subiekt spuszczać oczy – tak ci ufam, że gdybyś nawet spalił miasto, jeszcze byłbym pewny, że zrobiłeś to w szlachetnym celu.

– Jesteś nieuleczony marzyciel, mój stary! – westchnął Wokulski i przerwał rozmowę. Nie miał wątpliwości, że Ignacy znowu posądza go o jakieś polityczne knowania.

Nie sam Rzecki myślał w taki sposób. Wstąpiwszy do swego

---

<sup>185</sup> *banhof* (z niem.) – dworzec. [przypis redakcyjny]

mieszkania Wokulski znalazł całą pakę biletów wizytowych i listów. Przez czas nieobecności odwiedziło go około setki ludzi wpływowych, utytułowanych i majątnych, z których co najmniej połowy dotychczas nie znał... Jeszcze większą osobliwość stanowiły listy. Były to prośby bądź o wsparcie, bądź o protekcję do rozmaitych władz cywilnych i wojskowych lub też anonimy po największej części wymyślające mu... Jeden nazywał go zdrajcą, inny fagasem, który tak wprawił się do służby u Hopfera, że dziś dobrowolnie wdziewa na siebie liberię arystokracji, a nawet więcej niż arystokracji. Inny anonim zarzucał mu opiekę nad kobietą złego życia, inny donosił, że pani Stawska jest kokietką i awanturnicą, a Rzecki oszustem, który w nowo nabytym domu wykrada mu komorne i dzieli się z rządcą, niejakim Wirskim.

„Muszą zdrowe plotki krążyć o mnie!...” – pomyślał patrząc na stertę papierów.

Na ulicy także, o ile miał czas zwracać uwagę, spostrzegł, że jest przedmiotem ogólnego zainteresowania. Mnóstwo osób kłaniało mu się; czasem zupełnie obcy wskazywali na niego, gdy przechodził; byli jednakże i tacy, którzy z widoczną niechęcią odwracali od niego głowę. Między nimi zauważył dwu znajomych, jeszcze z Irkucka, co go dotknęło w przykry sposób.

„Cóż ci znowu – szepnął – dostali bzika?...”

Na drugi dzień swego pobytu w Warszawie odpisał Suzinowi, że propozycje przyjmuje i że w połowie października będzie w Moskwie. Późnym zaś wieczorem wyjechał do prezesowej, której majątek leżał o kilka mil od niedawno wybudowanej

kolei<sup>186</sup>.

Na dworcu spostrzegł, że i tu jego osoba robi wrażenie. Sam zawiadowca przedstawił się i kazał mu dać oddzielny przedział; nadkonduktor zaś prowadząc go do wagonu rzekł, że to on właśnie miał zamiar ofiarować mu wygodne miejsce, gdzie by można spać, pracować albo rozmawiać bez przeszkód.

Po długim staniu pociąg z wolna ruszył. Była już noc duża, bezksiężycowa i bezobłoczna, a na niebie więcej gwiazd niż zwykle. Wokulski otworzył okno i przypatrywał się konstelacjom. Przyszły mu na myśl syberyjskie noce, gdzie niebo bywa niekiedy prawie czarne, zasiane gwiazdami jak śnieżycą, gdzie Mała Niedźwiedzica krąży prawie nad głową, a Herkules, kwadrat Pegaza, Bliźnięta świecą niżej niż u nas nad horyzontem.

„Czy dziś umiałbym astronomię, ja, subiekt Hopfera, gdybym tam nie był? – pomyślał z goryczą. – A słyszałbym co o odkryciach Geista, gdyby mnie Suzin gwałtem nie zaciągnął do Paryża?”

I oczyma duszy widział szerokie i niezwykle życie swoje, jakby rozpięte między dalekim Wschodem i dalekim Zachodem. „Wszystko, co umiem, wszystko, co mam, wszystko, co zrobić jeszcze mogę, nie pochodzi stąd. Tu znajdowałem tylko upokorzenie, zawiść albo wątpliwej wartości poklask, gdy mi się wiodło; lecz gdyby mi się nie powiodło, zdeptałyby mnie te same

---

<sup>186</sup> kilka mil od niedawno wybudowanej kolei – mogła to być tzw. Kolej Nadwiślańska, łącząca Warszawę z Lubelszczyzną (otwarta w r. 1877). [przypis redakcyjny]

nogi, które dziś się kłaniają...”

„Wyjadę stąd – szeptał – wyjadę!... Chyba, że ona mnie zatrzyma... Bo co mi da nawet ten majątek, jeżeli nie mogę go zużytkować w taki sposób, jaki mnie najlepiej przypada do gustu? Co warte życie, pleśniejące między resursą<sup>187</sup>, sklepem i prywatnymi salonami, gdzie trzeba grać w preferansa<sup>188</sup>, ażeby nie obmawiać, albo obmawiać, ażeby nie grać w preferansa?...”

„Ciekawym – rzekł do siebie po chwili – w jakim celu tak znacząco zaprasza mnie prezesowa? A może to panna Izabela? ...”

Zrobiło mu się gorąco i z wolna uczuł jakąś przemianę w duszy. Przypomniawszy sobie swego ojca i stryja, Kasię Hopfer, która tak go kochała, Rzeckiego, Leona, Szumana, księcia i tylu, tylu innych ludzi, którzy złożyli mu dowody niewątpliwej życzliwości. Co warta cała jego nauka i majątek, gdyby dokoła siebie nie miał serc przyjaznych; na co zdałby się największy wynalazek Geista, gdyby nie miał być orężem, który zapewni ostateczne zwycięstwo rasie ludzi szlachetniejszych i lepszych?

...

„Jest i u nas niemało do zrobienia – szepnął. – Są i u nas ludzie, których warto wydzwignąć albo wzmocnić... Za stary jestem na robienie epokowych wynalazków, niech się tym zajmują Ochoccy... Ja wolę innym przysporzyć szczęścia i sam być

---

<sup>187</sup> *resursa* – klub towarzyski. [przypis edytorski]

<sup>188</sup> *preferans* – gra w karty, w którą grano dawniej. Przypomina brydża. [przypis edytorski]

szczęśliwym...”

Przymknął oczy i zdawało mu się, że widzi pannę Izabelę, która patrzy na niego w dziwny, jej tylko właściwy sposób i łagodnym uśmiechem przytakuje jego zamiarom.

Zapukano do drzwi przedziału i po chwili ukazał się nadkonduktor mówiąc:

– Pan baron Dalski pyta się, czy może tu przyjść. Jedzie tym samym wagonem.

– Pan baron?... – powtórzył zdziwiony Wokulski. – Owszem, niech będzie łaskaw...

Nadkonduktor cofnął się i przymknął drzwi, a Wokulski przypomniał sobie, że baron jest członkiem spółki do handlu ze Wschodem i jednym z niewielu już konkurentów panny Izabeli.

„Czego on chce ode mnie? – myślał Wokulski. – Może i on jedzie do prezesowej, ażeby na świeżym powietrzu złożyć pannie Izabeli stanowczą deklarację?... Jeżeli go nie uprzedził ten Starski...”

W korytarzu wagonowym słyhać było kroki i rozmowę; drzwi przedziału znowu usunęły się i ukazał się nadkonduktor, a obok niego bardzo szczupły pan, z malutkimi wąsikami szpakowatymi, jeszcze mniejszą bródką prawie siwą i dobrze siwiejącą głową.

„Chyba nie on?... – myślał Wokulski. – Tamten był zupełnie czarny...”

– Najmocniej przepraszam, że niepokoję pana! – rzekł baron chwając się z powodu ruchu pociągu. – Najmocniej... Nie

ośmieliłbym się przerywać samotności, gdyby nie to, że chcę zapytać: czy pan nie jedzie do naszej czcigodnej prezesowej, która pana już od tygodnia oczekuje?

– Właśnie do niej jadę. Witam pana barona. Niechże pan siądzie.

– A to doskonale! – zawołał baron – bo i ja tam jadę. Prawie od dwu miesięcy mieszkam tam. To jest... panie... nie tyle mieszkam, ile ciągle dojeżdżam. To od siebie, gdzie mi dom odnawiają, to z Warszawy... Teraz wracam z Wiednia, gdzie kupowałem meble, ale zabawię u prezesowej tylko parę dni, bo, panie, muszę zmienić wszystkie obicia w pałacu, założone nie dawniej jak dwa tygodnie temu. Ale cóż robić... nie podobały się, więc obedrzemy, nie ma rady!...

Śmiał się i mrugał oczyma, a Wokulskiego zimno przeszło.

„Dla kogo te meble?... Komu nie podobały się obicia?...” – pytał sam siebie z trwogą.

– Szanowny pan – ciągnął baron – już skończył swoją misję. Winszuję!... – dodał ściskając go za rękę. – Od pierwszego, panie, rzutu oka uczułem dla pana szacunek i sympatię, która teraz zamienia się w prawdziwą cześć... Tak, panie. Nasze usuwanie się od politycznego życia zrobiło nam wiele szkody. Pan pierwszy złamałeś nierozsądną zasadę abstynencji i za to, panie, cześć... Musimy się przecie interesować sprawami państwa, w którym znajdują się nasze majątki, gdzie leży nasza przyszłość...

– Nie rozumiem pana, panie baronie – przerwał mu nagle

Wokulski.

Baron tak zmieszał się, że przez chwilę siedział bez ruchu i głosu. Nareszcie wybąkał:

– Przepraszam!... Doprawdy nie miałem zamiaru... Ale sądzę, że moja przyjaźń dla czcigodnej prezesowej, która, panie, tak...

– Skończmy, panie, z wyjaśnieniami – rzekł ze śmiechem Wokulski ściskając go za rękę. – Kontent pan z wiedeńskich sprawunków?

– Bardzo... panie... bardzo... Chociaż, czy pan uwierzy, była chwila, że za radą szanownej prezesowej miałem zamiar fatygować pana w Paryżu...

– Chętnie służyłbym. O cóż to chodziło?

– Chciałem mieć stamtąd garnitur brylantowy – mówił baron. – Ale że w Wiedniu trafiły mi się pyszne szafiry... Właśnie mam je przy sobie i jeżeli pan pozwoli... Pan jest znawcą klejnotów?

...

„Dla kogo te szafiry?” – myślał Wokulski. Chciał poprawić się na siedzeniu, ale poczuł, że nie może podnieść ręki ani wyprostować nóg.

Baron tymczasem wyjął z rozmaitych kieszeni cztery safianowe pudełka, ustawił je na ławce i po kolei zaczął otwierać.

– Oto bransoleta – mówił – prawda, jaka skromna, jeden kamień... Brosza i kolczyki już są ozdobniejsze; kazałem nawet zmienić oprawę... A to naszyjnik... Proste to, ale smaczne i może dlatego ładne... Ale ogień jest, prawda, panie?

Mówiąc tak, przesuwając szafiry przed oczyma Wokulskiego, przy migotliwym blasku świecy.

– Nie podobają się panu? – spytał nagle baron spostrzegłszy, że jego towarzysz nie odpowiada.

– Owszem, bardzo piękne. Komuż to baron wiezie taki prezent?

– Mojej narzeczonej – odparł baron tonem zdziwienia. – Sądziłem, że prezesowa wspomniała panu o naszym szczęściu rodzinnym...

– Nic.

– A właśnie dziś jest pięć tygodni, jak oświadczyłem się i zostałem przyjęty.

– Komu się pan oświadczył?... Prezesowej?... – rzekł innym już głosem Wokulski.

– Ależ nie!... – zawołał baron cofając się. – Oświadczyłem się panie Ewelinie Janockiej, wnuczce prezesowej... Nie pamięta jej pan? Była u hrabiny w tym roku na święconem, nie zauważył jej pan?...

Długa chwila upłynęła, zanim Wokulski skombinował, że panna Ewelina Janocka nie jest panną Izabelą Łęcką, że baron nie oświadczył się panie Izabeli i że nie dla niej wiezie szafiry.

– Przepraszam pana – odezwał się do zaniepokojonego barona – ale jestem tak rozstrojony, że po prostu nie wiedziałem, co mówię...

Baron zerwał się z siedzenia i prędko zaczął chować pudełka.

– Co za nieuwaga z mojej strony! – zawołał. – Właśnie

dostrzegłem w oczach pańskich znużenie i mimo to ośmieliłem się spłoszyć panu sen...

– Nie, panie, spać nie mam zamiaru i miło mi będzie odbyć resztę drogi w pańskim towarzystwie. To chwilowe osłabienie, które już przeszło.

Baron z początku robił ceremonie i chciał wychodzić, ale widząc, że Wokulski istotnie orzeźwił się, usiadł zapewniając, że tylko na parę minut. Czuł potrzebę wygadania się przed kimś ze swoim szczęściem.

– Bo co to za kobieta! – mówił baron z coraz żywszą gestykulacją. – Kiedym ją, panie, poznał, wydała mi się zimna jak posąg i tylko zajęta strojami. Dopiero dziś widzę, jakie tam skarby uczuć... Stroić się lubi jak każda kobieta, ale cóż to za rozum!... Nikomu bym tego nie powiedział, co teraz powiem panu, panie Wokulski. Ja bardzo młodo zacząłem siwieć i nie bez tego, ażebym od czasu do czasu nie dotknął wąsów fiksatuarem<sup>189</sup>. No i kto by, panie, pomyślał: ledwie spostrzegła to, raz na zawsze zabroniła mi fiksaturować się; powiedziała, że ona ma szczególne upodobanie do siwych włosów i że dla niej prawdziwie pięknym może być tylko siwy mężczyzna. „A o szpakowatych co pani myśli?” – zapytałem. „Że są tylko interesującymi” – odpowiedziała. A jak ona to mówi!... Czy aby nie nudzę pana, panie Wokulski?

– Ależ, panie!... Bardzo mi miło spotkać człowieka

---

<sup>189</sup> *fiksaturować* – pomada do włosów i wąsów; *fiksaturować*: pomadować. [przypis redakcyjny]

szczęśliwego.

– Prawdziwie jestem szczęśliwy, i to w sposób, który dla mnie samego jest niespodzianką – ciągnął baron. – Bo o ożenieniu się zawsze myślałem, już od kilku lat zalecają mi to doktorzy. No i projektowałem, że wezmę sobie, panie, kobietę piękną, dobrze wychowaną, z nazwiskiem i prezencją, bynajmniej nie wymagając od niej jakiejś romantycznej miłości. Tymczasem ma pan: sama miłość zastępuje mi drogę i jednym spojrzeniem roznieca pożar w sercu... Doprawdy, panie Wokulski, jestem zakochany... nie – jestem szalony... Nikomu bym tego nie powiedział, ale panu, dla którego od pierwszej chwili uczułem nieledwie braterską sympatię... Jestem szalony!... Myślę tylko o niej, kiedy śpię – śni mi się, kiedy jej nie widzę – jestem, panie, formalnie chory. Brak apetytu, smutne myśli, jakieś ciągłe lękanie się...

Tego, co panu teraz powiem, panie Wokulski, błagam, ażeby pan nie powtarzał nawet przed samym sobą. Chciałem ją wziąć na próbę; jest to niskie, nieprawda, panie? ale trudno, człowiek niełatwo wierzy w szczęście. Chcąc ją tedy wziąć na próbę (ale nikomu ani słóweczka o tym, panie!), kazałem napisać projekt intercyzy, według którego, gdyby małżeństwo nie doszło do skutku z czyjejkolwiek winy (rozumie pan?) – ja płacę pięćdziesiąt tysięcy rubli pannie za zawód. Serce mi drętwiało z obawy, że... a nuż porzuci mnie?... Lecz co pan powie? Kiedy jej prezesowa wspomniała o tym projekcie, panna w płacz... „Cóż to – mówiła – on myśli, że wyrzeknę się go dla

jakichś pięćdziesięciu tysięcy rubli? Bo jeżeli mnie posądza o interesowność i nie uznaje żadnych wyższych pobudek w sercu kobiety, to przecie powinien rozumieć, że za pięćdziesiąt tysięcy nie oddam miliona...”

Kiedy mi to powtórzyła prezesowa, wbiegłem do pokoju panny Eweliny i nie powiedziawszy ani słówka upadłem jej do nóg... Teraz w Warszawie zrobiłem testament, a w nim mianowałem ją jedyną i wyłączną spadkobierczynią, choćbym umarł przed ślubem. Cała moja rodzina przez całe życie nie dała mi tyle szczęścia, ile to dziecko w ciągu kilku tygodni. A co będzie później!... Co będzie później, panie Wokulski?... Nikomu nie zadałbym podobnego pytania – zakończył baron, mocno targając go za rękę. – No, dobranoc...

„Zabawna historia! – mruknął Wokulski po odejściu barona. – Ten staruszek naprawdę wdeptał się po szyję...”

I nie mógł odpędzić wizerunku barona, który jak cień coraz to wypływał na amarantowe tło siedzenia. Więc patrzył na jego chudą twarz, na której płonął ceglasty rumieniec, na włosy jakby posypane mąką, na oczy wielkie a zapadnięte, w których tlił się blask niezdrowy. Komiczne i smutne wrażenie robiły wybuchy namiętności w człowieku, który nieustannie zasłaniał sobie gardło, sprawdzał, czy okno jest dobrze zamknięte, i siadał w przedziale coraz na innym miejscu z obawy przeciągów.

„Ubrał się! – myślał Wokulski. – Czy podobna, ażeby młoda panna mogła zakochać się w takiej mumii? Z pewnością jest o dziesięć lat starszy ode mnie, a jaki niedołązny, jaki przy tym

naiwny!...

Dobrze, ale jeżeli ta panna naprawdę go kocha?... Boć trudno przypuścić, ażeby go oszukiwała. W ogóle biorąc, kobiety są szlachetniejsze od mężczyzn; nie tylko mniej spełniają występków, lecz i poświęcają się nierównie częściej od nas. Jeżeli więc z trudnością znalazłby się tak podły mężczyzna, który od rana do nocy kłamałby dla pieniędzy, to czy można posądzać o coś podobnego kobietę, młodą pannę wychowaną wśród uczciwej rodziny?

Oczywiście coś jej strzeliło do głowy i musi być także zadurzona, jeżeli nie w jego wdziękach, to w stanowisku. Inaczej musiałaby zdradzić się, że gra komedię, a baron musiałby spostrzec to, bo miłość patrzy przez mikroskop.

A jeżeli młoda dziewczyna może pokochać takiego dziada, to dlaczegoż by mnie nie miała pokochać tamta?..."

„Zawsze wracam do swego! – szepnął. – Ta myśl stała się już rodzajem monomanii<sup>190</sup>...”

Odsunął okno zamknięte przez barona i dla odpędzenia natrętnych wspomnień począł znowu przyglądać się niebu. Kwadrat Pegaza opuszczał się już na zachód, a na wschodzie podnosił się Byk, Orion, Pies Mały i Bliźnięta<sup>191</sup>. Przypatrywał się gwiazdom wielokrotnym, gęsto rozsianym w tej okolicy nieba, i przyszła mu na myśl ta dziwna, niewidzialna siła

---

<sup>190</sup> *monomania* – obłęd polegający na opanowaniu umysłu przez jedną natarczywą myśl. [przypis redakcyjny]

<sup>191</sup> Byk, Orion, Pies Mały... – nazwy gwiazdozbiorów. [przypis redakcyjny]

przyciągania, która odległe światy wiąże w jedną całość potężniej, niżby to mogły zrobić jakiegokolwiek materialne łańcuchy.

„Przyciąganie – przywiązanie, toż to w gruncie jedno i to samo: siła tak wielka, że wszystko za sobą porywa, a tak płodna, że tryska z niej wszelkie życie. Pozbawmy ziemię jej przywiązania do słońca, a odleci gdzieś w przestrzeń i za parę lat stanie się bryłą lodu. Wtrąćmy jakąś tułaczą gwiazdę w sferę słonecznego systemu, a kto wie, czy i na niej nie rozbudzi się życie? Dlaczego więc baron ma wyłamywać się spod prawa przywiązania, które przenika całą naturę? I czy pomiędzy nim a jego panną Ewelina jest większa przepaść aniżeli między ziemią i słońcem? Co się tu dziwić szaleństwu ludzi, jeżeli w ten sam sposób szaleją światy...”

Tymczasem pociąg szedł wciąż z wolna, długo zatrzymując się na stacjach. Powietrze zrobiło się chłodne, na wschodzie zaczęły blednąć gwiazdy. Wokulski zamknął okno i legł na bujającej kanapie.

„Jeżeli – myślał – młoda kobieta mogła zakochać się w baronie, to dlaczegoż bym ja... Bo przecież go nie oszukuje... Kobiety są w ogóle szlachetniejsze od nas... mniej kłamią...”

– Proszę pana, tu panowie wysiadają... Pan baron już pije herbatę.

Wokulski ocknął się, nad nim stał konduktor i budził go w najuprzejmiejszy sposób.

– Jak to, już dzień? – spytał zdziwiony.

– O, już jest dziewiąta i od pół godziny stoimy na stacji. Nie budziłem pana, bo pan baron nie kazał, ale że pociąg zaraz idzie dalej...

Wokulski szybko wysiadł. Stacja była nowa, jeszcze niezupełnie wykończona. Pomimo to dano mu wody do umycia się i oczyszczono odzież. Rozbudził się już zupełnie i wszedł do małego bufetu, gdzie rozpromieniony baron pił trzecią szklanekę herbaty.

– Dzień dobry! – zawołał baron, z familiarną poufałością ściskając Wokulskiego za rękę. – Panie gospodarzu, herbaty dla pana... Ładny dzień, prawda, akurat do spaceru końmi. Ale też zrobili nam figła!

– Cóż się stało?

– Musimy czekać na konie – prawił baron. – Całe szczęście, że o drugiej w nocy pchnąłem depeszę o pańskim przyjeździe. Bo onegdaj także wysłałem do prezesowej depeszę z Warszawy, ale mówi mi zawiadowca, że m się omylił i zamówiłem konie na jutro. Szczęście, panie, że m telegrafowałem dziś z drogi. O trzeciej posłali stąd sztafetę, o szóstej prezesowa odebrała telegram, o ósmej najpóźniej wysłano konie. Poczekamy jeszcze z godzinę, ale za to lepiej pozna pan okolicę. Bardzo, panie, ładna miejscowość.

Po śniadaniu wyszli na peron. Okolica z tego punktu wydawała się płaska i prawie bezleśna; tu i owdzie widać było kępę drzew, a wśród niej grupę murowanych budynków.

– To są dwory? – spytał Wokulski.

– A tak... dużo szlachty mieszka w tej stronie. Ziemia doskonale uprawna; ma pan łąbin, koniczynę...

– Wsi nie widzę – wtrącił Wokulski.

– Bo to dworskie grunta, a pan zna przysłowie: Na dworskim polu dużo stert, na chłopskim dużo ludzi.

– Słyszałem – rzekł nagle Wokulski – że u prezesowej zbiera się dużo gości.

– Ach, panie! – zawołał baron – kiedy trafi się dobra niedziela, to jakbyś pan był na balu w resursie: zjeżdża się po kilkadziesiąt osób. A nawet dziś powinniśmy znaleźć grono stałych gości. No, przede wszystkim bawi tam moja narzeczona. Dalej – jest pani Wąsowska, milutka wdóweczka, lat trzydzieści, ogromny majątek. Zdaje mi się, że krąży około niej Starski. Zna pan Starskiego?... Niemiła figura: arogant, panie, impertynent... Dziwię się, doprawdy, że kobieta z takim rozumem i gustem jak pani Wąsowska może znajdować przyjemność w towarzystwie podobnego lekkoducha.

– Któż więcej? – pytał Wokulski.

– Jest jeszcze Fela Janocka, stryjeczna siostra mojej pani; bardzo miłe dziecko, ma z osiemnaście lat. No, jest Ochocki...

– Jest?... Cóż on tam robi?

– Kiedym wyjeżdżał, po całych dniach łowił ryby. Ale ponieważ gust zmienia mu się często, więc nie jestem pewny, czy nie zobaczę go teraz jako myśliwca... Ale cóż to za szlachetny młody człowiek, co za wiedza!... No i zasługi już ma; zrobił kilka wynalazków.

– Tak, to niepospolity człowiek – rzekł Wokulski. – Któż jeszcze bawi u prezesowej?...

– Stale to już nikt, ale bardzo często przyjeżdżają na kilka dni, czasem na tydzień, pan Łęcki z córką. Dystyngowana osoba – mówił dalej baron – pełna rzadkich przymiotów. Pan wreszcie ich zna? Szczęśliwy ten, komu odda serce i rękę! Co to, panie, za wdzięk, co za rozum; doprawdy, czcić ją można jak istną boginię... Nie znajduje pan?

Wokulski oglądał się po okolicy nie mogąc zdobyć się na odpowiedź. Szczęściem, wybiegł w tej chwili posługacz stacyjny donosząc baronowi, że zajechał powóz.

– Wybornie! – zawołał baron i dał mu parę złotych. – Odnieś, kochanku, nasze rzeczy, a my, panie, jedźmy... Za dwie godziny pozna pan moją narzeczoną...

## V. Wiejskie rozrywki

Z kwadrans upłynął, zanim upakowano rzeczy w powozie. Nareszcie Wokulski i baron usiedli, furman w piaskowej liberii<sup>192</sup> machnął batem w powietrzu i para dzielnych siwych koni ruszyła wolnym kłusem.

– O, panią Wąsowską rekomenduję panu – mówił baron. – Brylant, nie kobieta, a jaka oryginalna!... Ani myśli iść drugi raz za męża, choć lubi pasjami, ażeby ją otaczano. Trudno jej, panie, nie uwielbiać, a uwielbiać rzecz niebezpieczna. Starskiemu płaci dzisiaj za wszystkie jego bałamuctwa. Pan zna Starskiego?

– Widziałem go raz...

– Dystyngowany człowiek, ale nieprzyjemny – mówił baron – antypatia mojej narzeczonej. Tak działa jej na nerwy, że biedaczka traci humor w jego towarzystwie. I nie dziwię się, bo to są wprost przeciwne natury: ona poważna – on letkiewicz<sup>193</sup>, ona uczuciowa, nawet sentymentalna – on cynik.

Wokulski słuchając gawędy barona oglądał się po okolicy, która powoli zmieniała fizjognomię. W pół godziny za stacją ukazały się na widnokręgu lasy, bliżej wzgórza; droga wiła się między nimi, wbiegała na ich szczyty lub spadała na dół.

Na jednym z takich wzniesień furman zwrócił się do nich i

---

<sup>192</sup> *liberia* – oficjalny ubiór służby. Pierwotnie był to oficjalny strój noszony przez służących królewskich. [przypis edytorski]

<sup>193</sup> *letkiewicz* – człowiek lekkomyślny. [przypis edytorski]

wskazując batem przed siebie rzekł:

– O, państwo tam jadą brekiem<sup>194</sup>.

– Gdzie? kto? – zawołał baron, prawie wspinając się na kozioł.

– A tak, to oni... Żółty brek i gniada czwórka... Ciekawym, kto jedzie? Niech no pan spojrzy...

– Zdaje mi się, że widzę coś paśowego – odparł Wokulski.

– A, to pani Wąsowska. Ciekawym, czy jest i moja narieczona?... – dodał ciszej.

– Jest kilka pań – rzekł Wokulski, któremu w tej chwili przypomniła się panna Izabela. „Jeżeli jedzie z nimi, to dobra wróżba” – pomyślał.

Oba ekwipaże<sup>195</sup> szybko zbliżały się do siebie. Na breku gwałtownie strzelano z bata, wołano, wywijano chustkami, w powozie zaś baron coraz wychylał się i drżał ze wzruszenia.

Powóz stanął, ale rozpędzony brek przeleciał około niego jak burza śmiechów i okrzyków i zatrzymał się o kilkadziesiąt kroków dalej. Widocznie naradzano się nad czymś w sposób hałaśliwy i zapewne coś uradzono, gdyż towarzystwo wysiadło, a brek pojechał dalej.

– Dzień dobry, panie Wokulski! – zawołał z kozła ktoś wywijając długim batem. Wokulski poznał Ochockiego.

Baron pobiegł w stronę towarzystwa. Naprzeciw wysunęła się dama w białej narzutce, z białą koronkową parasolką i szła

---

<sup>194</sup> *brek* – powóz odkryty, z ławkami umieszczonymi naprzeciwko siebie, wzdłuż pojazdu. [przypis redakcyjny]

<sup>195</sup> *ekwipaż* – rodzaj luksusowego powozu konnego. [przypis edytorski]

powoli z wyciągniętą do niego ręką, z której zdawał się opadać szeroki rękaw. Baron już z daleka zdjął kapelusz i dopadłszy narzeczonej, prawie zanurzył się w jej rękawie. Po wybuchu czułości, który o ile był krótkim dla niego, o tyle wydał się bardzo długim dla widzów, baron nagle oprzytomniał i rzekł:

– Pozwoli pani, że przedstawię pana Wokulskiego, mego najlepszego przyjaciela... Ponieważ zabawi tu dłużej, więc w tej chwili obliguję<sup>196</sup>, ażeby w czasie mojej nieobecności zastępował przy pani moje miejsce...

Znowu złożył kilka pocałunków w głąb rękawa, skąd do Wokulskiego wysunęła się prześliczna ręka. Wokulski uścisnął ją i poczuł lodowaty chłód; spojrzawszy na damę w białej narzutce i zobaczywszy pobladłą twarz z wielkimi oczyma, w których widać było smutek i obawę.

„Szczególna narzeczonka!” – pomyślał.

– Pan Wokulski!... – zawołał baron zwróciwszy się do dwu pań i mężczyzny, którzy już zbliżyli się do nich. – Pan Starski... – dodał.

– Już miałem przyjemność... – odezwał się Starski uchylając kapelusz.

– I ja – odparł Wokulski.

– Jakże teraz usadowimy się? – spytał baron na widok nadjeżdżającego breku.

– Jedźmy wszyscy razem! – zawołała młoda blondynka, w której Wokulski domyślił się panny Felicji Janockiej.

---

<sup>196</sup> *obligować* – zobowiązywać. [przypis redakcyjny]

– Bo w naszym powozie są dwa miejsca... – słodko zauważył baron.

– Rozumiem, ale nic z tego – odezwała się pięknym kontraltem dama w pąsowej sukni. – Narzeczeni pojedą z nami, a do powozu niech siądą, jeżeli chcą, pan Ochocki z panem Starskim.

– Dlaczego ja? – zawołał z wysokości kozła Ochocki.

– Albo ja? – dodał Starski.

– Bo pan Ochocki źle powozi, a pan Starski jest niezdolny – odpowiedziała rezolutna wdówka.

Teraz Wokulski spostrzegł, że dama ta ma pyszne kasztanowate włosy i czarne oczy, a całą fizjognomię wesołą i energiczną.

– Już mi pani daje dymisję! – westchnął komicznie Starski.

– Pan wie, że ja zawsze daję dymisję wielbicielom, którzy mnie nudzą. No, ale siadajmy, moi państwo. Narzeczeni naprzód. Fela obok Ewelinki.

– O nie! – zaprotestowała blondynka. – Siądę na końcu, bo babcia nie pozwala mi siadać przy narzeczonych.

Baron z większą elegancją aniżeli zręcznością podsadził narzeczoną i sam usiadł naprzeciw niej. Potem wdówka zajęła miejsce obok barona, Starski obok narzeczonej, a panna Felicja obok Starskiego.

– Prosimy – odezwała się wdówka do Wokulskiego zbierając w fałdy swoją pąsową suknię, która rozesała się na połowie ławki.

Wokulski usiadł naprzeciw panny Felicji i spostrzegł, że dziewczynka patrzy na niego z pełnym zachwytem podziwem, rumieniając się co chwilę.

– Czy nie moglibyśmy prosić pana Ochockiego, ażeby lejce oddał stangretowi? – rzekła wdówka.

– Moja pani, cóż mi pani wiecznie robi jakieś awantury! – oburzył się Ochocki. – Właśnie, że ja będę powoził.

– Więc daję słowo honoru, że wybiję pana, jeżeli nas wywrócisz.

– To się jeszcze pokaże – odparł Ochocki.

– Słyszeliście państwo, ten człowiek mi grozi! – zawołała wdówka. – Czy nie ma tu nikogo, który by się za mną ujął?

– Ja panią pomszczę – wtrącił Starski dość lichą polszczyzną.

– Przesiadźmy się we dwoje do tamtego powozu.

Piękna wdowa wzruszyła ramionami, baron znowu całował rączki swojej narzeczonej, która uśmiechając się rozmawiała z nim półgłosem, ale ani na chwilę nie straciła wyrazu smutku i obawy.

Podczas gdy Starski przekomarzał się z wdową, a panna Felicja rumieniła się, Wokulski patrzył na narzeczoną. Spostrzegła to, odpowiedziała mu pogardliwym wejrzeniem i nagle z bezbrzeżnego smutku przeszła do dziecinnej wesołości. Sama podała rękę baronowi do nowego pocałunku, a nawet niechcący potrafiła go nóżką. Jej wielbiciel był tak wzruszony, że pobladł i posiniały mu usta.

– Ależ pan nie ma idei o powożeniu! – krzyknęła wdowa

usiłując potrafić Ochockiego drutem parasolki.

W tej chwili Wokulski wyskoczył. Jednocześnie konie lejcowe<sup>197</sup> skręciły na środek drogi, dyszlowe<sup>198</sup> poszły za nimi i brek silnie pochylił się na lewo. Wokulski podparł go, konie, ściągnięte przez stangreta, stanęły.

– Czy nie mówiłam, że ten potwór wywróci nas! – zawołała wdowa. – Cóż to znowu, panie Starski?...

Wokulski spojrział na brek i w ciągu jednej chwili zobaczył taką scenę: panna Felicja pokładała się ze śmiechu, Starski upadł twarzą na kolana pięknej wdówki, baron tarmosił za kark stangreta, a jego narzeczona, blada z trwogi, jedną ręką chwyciła za pręt kozła, drugą wpiła w ramię Starskiego.

Mgnienie oka – brek wyprostował się i wszystko wróciło do porządku. Tylko panna Felicja zanosila się od śmiechu.

– Nie rozumiem, Felu, jak można śmiać się w takiej chwili – odezwała się narzeczona.

– Dlaczego nie mam się śmiać?... Cóż mogło stać się złego?... Przecież jedzie z nami pan Wokulski... – mówiła panienka. Spostrzegła się jednak i zarumieniona bardziej niż kiedykolwiek, naprzód ukryła twarz w dłonie, a potem spojrzała na Wokulskiego w sposób, który miał oznaczać, że jest bardzo obrażona.

---

<sup>197</sup> *konie lejcowe* – chodzące w lejcach, przed końmi dyszłowymi albo obok nich. [przypis redakcyjny]

<sup>198</sup> *konie dyszlowe* – zaprzężone do dyszła. [przypis redakcyjny]

– Co do mnie, gotów jestem zaabonować<sup>199</sup> kilka podobnych wypadków – odezwał się Starski, wymownie patrząc na wdówkę.

– Pod warunkiem, że ja będę zabezpieczona od dowodów pańskiej tkliwości. Felu, usiądź na moim miejscu – odpowiedziała wdowa marszcząc się i siadając naprzeciw Wokulskiego.

– Cóż znowu, sama pani dziś powiedziała, że wdowom wszystko wolno.

– Ale wdowy nie na wszystko pozwalają. Nie, panie Starski, pan musi oduczyć się swoich japońskich zwyczajów.

– To są zwyczaje wszechświatowe – odparł Starski.

– W każdym razie nie z tej połowy świata, do której ja przywykłam – odcięta wdówka krzywiąc się i patrząc na drogę.

W breku zrobiło się cicho. Baron z zadowoleniem poruszał szpakowatymi wąsikami, a jego narzeczona posmutniała jeszcze bardziej. Panna Felicja, zajmwszy miejsce wdówki obok Wokulskiego, odwróciła się do swego sąsiada prawie tyłem, od czasu do czasu rzucając mu przez ramię pogardliwe i melancholijne spojrzenia. Ale za co? tego nie wiedział.

– Pan dobrze jeździ konno? – zapytała Wokulskiego pani Wąsowska.

– Z czego pani wnosi?

– Ach, Boże! zaraz z czego? Pierwej niech pan odpowie na moje pytanie.

– Nieszczególnie, ale jeżdżę.

---

<sup>199</sup> *zaabonować* – zamówić. [przypis redakcyjny]

– Właśnie że musi pan dobrze jeździć, gdyż od razu zgadł pan, co zrobią konie w rękach takiego mistrza jak pan Julian. Będziemy jeździli razem... Panie Ochocki, od dzisiejszego dnia dają panu urlop ze spacerów.

– Bardzo się z tego cieszę – odparł Ochocki.

– A, ładnie w taki sposób odpowiadać damom! – zawołała panna Felcia.

– Wolę odpowiadać aniżeli odbywać z nimi spacer. Kiedyśmy ostatni raz jeździli z panią Wąsowską, w ciągu dwu godzin sześć razy zsiadałem z konia, a pięciu minut nie miałem spokoju. Niech teraz pan Wokulski spróbuje.

– Felu, powiedz temu człowiekowi, że z nim nie rozmawiam – odezwała się wdówka wskazując na Ochockiego.

– Człowieku, człowieku!... – zawołała Felcia. – Ta pani z wami nie rozmawia... Ta pani mówi, że jesteście ordynarni.

– A co, już zatęskniła pani do towarzystwa ludzi z dobrymi manierami – odezwał się Starski. – Niech pani spróbuje, może dam się przeprosić.

– Dawno pan wyjechał z Paryża? – zapytała wdówka Wokulskiego.

– Jutro będzie tydzień.

– A ja już nie widziałam go cztery miesiące. Kochane miasto...

– Zastawek!<sup>200</sup>... – krzyknął Ochocki i zamachnął batem do ogromnego wystrzału, który mu się jednak nie udał, ponieważ

---

<sup>200</sup> *Zastawek* – nazwa fikcyjna. [przypis redakcyjny]

bicz niezbyt szczęśliwie rzucony w tył, zaplątał się między parasolki dam i kapelusze panów.

– Nie, moi państwo – zawołała wdówka – jeżeli chcecie mnie miewać na przejażdżkach, to wiaźcie tego człowieka. On jest po prostu niebezpieczny...

Na breku znowu wszczął się hałas, ponieważ Ochocki miał swoje stronnictwo w osobie panny Felicji, która utrzymywała, że jak na początkującego, dobrze powozi i że najwytrawniejszym furmanom zdarzają się wypadki.

– Moja Felciu – odparła wdówka – jesteś w tym wieku, że u ciebie każdy będzie dobrym furmanem, kto ma ładne oczy.

– Dopiero dziś będę miał dobry apetyt... – mówił baron do swej narzeczonej, lecz spostrzegłszy, że mówi za głośno, począł znowu szeptać.

Znajdowali się już na terytorium należącym do prezesowej i właśnie Wokulski przypatrywał się rezydencji. Na dość wysokim, choć łagodnym wzgórzu wznosił się piętrowy pałac z dwoma parterowymi skrzydłami. Za nim zieleniły się stare drzewa parku, przed nim rozścielała się jakby wielka łąka, poprzecinana ścieżkami, tu i owdzie ozdobiona klombem, posągami albo altanką. U stóp wzgórza połyskiwała obszerna płachta wody, oczywiście sadzawka, na której kołysały się łódki i łabędzie.

Na tle zieloności pałac jasnożółtej barwy z białymi słupami wyglądał okazale i wesoło. Na prawo i na lewo od niego widać było między drzewami murowane budynki gospodarskie.

Przy odgłosie wystrzałów z bata, które tym razem udawały się Ochockiemu, brek po marmurowym moście zajechał przed pałac zawadziwszy tylko jednym kołem o trawnik. Podróżni wysiedli, Ochocki jednak nie oddał lejców, lecz jeszcze doprowadził ekwipaż do stajni.

– A niech pan pamięta, że o pierwszej śniadanie! – zawołała panna Felicja.

Do barona zbliżył się stary służący w czarnym surducie.

– Jaśnie pani – rzekł – jest teraz w spiżarni. Może panowie pozwolą do siebie.

I zaprowadziwszy ich do prawej oficyny wskazał Wokulskiemu obszerny pokój, którego otwarte okna wychodziły do parku. Po chwili wbiegł chłopiec w liberyjnej kurtce, przyniósł wody i zajął się rozpakowaniem walizy.

Wokulski wyjrzał oknem. Przed nim rozciągał się trawnik ozdobiony kępami starych świerków, modrzewi, lip, poza którymi daleko było widać lesiste wzgórza. Tuż przy oknie stał krzak bzu, a w nim gniazdo, do którego zlatywały się wróble. Ciepły wiatr wrześniowy co chwilę wpadał do pokoju siejąc w nim niepochwytne wonie.

Gość patrzył na obłoki, jakby dotykające wierzchołków drzew, na snopy światła, które przepływały między ciemnymi gałęzmi świerków, i było mu dobrze. Nie myślał o panie Izabeli. Jej wizerunek, pałący mu duszę, rozviał się wobec prostych powabów natury; chore serce umilkło i pierwszy raz od dawna zaległy w nim ukojenie i cisza.

Przypomniawszy jednak sobie, że jest tu z wizytą, szybko począł się ubierać. Ledwie skończył, delikatnie zapukano do drzwi i wszedł stary służący.

– Jaśnie pani prosi do stołu.

Wokulski udał się za nim... Minął korytarz i po chwili znalazł się w obszernym pokoju jadalnym, którego ściany do połowy były przysłonięte taflami z ciemnego drzewa. Panna Felicja rozmawiała w oknie z Ochockim, przy stole zaś między panią Wąsowską i baronem siedziała prezesowa na fotelu z wysoką poręczą.

Zobaczywszy swego gościa wstała i wyszła parę kroków naprzód.

– Witam cię, panie Stanisławie – rzekła – i dziękuję, żeś posłuchał mojej prośby.

Gdy zaś Wokulski pochylił się do jej ręki, pocałowała go w czoło, co na obecnych zrobiło pewne wrażenie.

– Siadajże o tu, koło Kazi. A ty, proszę cię, pamiętaj o nim.

– Pan Wokulski zasługuje na to – odparła wdówka. – Gdyby nie jego przytomność, pan Ochocki połamałby nam kości.

– Cóż znowu?...

– Nie umie powozić nawet parą koni, a rwie się do czwórki. Już wołałam go, kiedy sobie po całych dniach łapał ryby.

– Boże! jakie szczęście, że nie ożenię się z tą kobietą – westchnął Ochocki, serdecznie witając Wokulskiego.

– O, panie, panie!... Tylko jeżeli ofiarujesz mi się na męża, to lepiej zostań furmanem – zawołała pani Wąsowską.

– Ci zawsze kłóć się! – rzekła ze śmiechem prezesowa.

Weszła panna Ewelina Janocka, a w parę minut po niej, drugimi drzwiami, Starski.

Powitali prezesową, która odpowiedziała im życzliwie, lecz z powagą.

Podano śniadanie.

– U nas, panie Stanisławie – mówiła prezesowa – jest taki zwyczaj, że schodzimy się wszyscy obowiązkowo tylko do stołu. Poza tym każdy robi, co mu się podoba. Radzę ci więc, jeżeli boisz się nudów, pilnować się Kazi Wąsowskiej.

– Ja też od razu biorę do niewoli pana Wokulskiego – odparła wdówka.

– Och!... – szepnęła prezesowa spojrzawszy przelotnie na gościa.

Panna Felicja zarumieniła się, nie wiadomo który już raz dzisiaj, i kazała Ochockiemu, ażeby nalał jej wina.

– Nie, nie... proszę wody – poprawiła się.

Ochocki spełnił zlecenie trzęsąc przy tym głową i rozkładając ręce w sposób desperacki.

Po śniadaniu, w ciągu którego panna Ewelina rozmawiała tylko z baronem, a Starski umizgał się do czarnookiej wdowy, goście pożegnawszy gospodynię rozeszli się. Ochocki poszedł na strych pałacu, gdzie w pokoiku, świeżo na ten cel zbudowanym, urządził obserwatorium meteorologiczne, baron z narzeczoną wybrali się do parku, a prezesowa zatrzymała Wokulskiego.

– Powiedźże mi – rzekła – bo to pierwsze wrażenia bywają

najtrafniejsze, jak ci się podoba pani Wąsowską?

– Wygląda na dzielną i wesołą kobietę.

– Masz rację. A baron?

– Mało go znam. To stary człowiek.

– O stary, bardzo stary – westchnęła prezesowa – a pomimo to chce mu się żenić. A co powiesz o jego narzeczonej?

– Wcale jej nie znam, chociaż dziwi mnie, że upodobała sobie barona, który zresztą może być najzacniejszym człowiekiem.

– Tak, to jest dziwna dziewczyna – mówiła prezesowa – i powiem ci, że zaczynam tracić dla niej serce. Do jej małżeństwa nie mieszam się, skoro niejedna panna jej zazdrości, a wszyscy mówią, że robi świetną partię. Ale to, co miała dostać po mojej śmierci, przejdzie na innych. Kto ma krocie barona, nie potrzebuje moich dwudziestu tysięcy.

Czuć było rozdrażnienie w głosie staruszki.

Niebawem pożegnała Wokulskiego radząc mu przejść się po parku.

Wokulski wyszedł na dziedziniec i około lewej oficyny, gdzie była kuchnia, skręcił do parku.

Później bardzo często przychodziły mu na myśl dwa najpierwsze spostrzeżenia, jakie zrobił w Zasławku.

Przede wszystkim niedaleko kuchni zobaczył budę, a przed nią na łańcuchu psa, który spostrzegłszy obcego począł tak szczekać, wyć i rzucać się, jakby dostał wścieklizny. Widząc, że mimo to pies ma wesołe oczy i kręci ogonem, Wokulski pogłaskał go, co okrutnego zwierza wprowadziło w taki humor, że

nie pozwolił gościowi odejść od siebie. Wył, chwycił za ubranie, kładł się na ziemi, jakby domagając się pieszczot, a przynajmniej widoku ludzkiej twarzy.

„Dziwny pies łańcuchowy!” – pomyślał Wokulski.

W tej chwili z kuchni wyszło nowe dziwo: stary parobek otyły. Wokulski, który jeszcze nigdy nie spotkał otyłego chłopca, wdał się z nim w rozmowę.

– Po co wy tego psa trzymacie na łańcuchu?

– Ażeby był zły i nie puszczał do domu złodziejów – odparł uśmiechając się parobek.

– Więc dlaczegoż od razu nie weźmiecie złego kundla?

– Kiej dziedziczka nie utrzymałaby złego psa. U nas to i pies musi być łaskawy.

– A wy, ojczy, co tu robicie?

– Jo jestem pasiecznik, ale przody byłem rataj<sup>201</sup>. Ino jak mi wół złamał zióbro, to mi jaśnie pani kazała do pasieki.

– I dobrze wam?

– Z początku to ckliło mi się<sup>202</sup> bez roboty, ale późni przywykem i jestem.

Pożegnawszy chłopca Wokulski skręcił do parku i długi czas przechadzał się po lipowej alei nie myśląc o niczym. Zdawało mu się, że przyjechał tu nasycony, zatruty zgiełkiem Paryża, hałasem Warszawy, dudnieniem kolei żelaznych i że wszystkie te niepokoje, wszystkie boleści, jakie przeżył, w tej chwili parują

---

<sup>201</sup> *rataj* – rolnik, tu: parobek od wołów. [przypis redakcyjny]

<sup>202</sup> *ckliło się* (gwar.) – nudziło się, przykryło się. [przypis redakcyjny]

z niego. Gdyby go zapytano: czym jest wieś? odpowiedziałby, że jest ciszą.

Wtem usłyszał szybki bieg za sobą. Gonił go Ochocki niosąc na ramieniu dwie wędki.

– Nie było tu panny Felicji? – zapytał. – Miała przyjść o wpół do trzeciej i iść ze mną na ryby... Ale taka to babska punktualność. Może pan pójdzie z nami? Nie ma pan ochoty. To może pan woli grać ze Starskim w pikietę?... Do tego on zawsze gotów, wyjąwszy, jeżeli znajdzie komplet do preferansa.

– Cóż tu robi ten pan Starski?

– Jakże co? Mieszka u swojej ciotecznej babki a razem chrzestnej matki, prezesowej Zasławskiej, i jak teraz, martwi się, że zapewne nie odziedziczy po niej majątku. Ładny grosz, ze trzysta tysięcy rubli!... Ale prezesowa uważa, że lepiej wesprzeć nim podrzutków aniżeli kasę w Monako<sup>203</sup>. Biedny chłopak!

– Cóż mu złego?

– Ale ba!... Po babci urwało się, z Kazią zerwało się i choć w łeb sobie strzel.

Wiedz pan – ciągnął Ochocki majstrując coś około wędek – że kiedyś obecna pani Wąsowska, jeszcze jako panna, miała słabość do Starskiego. Kazio i Kazia, jaka dobrana para, co?... Zdaje się, że nawet pod wpływem tej idei pani Kazia zjechała do nas przed trzema tygodniami (a ma także grosz po nieboszczyku, bodaj czy nie tyle, co prezesowa!). Byli nawet ze sobą kilka

---

<sup>203</sup> Monako – małe księstwo nad Morzem Śródziemnym. W jego największym mieście, Monte Carlo, znajduje się słynne kasyno gry. [przypis redakcyjny]

dni dobrze i nawet Kazio na rachunek posagu zrealizował nowy weksel<sup>204</sup> u pachciarza<sup>205</sup>, gdy wtem... coś się zepsuło... Pani Wąsowska po prostu kpi sobie z Kazia, a on tylko udaje dobrą minę. Słowem kiepsko! Trzeba będzie wyrzec się podróży i osiaść na piaszczystym folwarczku, dopóki nie umrze stryjcio, co prawda już dawno chory na kamień.

– Ale co dotychczas robił pan Starski?

– No, przede wszystkim robił długi. Trochę grał, trochę podróżował (zdaje mi się jednak, że głównie po paryskich i londyńskich knajpach, bo w te jego Chiny wierzyć mi się nie chce), ale specjalnie trudnił się bałamuceniem młodych mężatek. W tym to on mistrz i już ma tak ustaloną reputację, że mężatki wcale mu się nie opierają, a panny wierzą, że do której zacznie się umizgać Starski, natychmiast dostanie męża. Takie dobre zajęcie jak każde inne!...

„Zapewne – szepnął Wokulski, już nieco spokojniejszy o rywala. – Ten nie zbałamuci panny Izabeli.”

Dochodzili do końca parku, poza sztachetami którego widać było szereg murowanych budynków.

– O, ma pan, jaka to oryginalna kobieta z tej prezesowej! – rzekł Ochocki wskazując na sztachety. – Widzi pan te pałace? ... To wszystko czwórniaki<sup>206</sup>, mieszkania parobków. A tamten

---

<sup>204</sup> *zrealizować weksel* – zamienić weksel (dokument kredytowy) na gotówkę. [przypis redakcyjny]

<sup>205</sup> *pachciarz* – dzierżawca, arendarz. [przypis redakcyjny]

<sup>206</sup> *czwórniaki* albo *czworaki* – budynki podzielone na cztery izby, dla czterech rodzin

dom – to ochrona dla parobcząt; bawi się ich ze trzydzieści sztuk, wszystkie umyte i oblatane jak książątka... A ta znowu willa to przytułek dla starców, których w tej chwili jest czworo; uprzyjemniają sobie wakacje czyszcząc włosień na materace do gościnnych pokojów. Tułałem się po rozmaitych okolicach kraju i wszędzie widziałem, że parobcy mieszkają jak świnie, a ich dzieci harczą po błocie jak prosięta... Ale kiedy tu pierwszy raz zajechał, przetarłem oczy. Zdawało mi się, że jestem na wyspie Utopii<sup>207</sup> albo na kartce nudnego a cnotliwego romansu<sup>208</sup>, w którym autor opisuje, jakimi szlachcice być powinni, lecz jakimi nigdy nie będą. Imponuje mi ta staruszka... A gdybyś pan jeszcze wiedział, jaką ona ma bibliotekę, co czyta... Zgłupiałem, kiedy raz zażądała, abym jej objaśnił pewne punkta transformizmu<sup>209</sup>, którym dlatego tylko brzydzi się, że uznał walkę o byt za fundamentalne prawo natury.

Na końcu alei ukazała się panna Felicja.

– Cóż, idziemy, panie Julianie? – zapytała Ochockiego.

– Idziemy i pan Wokulski z nami.

– Aaa?... – zdziwiła się panienska.

– Pani nie życzy sobie? – spytał Wokulski.

---

parobków służących we dworze. [przypis redakcyjny]

<sup>207</sup> *Utopia* (z greckiego „kraj nigdzie”) – fantastyczna wyspa o idealnym ustroju społecznym, opartym na komunizmie, w utworze Tomasza Morusa (1478–1535) pod tym tytułem (1516). [przypis redakcyjny]

<sup>208</sup> *nudny a cnotliwy romans...* – taką powieścią dydaktyczną jest np. *Pan Podstoli* Ignacego Krasickiego (1735–1801). [przypis redakcyjny]

<sup>209</sup> *transformizm* – darwinowska teoria ewolucji. [przypis redakcyjny]

– Owszem, ale... myślałam, że panu będzie przyjemniej w towarzystwie pani Wąsowskiej.

– Moja panno Felicjo! – zawołał Ochocki – tylko proszę nie bawić się w uszczypliwość, bo się to pani nie udaje.

Obrażona panna poszła naprzód w stronę sadzawki, panowie za nią. Łowili ryby do piątej wieczorem, na spiekocie, gdyż dzień był gorący. Ochocki złapał dwucalowego kielbisa, a panna Felicja oberwała sobie koronkę u rękawa. Skutkiem czego wybuchnął między nimi spór o to, że młode panny nie mają pojęcia o trzymaniu wędki, a panowie nie mogą jednej chwili usiedzieć bez gadania.

Pogodził ich dopiero dzwonek wzywający na obiad.

Po obiedzie baron oddalił się do swego pokoju (o tej godzinie zawsze chorował na migrenę), reszta zaś towarzystwa miała zebrać się w parku, w altanie, gdzie zwykle jadano owoce.

Wokulski przyszedł tam w pół godziny. Myślał, że będzie pierwszy, tymczasem zastał już wszystkie panie, którym Starski coś wykładał. Siedział rozparty na brzozowym fotelu i mówił z miną znudzoną, uderzając szpicróżgą w koniec buta:

– Jeżeli w historii odegrały jakąś rolę małżeństwa, to bynajmniej nie te ze skłonności, ale te z rozsądku. Co wiedzielibyśmy dziś o Jadwidze albo o Marii Leszczyńskiej<sup>210</sup>, gdyby panie te nie umiały zdecydować się na rozsądny wybór?

---

<sup>210</sup> Maria Leszczyńska (1703–1768) – córka króla polskiego Stanisława Leszczyńskiego, żona króla francuskiego Ludwika XV. [przypis redakcyjny]

Czym byłby Stefan Batory<sup>211</sup> albo Napoleon I<sup>212</sup>, gdyby nie pożenili się z kobietami mającymi wpływy? Małżeństwo jest zbyt doniosłym aktem, ażeby przystępując do niego można było radzić się tylko serca. To nie jest poetyczny związek dwu dusz, to jest ważny wypadek dla mnóstwa osób i interesów. Niech ja dziś ożenię się z pokojówką, choćby z guwernantką, a już jutro będę zgubiony w mojej sferze. Nikt mnie nie zapyta: jaka była temperatura moich uczuć? ale – jakie mam dochody na utrzymanie domu i kogo wprowadzam do rodziny?

– Co innego małżeństwa polityczne, a co innego małżeństwa dla pieniędzy z człowiekiem, którego się nie kocha – odpowiedziała prezesowa patrząc w ziemię i bębniąc palcami po stole. – To gwałt zadany najświętszym uczuciom.

– Ach, kochana babciu – odparł Starski z westchnieniem – łatwo to mówić o swobodzie uczuć, kiedy się ma dwadzieścia tysięcy rubli rocznie. „Podły pieniądz! brzydki pieniądz!” – wołają wszyscy. Ale dlaczegóż to wszyscy, począwszy od parobka, skończywszy na ministrze, krępują swoją wolność pracą obowiązkową? Za co górnik i marynarz narażają życie? Naturalnie, za ów podły pieniądz, bo podły pieniądz daje swobodę choć przez parę godzin na dzień, choć przez parę miesięcy na rok, choć przez kilka lat w życiu. Wszyscy obłudnie

---

<sup>211</sup> Stefan Batory – książę siedmiogrodzki, ożenił się w 1576 r. z księżniczką Anną Jagiellonką dla uzyskania tronu polskiego. [przypis redakcyjny]

<sup>212</sup> Napoleon I – wówczas gen. Bonaparte, po raz pierwszy ożenił się w 1796 r. z wicehrabiną Józefiną de Beauharnais (1763–1814), której wpływy ułatwiły mu karierę. [przypis redakcyjny]

gardzimy pieniędzmi, lecz każdy z nas wie, że jest to mierzwa, z której wyrasta wolność osobista, nauka, sztuka, nawet idealna miłość. Gdzież to wreszcie urodziła się miłość rycerzy i trubadurów? Z pewnością nie między szewcami i kowalami, a nawet nie między doktorami i adwokatami. Wypielegnowały ją klasy majątne, które utworzyły kobietę z delikatną cerą i białą ręką, które wydały mężczyznę mającego dosyć czasu na ubóstwianie kobiety.

Jest tu wreszcie między nami przedstawiciel ludzi czynu, pan Wokulski, który, jak mówi sama babcia, niejednokrotnie złożył dowody bohaterstwa. Co go ciągnęło do niebezpieczeństw?... Naturalnie pieniądz, który dziś w jego ręku jest potęgą...

Zrobiło się cicho, wszystkie panie spojrzały na Wokulskiego. Ten odparł po chwili milczenia:

– Tak, ma pan rację, zdobyłem mój majątek wśród ciężkich przygód, ale czy pan wie, dlaczego go zdobywałem?...

– Za pozwoleniem – przerwał Starski – nie robię panu zarzutu, tylko owszem, uważam to za chlubny przykład dla wszystkich. Skądże pan jednak wie, czy człowiek, który żeni się lub wychodzi za mąż dla pieniędzy, nie ma również na widoku szlachetnych celów? Moi rodzice podobno pobrali się z czystej miłości; jednak przez całe życie nie byli szczęśliwi, a o mnie, owocu ich uczuć, to już nie ma co mówić... Tymczasem moja czcigodna babka, tu obecna, wyszła za mąż wbrew skłonności i dziś jest błogosławieństwem całej okolicy. Nawet lepiej – dodał całując prezesowę w rękę – gdyż poprawia błędy moich

rodziców, którzy tak byli zajęci miłością, że zapomnieli o majątku dla mnie...

Zresztą – mamy drugi dowód w osobie uroczej pani Wąsowskiej...

– O, mój panie – przerwała zarumieniona wdowa – mówisz tak, jakbyś był prokuratorem sądu ostatecznego. Ja także odpowiem jak pan Wokulski: czy wiesz, dlaczego to zrobiła?

...

– Ale pani to zrobiła i babcia to zrobiła, i my wszyscy to samo zrobimy – mówił z ironicznym chłodem Starski. – Wyjąwszy, rozumie się, pana Wokulskiego, który ma akurat tyle pieniędzy, ile ich potrzeba dla pofolgowania uczuciom...

– I ja tak samo zrobiłem – odezwał się stłumionym głosem Wokulski.

– Ożenił się pan dla majątku? – spytała wdówka szeroko otwierając oczy.

– Nie dla majątku, ale dlatego, ażeby mieć pracę i nie umrzeć z głodu. Znam dobrze to prawo, o którym mówi pan Starski...

– A co? – wtrącił Starski patrząc na babkę.

– I dlatego, że znam, żałuję tych, którzy muszą mu ulegać – zakończył Wokulski. – Jest to chyba największe nieszczęście w życiu.

– Masz rację – rzekła prezesowa.

– Zaczyna mnie pan interesować, panie Wokulski – dodała pani Wąsowska, wyciągając do niego rękę.

Panna Ewelina przez cały czas rozmowy była schylona nad

haftem. W tej chwili podniosła głowę i spojrzała na Starskiego z takim wyrazem rozpacz, że Wokulski zdziwił się... Ale Starski wciąż uderzał szpicróżgą w koniec swego buta, gryzł cygaro i uśmiechał się na pół drwiąco, na pół smutnie.

Za altanką rozległ się głos Ochockiego:

– Widzisz, mówiłem ci, że tu jest pani...

– No, to w altance, ale nie w krzakach – odpowiedziała młoda dziewczyna z koszykiem w ręku.

– Ach, głupia jesteś! – mruknął Ochocki wchodząc i niespokojnie patrząc na damy.

– Oho! pan Julian znowu wkracza do nas jako triumfator – rzekła wdówka.

– Ależ słowo honoru daję, że tylko dla skrócenia drogi szedłem przez klomby – tłumaczył się Ochocki.

– I tak pan zjechał z drogi, jak dziś wioząc nas...

– No, słowo honoru daję...

– Już lepiej podprowadź mnie, zamiast się tłumaczyć – przerwała prezesowa.

Ochocki podał jej rękę, ale miał minę tak zakłopotaną i kapelusz tak wsadzony na bakier, że pani Wąsowska nie mogła pohamować nadmiaru wesołości, co na twarzy panny Felicji wywołało nową serię rumieńców, a Ochockiego zmusiło do rzucenia wdówce kilku gniewnych spojrzeń.

Całe towarzystwo skręciło na lewo i boczną aleją szło do budynków folwarcznych. Naprzód prezesowa z Ochockim, za nimi dziewczyna z koszykiem, potem wdówka z panną Felicją,

Wokulski, a za nim panna Ewelina ze Starskim. Przy furtce hałas na przodzie spotęgował się, a w tej chwili Wokulskiemu przywidziało się, że słyszy za sobą cichą rozmowę.

– Czasem zdaje mi się, że wołałabym w grobie leżeć... – szepnęła panna Ewelina.

– Odwagi... odwagi... – odpowiedział jej tym samym tonem Starski.

Wokulski teraz dopiero zrozumiał cel wyprawy na folwark, gdy w dziedzińcu wybiegło naprzeciw prezesowej całe stado kur, którym ona rzucała ziarno z kosza. Za kurami ukazała się ich dozorczyńni, stara Mateuszowa, donosząc pani, że wszystko jest dobrze, tylko że z rana krążył nad dziedzińcem jastrząb, a po południu jedna z kur trochę udławiła się kamieniem, ale już ją minęło.

Po przeglądzie drobiu, prezesowa obejrzała obory i stajnie, gdzie parobcy, po większej części ludzie dojrzałego wieku, składali jej raporta. Tu o mało nie zdarzył się wypadek. Ze stajni bowiem nagle wybiegło spore źrebię i rzuciło się na prezesową przednimi nogami jak pies, który staje na dwu łapach. Szczęściem, Ochocki pohamował figlarne zwierzę, a prezesowa dała mu zwykłą porcję cukru...

– On babcię kiedy skaleczy – odezwał się niezadowolony Starski. – Kto widział przyzwyczajając do takich pieszczot źrebięta, z których później wyrastają konie!

– Zawsze mówisz rozsądnie – odpowiedziała mu prezesowa głaszcząc źrebaka, który kładł głowę na jej ramieniu, a później

biegł za nią tak, że parobcy musieli go zawracać do stajni.

Nawet niektóre krowy poznawały swoją panią i witały ją stłumionym rykiem, podobnym do mruczenia.

„Dziwna kobieta” – pomyślał Wokulski patrząc na staruszkę, która umiała budzić miłość dla siebie nie tylko w sercach zwierząt, lecz – nawet ludzi.

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.